

LEM STANISLAW

POWRÓT Z GWIAZD

I

Nie miałem żadnych rzeczy, nawet płaszcz. Mówili, że to niepotrzebne. Pozwolili mi zatrzymać mój czarny sweter: ujdzie. A koszulę wywalczyłem. Powiedziałem, że będę odwykał powoli. W samym przejściu, pod brzuchem statku, gdzie staliśmy, potrącani, Abs podał mi rękę z porozumiewawczym uśmiechem:

— Tylko ostrożnie...

Pamiętałem i o tym. Nie zgmiotłem mu palców. Byłem całkiem spokojny. Chciał jeszcze coś powiedzieć. Oszczędziłem mu tego, odwracając się, jakbym nic nie zauważył, i wszedłem po stopniach do środka. Stewardessa poprowadziła mnie między rzędami foteli na sam przód. Nie chciałem osobnego przedziału. Zastanawiałem się, czy ją uprzedzili. Fotel rozłożył się bezszelestnie. Poprawiła oparcie, uśmiechnęła się do mnie i odeszła. Usiadłem. Poduszki przepastnie miękkie, jak wszędzie. Oparcia tak wysokie, że ledwo widziałem innych pasażerów. Kolorowość kobiecych strojów przyjmowałem już bez oporu, ale mężczyźni wciąż podejrzewałem, bezsensownie, o maskaradę, i wciąż miałem cichą nadzieję, że zobaczę jakichś ubranych normalnie — żaloszny odruch. Sadowiono się szybko, nikt nie miał bagaży. Nawet teczki czy zawiniątka. Kobiety też. Było ich jakby więcej. Przedem — dwie Mulatki w papuzich futerkach, piórkowato nastroszonych, panowała widać taka ptasia moda. Dalej jakieś małżeństwo z dzieckiem. Po jaskrawych selenoforach peronów i tunelów, po nieznośnie krzykliwej, samoświecącej roślinności ulic. światło wklęsłego stropu było prawie żarzeniem. Położyłem ręce na kolanach, bo jakoś zawadzały. Wszyscy już siedzieli. Osiem rzędów szarych foteli, jodłowy powiew, cisza milknących rozmów. Oczekiwałem zapowiedzi startu, jakichś sygnałów, nakazu przypięcia się pasami, nic jednak nie nastąpiło. Po matowym suficie zaczęły biec z przodu w tył niewyraźne cienie, jakby sylwetki wystrzyżonych z papieru ptaków. Co, u diabła, z tymi ptakami — pomyślałem bezradnie. — Może to coś znaczy? Byłem jak zdrewniały od nadmiaru uwagi, żeby nie zrobić czegoś niewłaściwego. Tak już od czterech dni. Od pierwszej chwili. Zostawałem bezustannie w tyle za wszystkim, co się działo, i ciągłe usiłowanie zrozumienia byle rozmowy, sytuacji zmieniało to napięcie w uczucie paskudnie podobne do rozpacz. Byłem przekonany, że inni odczuwają to samo, ale nie mówiliśmy o tym, nawet kiedy Dostawaliśmy sami. Żartowało się tylko z naszej krzepy, z tego nadmiaru sił, który nam został, zresztą naprawdę trzeba się było pilnować — początkowo, chcąc wstać, wyskakiwałem ku sufitowi, a każda rzecz, którą brałem do ręki, sprawiała wrażenie papierowej, pustej. Ale własne ciało nauczyłem się kontrolować szybko. Witając się nie miażdżyłem już nikomu ręki. To było proste. Niestety, najmniej ważne.

Mój sąsiad z lewej, zażywny, opalony, o nadmiernie błyszczących oczach (może od kontaktowych szkieł) znikł nagle, bo jego fotel rozrósł się bokami, które poszły w górę i połączyły się, tworząc coś w rodzaju jajowatego kokonu. Jeszcze parę osób znikło w takich kabinach. Przypominały spęczniałe sarkofagi. Co w nich robili? Ale takie rzeczy napotykałem wciąż i starałem się nie gapić, o ile nie wiązały się bezpośrednio ze mną. Ciekawa rzecz, ludzi, którzy wytrzeszczali na nas oczy dowiedziawszy się, cośmy za jedni, traktowałem raczej obojętnie. Ich osłupienie mało mnie obchodziło, choć natychmiast się zorientowałem, że nie ma w nim ani krzty podziwu. Niechęć wzbudzali raczej ci, co dbali o nas — pracownicy Adaptu. Zapewne, najżywszą — doktor Abs, bo traktował mnie jak lekarz nienormalnego pacjenta, udając, wcale dobrze zresztą, że ma do czynienia właśnie z kimś całkiem zwykłym. Kiedy nie było to już możliwe — dowcipkował. Miałem dość jego bezpośredniości i jowialności. Zapytany o to (tak przynajmniej sądziłem) każdy z przechodniów uznałby mnie czy Olafa za podobnych sobie — nie tyle my sami byliśmy dlań niesamowici, co nasz przeszły los: to on był niezwykły. Doktor Abs natomiast, jak każdy pracownik Adaptu, wiedział lepiej — że naprawdę jesteśmy inni. Inność ta nie była

wyróżnieniem, ale tylko przeszkodą w porozumieniu, w najprostszej wymianie słów, co tam! w otwarciu drzwi, skoro klamki przestały istnieć, nie pamiętałem, pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt lat temu.

Start nastąpił niespodziewanie. Ciężenie nie zmieniło się ani na włos, do hermetycznego wnętrza nie wnikły żadne dźwięki, sufitem płynęły miarowo cienie — może wieloletnia rutyna, stary instynkt powiedziały mi w pewnej chwili, że jesteśmy w przestrzeni, bo to była pewność, nie przypuszczenie.

Ale zajmowało mnie coś innego. Spoczywałem, półleżąc, z wyciągniętymi nogami, bez ruchu. Zbyt łatwo dali mi postawić na swoim. Nawet Oswamm nie przeciwstawił się zbyt mocno mojej decyzji. Kontrargumenty, które słyszałem od niego i od Absa, nie mogły przekonać — ja sam zdobyłbym się na lepsze. Obstawali tylko przy jednym, że każdy z nas musi lecieć oddzielnie. Nawet tego, że zbuntowałem Olafa (bo gdyby nie ja, na pewno zgodziłby się zostać dłużej), nie wzięli mi za złe. To było zastanawiające. Oczekiwałem komplikacji, czegoś, co w ostatniej chwili udaremni mój plan, ale nic się nie stało i oto leciałem. Ta ostatnia podróż miała się skończyć za piętnaście minut.

Najwyraźniej to, co wymyśliłem, a także to, jak stanąłem przed nimi, żeby wywalczyć przedwczesny odjazd, nie zaskoczyło ich. Reakcję tego typu musieli mieć zakatalogowaną, był to stereotyp zachowania właściwego takim zuchom jak ja, zaopatrzonego w ich psychotechnicznych tablicach odpowiednim numerem porządkowym. Pozwolili mi lecieć — dlaczego? Bo doświadczenie mówiło im, że nie dam sobie rady? Ale jak to mogło być, skoro cała ta „samodzielna” eskapada polegała na przelocie z jednego dworca na drugi, gdzie czekać miał ktoś z ziemskiego Adaptu, a wszystko, czego miałem dokonać, to było odnalezienie tego człowieka w umówionym miejscu?

Coś się stało. Doszły mnie podniesione głosy. Wychyliłem się z fotela. Kilka rzędów przede mną jakaś kobieta odepchnęła stewardessę, która zwolnionym, automatycznym ruchem, jakby pod wpływem tego — nie aż tak silnego przecież — pchnięcia szła tyłem między fotelami, a kobieta powtórzyła: — Nie pozwolę! Niech mnie to nie dotyka! — Twarzy krzyczącej nie widziałem. Jej towarzysz ciągnął ją za ramię, przedkładał jej coś uspokajająco. Co oznaczała ta scena? Inni pasażerowie nie zwrócili na nią uwagi. Któryś raz z rzędu owładnęło mną poczucie niewiarygodnej obcości. Spojrzałem z dołu na stewardessę, która zatrzymała się przy mnie i uśmiechała jak przedtem. Nie był to czysto zewnętrzny uśmiech obowiązkowego ugrzecznienia, pokrywający zdenerwowanie incydentem. Nie udawała spokoju, naprawdę była spokojna.

— Napije się pan czegoś? prum, extran, morr, cydr? Melodyjny głos. Potrząsnąłem przecząco głową.

Chciałem powiedzieć jej coś miłego, ale zdobyłem się tylko na stereotypowe pytanie:

— Kiedy lądujemy?

— Za sześć minut. Zje pan coś? Nie musi się pan spieszyć. Można zostać i po lądowaniu.

— Dziękuję, nie.

Odeszła. W powietrzu, tuż przed moją twarzą, na tle oparcia poprzedzającego fotela, zapalił się, jak pisany końcem rozżarzonego papierosa, napis STRATO. Pochyliłem się, żeby zobaczyć, jak powstał ten napis, i drgnąłem. Oparcie fotela poszło za moimi plecami i objęło je elastycznie. Wiedziałem już, że sprzęty wybiegają naprzeciw każdej zmianie pozycji, ale wciąż o tym zapomniałem. Nie było to przyjemne — jak gdyby ktoś śledził każdy mój ruch. Chciałem wrócić do poprzedniej pozycji, zbyt energicznie widać. Fotel źle to zrozumiał i prawie się rozłożył, jak łóżko. Poderwałem się. Co za idiotyzm! Więcej opanowania. Usiadłem wreszcie. Litera różowego STRATO zadrgała i przepłynęła w inne: TERMINAL. Żadnego wstrząsu, ostrzeżenia, świstu. Nic. Rozległ się daleki głos, jakby trąbki pocztyliona, czworo owalnych drzwi u końca przejść między siedzeniami rozwarło się, do wnętrza wtargnął głuchy, wszechogarniający szum, jakby morza. Głosy powstających z miejsc

pasażerów utonęły w nim bez śladu. Siedziałem dalej, a oni wychodzili, szeregi sylwetek migwały na tle zewnętrznych świateł zielono, lila, purpurowo — istny bal maskowy. Już wszyscy wyszli. Wstałem. Obciągnąłem machinalnie sweter. Jakoś głupio tak z pustymi rękami. Przez otwarte drzwi ciągnął chłodniejszy powiew. Odwróciłem się. Stewardessa stała przy ścianie działowej, nie dotykając jej plecami. Na jej twarzy gościł wciąż ten sam pogodny uśmiech, skierowany do pustych rzędów foteli, które teraz zaczęły z wolna zwijać się, składać, jak jakieś mięsiste kwiaty, jedne szybciej, inne odrobinę wolniej — to był jedyny ruch w tym wypełniającym wszystko, płynącym przez owalne otwory, przeciągłym szumie, przywodzącym na myśl otwarte morze. — Nie chcę, żeby t o mnie dotykało! — Nagle doszukałem się w jej uśmiechu czegoś niedobrego. Od wyjścia powiedziałem:

— Do widzenia...

— Do usług.

Znaczenia tych słów, tak osobliwych w ustach młodej, ładnej kobiety, nie uświadomiłem sobie od razu, bo dobiegły mnie, kiedy już odwrócony wychylałem się przez drzwi. Chciałem postawić nogę na stopniu, ale nie było go. Między metalowym kadłubem a krawędzią peronu ziała metrowa szczelina. Tracąc równowagę, nie przygotowany na taką pułapkę, dałem niezgrabnego susa i, już w powietrzu, poczułem chwytający mnie jakby od dołu strumień niewidzialnej siły, tak że przepłynąłem nad pustką i zostałem miękko postawiony na białej nawierzchni, która poddała się elastycznie. Musiałem, lecąc, mieć niezbyt mądrą minę — poczułem kilka rozbawionych spojrzeń, tak mi się przynajmniej wydało, zawróciłem szybko i poszedłem wzdłuż peronu. Pocisk, którym przybyłem, spoczywał w głębokim łożu, oddzielony od krawędzi peronów nie zabezpieczonym niczym rozziwem. Niby niechcący zbliżyłem się do tej pustki i powtórnie uczułem niewidzialną sprężystość, która nie dała mi wykroczyć poza biały brzeg. Chciałem szukać źródła tej osobliwej siły, ale nagle jakbym się ocknął: byłem na Ziemi.

Fala idących zagarnęła mnie: popychany, ruszyłem w tłoku przed siebie. Upłynęła chwila, nim zobaczyłem na dobre ogrom tej hali. Czy była to zresztą jedna hala? Żadnych ścian: biały, połyskliwy, wstrzymany na wysokości wybuch niewiarygodnych skrzydeł, między nimi kolumny, zbudowane nie z jakiegoś materiału, ale z zawrotnego ruchu. Pędzące w górę, olbrzymie wodotryski gęstszej od wody cieczy, prześwietlone od wewnątrz kolorowymi reflektorami? Nie; szklane, pionowe tunele, którymi wżwyz śmigwały korowody rozmazanych pojazdów? Nic już nie wiedziałem. Bezustannie popychany, potrącany w mrowiącym pośpiechu tłumów, usiłowałem przedostać się w jakieś puste miejsce, ale nie było tu pustych miejsc. Wyższy o głowę od otaczających, widziałem dzięki temu, że opustoszały pocisk oddala się — nie, to my płynęliśmy naprzód wraz z całym peronem. Z wysoka buchały światła, w których tłum iskrzył się i mienił. Teraz płaszczyzna, na której staliśmy stłoczeni, iść poczęła w górę i zobaczyłem w dole już dalekie, podwójne białe pasy, zapchane ludźmi, z czarnymi rozziwami szczelin wzdłuż bezwładnych kadłubów — bo statków, jak nasz, były dziesiątki — ruchomy peron zakręcał, przyspieszał, wchodził pod wyższe poziomy. Łopocąc, burząc wzniesionym wichrem włosy stojących, przelatowały na nich, jak na niemożliwych, bo pozbawionych wszelkiego podparcia wiaduktach, obłe, szybkością dygocące cienie, z wydłużonymi w smugi ogniami sygnałowych świateł; potem niosąca nas powierzchnia jęła się dzielić, rozwidlać wzdłuż niedostrzegalnych szwów, moje pasmo przesuwano się przez wnętrza pełne stojących i siedzących ludzi, otaczało ich mnóstwo drobnych błysków, jakby zajmowali się puszczeniem kolorowych ogni sztucznych.

Nie wiedziałem, gdzie patrzeć. Przede mną stał mężczyzna w czymś puszystym jak futro, co tknięte światłem opalizowało jak metal. Trzymał pod ramię kobietę w szkarłacie. To, co miała na sobie, było w wielkie oczy, niby pawie, te oczy mrugały. To nie było złudzenie, oczy jej sukni naprawdę otwierały się i zamykały. Chodnik, na którym stałem za dwójkiem tamtych, pośród dziesiątka innych ludzi, jeszcze przyspieszał. Między płaszczyznami

białodymnego szkliwa otwierały się kolorowe, oświetlone pasaży o przezroczystych stropach, deptanych nieustannie przez setki stóp na wyższym, następnym piętrze, wszechogarniający szum to rozlewał się, to ścieśniał, kiedy tysiące ludzkich głosów i dźwięków, dla mnie niezrozumiałych, dla nich znaczących, zdławiał kolejny tunel tej nie wiadomo dokąd wycelowanej podróży; w głębi, na dalszych planach, otoczenie szyły wciąż przelatujące smugi nie wiem jakich pojazdów — latających może — bo niekiedy szły skosem w górę lub w dół, wświdrowując się w przestrzeń, tak że odruchowo oczekiwałem okropnego zderzenia, nie widziałem bowiem żadnych prowadnic, szyn, jeśli były to napowietrzne kolejki. Kiedy te rozmazane huragany pędu urywały się choć na chwilę, spoza nich wyłaniały się majestatycznie powolne, ogromne płaszczyzny, pełne ludzi, niby fruwające przystanie, które szły w różnych kierunkach, mijały się, unosiły, zdawały przenikać wskutek złudzenia perspektywy. Trudno było oprzeć wzrok na czymkolwiek nieruchomym, bo cała otaczająca architektonika zdawała się złożona z samego właściwie ruchu, zmiany, i nawet to, co wzięłem pierwotnie za skrzydlaty strop, było tylko nawieszonymi kondygnacjami, które teraz ustąpiły miejsca innym, jeszcze wyższym. Naraz, przefiltrowany przez szkliwa stropów; owych kolumn zagadkowych, odbity od srebrnych płaszczyzn, wszedł we wszystkie załomy przestrzeni, wnętrza mijanych przepustów, w rysy ludzkich twarzy — ciężki, purpurowy brzask, jak gdyby daleko, gdzieś w sercu wielomilowej budowli, zapłonął atomowy ogień. Zieleń skaczących bez przerwy neonów stała się brudna, mleko parabolicznych przyporów zróżnowało. W tym nagłym przepojeniu powietrza rudością było coś z zapowiedzi katastrofy, tak to przyjąłem, lecz nikt nie zwrócił na ową zmianę najmniejszej uwagi i nie umiałbym nawet powiedzieć, kiedy ustąpiła.

U brzegów naszego chodnika pojawiały się wirujące, zielone koła, jak zawieszony w powietrzu neonowe obręcze, wtedy część ludzi schodziła na przysuwające się odnoże innego chodnika czy pochylni; zauważyłem, że przez zielone linie owych świateł można przechodzić bezkarnie, jakby nie były materialne.

Jakiś czas dałem się tak unosić bezwolnie białemu chodnikowi, aż przyszło mi do głowy, że być może jestem już poza dworcem i ten niewiarygodny krajobraz powyginanego szkliwa,, wciąż jakby zrywający się do lotu, jest właśnie miastem, a tamto, które zostawiłem, istnieje już tylko w mojej pamięci.

— Przepraszam — dotknąłem ramienia mężczyzny w futrze — gdzie my jesteśmy?...

Oboje spojrzeli na mnie. Twarze ich, kiedy je unieśli, przybrały wyraz zaskoczenia. Miałem słabą nadzieję, że tylko przez mój wzrost.

— Na polidukcie — powiedział mężczyzna. — Jaki ma pan styk?

Nic nie zrozumiałem.

— Czy... jesteśmy jeszcze na dworcu?

— Oczywiście... — odparł z pewnym ociąganiem.

— A... gdzie jest Wewnętrzny Krąg?

— Już go pan stracił. Musi pan dublować.

— Lepszy będzie rast z Meridu — wtrąciła kobieta. Wszystkie oczy jej sukni zdawały się wpatrywać we mnie z pełnym podejrliwości zdumieniem.

— Rast?... — powtórzyłem bezradnie.

— O, tam — pokazała widoczne poprzez nadpływający zielony krąg puste wyniesienie o czarno-srebrnych, pręgowanych bokach, niczym kadłub pomalowanego osobliwie, na boku leżącego okrętu. Podziękowałem i zszedłem z chodnika, zapewne w złym miejscu, bo impet podciął mi nogi. Złapałem równowagę, ale zakręciło mną, tak że nie wiedziałem, w którą stronę iść. Zastanawiałem się, co robić, ale przez ten czas miejsce mojej przesiadki oddaliło się znacznie od owego czarno-srebrnego wzniesienia, które wskazała mi kobieta, i nie mogłem go już znaleźć. Ponieważ większość stojących przy mnie przechodziła na pochylnię zmierzającą do góry, zrobiłem tak samo. Już na niej dostrzegłem olbrzymi, nieruchomo

plonący w powietrzu napis DUKT CENTR — reszta liter z obu stron wymykała się, przez ich ogrom, wzrokowi. Bezszelestnie wniosło mnie na kilometrowy chyba peron, od którego odbijał właśnie wrzecionowaty statek, ukazując przy wznoszeniu swoje podziurawione światłami dno. Zresztą może właśnie ten wielorybi kształt był peronem, a ja znalazłem się na „raście” — nie było nawet kogo spytać, gdyż wokół rozpościerała się pustka. Musiałem źle trafić. Część mego „peronu” zabudowana była spłaszczonymi pomieszczeniami bez przednich ścian. Zbliżywszy się, dostrzegłem rodzaj słabo oświetlonych, niskich boksów, w których rzędami spoczywały czarne maszyny. Wziąłem je za auta. Ale gdy dwie najbliższe wysunęły się i nim zdążyłem się cofnąć, minęły mnie, rozwijając od razu wielką szybkość, ujrzałem, nim znikły w perspektywie parabolicznych skosów, że nie mają kół, okien ani drzwi, opływowe, niby olbrzymie czarne krople. Auta czy nie — pomyślałem — w każdym razie to chyba jakiś parking? Może właśnie tych „rastów”? Uznałem, że najlepiej będzie, jeśli zaczekam, aż ktoś przyjdzie, i pojedę razem z nim, a przynajmniej dowiem się czegoś. Mój peron, uniesiony lekko jak skrzydło niemożliwego samolotu, trwał jednak pusty, tylko czarne maszyny wymykały się pojedynczo lub po kilka naraz ze swoich metalowych nor i gnały, zawsze w jedną stronę. Zszedłem na sam brzeg peronu, aż znów dała znać o sobie ta niewidzialna, sprężysta siła, zapewniająca bezpieczeństwo. Naprawdę wisiał w powietrzu, niczym nie podparty. Unosząc głowę zobaczyłem wiele podobnych mu, tak samo szybujących nieruchomo w przestrzeni z wygaszonymi wielkimi światłami; płonęły u innych, tam gdzie przybijały statki. Nie były to jednak rakiety ani nawet pociski, jak ten, który przywiózł mnie z Luny.

Stałem długo, aż zauważyłem, na tle następnych jakichś hal — nie wiedziałem zresztą, czy są lustrzanym odbiciem tej, czy rzeczywistością — miarowo sunące powietrzem ogniste litery SOAMO SOAMO SOAMO, przerwa, błękitny błysk i NEONAX NEONAX NEONAX, może były to nazwy stacji, może reklamowych produktów. Nic mi nie mówiły.

Najwyższy czas, żebym znalazł tego faceta — pomyślałem, zawróciłem na pięcie i odnalazłszy odwrotnie płynący chodnik, zjechałem nim w dół. Okazało się, że to nie ten poziom i nawet nie ta hala, z której przybyłem na górę; poznałem to po braku owych ogromnych kolumn. Może zresztą to one wyniosły się gdzieś; wszystko uznawałem już za możliwe.

Znalazłem się wśród całego lasu fontann; dalej trafiłem na biało-różową salę, pełną kobiet. Przechodząc, od niechcienia wetknąłem rękę w strumień podświetlonej fontanny, może dlatego, że przyjemnie było spotkać coś chociaż trochę swojskiego. Nie poczułem jednak nic, ta fontanna była bez wody. Po chwili wydało mi się, że czuję kwiatową woń. Zbliżyłem rękę do nozdrzy. Pachniała jak tysiąc toaletowych mydeł naraz. Odruchowo zacząłem wycierać ją w spodnie. Stałem już przed tą salą, pełną kobiet, samych kobiet. Nie wyglądała mi na sień toalet, w końcu jednak nie było to pewne. Wołałem nie pytać, zawróciłem więc. Młody człowiek, ubrany, jakby zastygła na nim rozlewająca się rtęć, bufiasta (czy może pienista raczej) u ramion, obcisła na biodrach, rozmawiał z jasnowłosą dziewczyną, opartą plecami o kielich fontanny. Dziewczyna, w jasnej sukience, wcale zwyczajnej, co napełniło mnie otuchą, trzymała wiązanek bladoróżowych kwiatów i wtulając w nie twarz, oczami uśmiechała się do chłopca. W ostatniej chwili, kiedy stanąłem przy nich i otwierałem już usta, zobaczyłem, że ona je te kwiaty — i głos odmówił mi na mgnienie posłuszeństwa. Żuła spokojnie delikatne płatki. Podniosła na mnie oczy. Znieruchomiały. Ale do tego byłem już przyzwyczajony. Spytałem, gdzie jest Wewnętrzny Krąg.

Chłopiec wydał mi się nieprzyjemnie zdziwiony czy nawet zły, że ktoś ośmiela się przerywać to sam na sam. Widać popełniłem niewłaściwość. Popatrzał najpierw w górę, potem spuścił oczy, jakby spodziewał się jako przyczynę mego wzrostu odnaleźć jakieś szczudła. Nawet się nie odezwał.

— O, tam — zawołała dziewczyna — rast na wuka, pana rast, zdąży pan, prędko!

Puściłem się biegiem w ukazaną stronę, ani wiedząc, dokąd — wciąż przecież pojęcia nie miałem, jak wygląda ten przeklęty rast — po dziesięciu krokach zobaczyłem srebrzysty lej, schodzący z wysokości, podstawę jednej z tych ogromnych kolumn, które tak mnie przedtem zadziwiły — czyżby to były latające kolumny? — ludzie spieszyli tam z różnych stron, naraz zderzyłem się z kimś. Nawet się nie zachwiałem, stanąłem tylko jak wryty, a tamten, przysadkowaty jegomość w pomarańczowym odzieniu, padł i stało się z nim coś niewiarygodnego: jego futro zwiedło w oczach, zapadło się jak przekłuty balon! Stałem nad nim, osłupiał, niezdolny wybełkotać przeproszenia. Podniósł się, popatrzał na mnie spode łba, ale nic nie powiedział, odwrócił się i odszedł zamaszystym krokiem, manipulując przy piersi — a jego strój wypełnił się i zaświetniał na nowo...

Na wskazanym przez dziewczynę miejscu nie było już nikogo. Po tej przygodzie zrezygnowałem na dobre z poszukiwania rastów, Wewnętrznego Kręgu, duktów, styku i postanowiłem wydostać się z dworca. Dotychczasowe doświadczenia nie zachęcały do nagabywania przechodniów, pojechałem więc na chybił trafił za skośną błękitną strzałą w górę, bez większego wrażenia przenikając własnym ciałem przez dwa kolejne, rozjarzone w powietrzu napisy: OBWODY MIEJSCOWE. Trafiłem na eskalator, dość ludny. Następna kondygnacja utrzymana była w tonie przyćmionego, złotymi wykrzyknikami żyłkowanego brązu. Płynne zejścia stropów i zakłęsłych ścian. Bezsufitowe, górą jakby w świecącym puchu zanurzone korytarze. Jak gdybym zbliżał się do jakichś przestrzeni mieszkalnych, otoczenie miało w sobie coś z systemu gigantycznych hallów hotelowych — okienka, niklowe rury wzdłuż ścian, wnęki z jakimiś urzędującymi, może to były kantory wymiany, może poczta, szedłem dalej. Byłem już prawie pewny, że nie trafię tędy do wyjścia i (oceniłem to po trwaniu jazdy w górę) że znajduję się w napowietrznej części dworca, wciąż jednak zachowywałem ten sam kierunek. Niespodziana pustka, płyty malinowych okładzin z iskrzącymi się gwiazdkami, szeregi drzwi. Najbliższe były nie domknięte. Zajrzałem do środka. Jakiś wielki, barczysty człowiek zrobił w tejże chwili to samo z przeciwnej strony. Ja sam w całościennym lustrze. Uchyliłem drzwi szerzej. Porcelana, srebrne rury, nikiel. Toalety.

Trochę chciało mi się śmiać, ale w sumie byłem raczej ogłupiały. Zawróciłem szybko, inny korytarz, białe jak mleko pasy płynące w dół. Poręcz eskalatora była miękka, ciepła, nie liczyłem uchodzących pięt, coraz więcej ludzi, zatrzymywali się u emaliowanych pudeł, które co krok wyrastały ze ściany, jedno dotknięcie palca, coś wpadało do ręki, chowali to do kieszeni i szli dalej. Sam nie wiem, czemu postąpiłem dokładnie jak człowiek w luźnym, fioletowym odzieniu przede mną; klawisz z małą wklęsłością na czubek, palca, naciśnięcie, prosto w nadstawioną garść wpadła mi, barwna, półprzezroczysta rurka, jakby nagrzana. Potrząsnąłem nią, zbliżyłem do oczu, pigułki jakież? Nie. Korek? Nie miała korka, żadnego zamknięcia. Do czego to? Co robili tamci? Chowali do kieszeni. Napis na automacie: LAHGAN. Stałem; potrącano mnie. I nagle wydałem się sobie małą, której podano pióro wieczne czy zapalniczkę; na ułamek sekundy ogarnęła mnie ślepa wściekłość; zacisnąłem szczęki, zmrzyłem oczy i włączyłem się, lekko zgarbiony, w strumień idących. Korytarz rozszerzał się, był już salą. Ogniste litery: REAL AMMO REAL AMMO.

Poprzez nurt spieszących, ponad ich głowami, dostrzegłem z dala okno. Pierwsze okno. Panoramiczne, ogromne.

Jakby wszystkie firmamenty nocy, rzucone na płask. Po horyzont z rozjarzonej mgły — kolorowe galaktyki placów, skupiska spiralnych świateł, luny mżące nad drapaczami, ulice: pełzanie, robaczkowy ruch świetlnych paciorków, a nad tym, w pionach, kotłowanie się neonów, pióropusze i błyskawice, koła, samoloty i flaszki z ognia, czerwone dmuchawce sygnałowych świateł na iglicach, momentalne słońca i krwotoki reklam, mechanicznie gwałtowne. Stałem i patrzałem, słysząc za sobą miarowy szmer setek stóp. Naraz miasto znikło i ukazała się olbrzymia, trzymetrowa twarz.

— Nadaliśmy zestaw kronik z lat siedemdziesiątych w cyklu „wizje starych stolic”.

Obecnie transtel przenosi swój zasięg na studia kosmolitów...

Uciekłem prawie. To nie było okno. Telewizor jakiś. Przyspieszałem kroku. Spociłem się trochę.

Na dół. Szybciej. Złote kwadraty światła. Wewnątrz tłumy, piana na szklankach, prawie czarny płyn, nie piwo, bo z jadowitym zielonkawym lśnieniem, i młodzież, chłopcy i dziewczęta, poobejmowani, szóstkami, ósemkami, zagradzający całą szerokość przejść, szli na mnie, musieli rozrywać ręce, żeby mnie przepuścić. Targnęło mną. Ani wiedząc kiedy, wstąpiłem na ruchomy chodnik. Mignęły całkiem z bliska zdumione oczy — śliczna, ciemna dziewczyna w czymś, co błyszczało na niej jak nafosforyzowany metal. Tkanina przylegała do niej: była jak naga. Twarze białe, żółte, kilku wysokich czarnych, ale ja wciąż byłem najwyższy. Rozstępowano się przede mną. Górą, za wypukłymi szybami, mknęły rozwiane cienie, grały niewidzialne orkiestry, a tu trwała osobliwa promenada, w ciemnych przejściach — bezgłowe postaci kobiet; puch okrywający ich ramiona świecił, że tylko wychylone szyje jaśniały w nim jak białe, dziwne łodygi, i rozprószony blask we włosach — samoświecący puder? Wąskie przejście wprowadziło mnie w amfiladę groteskowych, bo ruchomych, ruchliwych nawet posągów; coś w rodzaju szerokiej, bokami uniesionej ulicy huczało od śmiechu, bawiono się, co ich tak bawiło — te rzeźby?

Ogromne figury w stożkach reflektorów; lało się z nich światło rubinowe, miodowe, gęste jak syrop, o niezwyklej koncentracji barwy. Szedłem bezwolnie, mrużąc oczy, zatracając się. Stromy, zielony pasaż, groteskowe pawilony, pagody, do których szło się po mostkach, pełno małych lokali, woń smażeniny, ostra, natarczywa, rzędy gazowych płomyków za szybami, grzechot szkła, powtarzające się, metaliczne, niezrozumiałe dźwięki. Tłum, który mnie tu wniósł, zderzył się z innym, potem zrobiło się luźniej, wszyscy wsiadali do otwartego na przestrzał wagonu, nie, był tylko przezroczysty, jak odlany ze szkła, nawet siedzenia jak szklane, choć miękkie. Ani wiedziałem, kiedy znalazłem się w środku — jechaliśmy. Wagon gnał, ludzie przekrzykiwali głośnik powtarzający: „poziom Meridional, poziom Meridional, styki na Spiro, Blekk, Frosom”, cały wagon topniał jakby, przekłuwany snopami światła, ściany przelatwały smugami płomienia i barw, paraboliczne łuki, białe perony, „Forteran, Forteran, styki Galee, styki rastów zewnętrznych, Makra” — mamrotał głośnik, wagon zatrzymywał się i gnał dalej; odkryłem zadziwiającą rzecz: nie czuło się hamowania i przyspieszania, jakby zniesiona została bezwładność. Jak to było możliwe? Sprawdziłem, uginając lekko kolana, na trzech kolejnych przystankach. Na wirażach też nic. Ludzie wysiadali, wchodzili, na przedniej platformie stała kobieta z psem, nigdy takiego nie widziałem, był ogromny, z głową jak kula, bardzo brzydki, w jego orzechowych, spokojnych oczach odbijały się pędzące wstecz, pomniejszone girlandy światła. RAMBRENT RAMBRENT. Załopotano od białych i sinawych świetlówkowych rur, schody z krystalicznego blasku, czarne frontony, blask kamienia powoli, wagon stał. Wysiadłem i osłupiałem. Nad zagłębioną amfiteatralnie tarczą przystanku wznosiła się wielopoziomowa, znana konstrukcja; byłem wciąż na dworcu, w innym miejscu tej samej gigantycznej hali, rozdętej białymi wymachami płaszczyzn. Skierowałem się ku krawędzi tego geometrycznie dokładnego zagłębienia — wagon odjechał już — i przeżyłem kolejne zdumienie: nie na dole byłem, jak mi się wydało, znajdowałem się właśnie wysoko, ze czterdzieści pięter nad wstążkami widzialnych w otchłani chodników, nad srebrnymi pokładami wciąż miarowo szybujących peronów, i wchodziły między nie długie, milczące cielska i ludzie wydostawali się z nich przez szeregi klap, jakby te potwory, te chromowane ryby składały w regularnych odstępach złogi czarnej i kolorowej ikry. Nad tym wszystkim, w oddali, poprzez mgiełkę odległości, widziałem poruszające się, jak po niewidzialnej linii, złote słowa:

GLENIANA ROON POWRACAJĄCA DZIŚ NAGRANIEM MIMORFICZNEGO REALU ODDAJE W ORATORIUM HOŁD PAMIĘCI RAPPERA KERXA POLITRY. TERMINAL DZIENNIK DONOSI: DZISIAJ W AMMONLEE PETIFARGUE

DOPROWADZIŁ DO SYSTOLIZACJI PIERWSZY ENZOM,. GŁOS ZNAKOMITEGO GRAWISTYKA NADAMY O GODZINIE DWUDZIESTEJ SIÓDMEJ. PRZEWAGA ARRAKERA. ARRAKER POWTÓRZYŁ SWÓJ SUKCES JAKO PIERWSZY OBLITEROWIEC SEZONU W TRANSWAALSKIM STADIONIE,

Odszedłem. Więc nawet rachuba czasu się zmieniła. Trafiane światłem olbrzymich liter, które jak szeregi płonących linokoczków mknęły nad morzem głów, metaliczne tkaniny kobiecych sukien filowały nagłymi płomykami. Szedłem, nie wiedząc o tym, a coś powtarzało we mnie dalej: więc nawet czas się zmienił. To jakby dobiło mnie. Nie widziałem nic otwartymi oczami. Chciałem tylko jednego: wyjść stąd, wydostać się z tego piekielnego dworca, znaleźć się pod gołym niebem, na wolnej przestrzeni, zobaczyć gwiazdy, poczuć wiatr.

Przyciągnęła mnie aleja wydłużonych świateł; w przeświecającym kamieniu stropów pisało coś — . litery kreślił zamknięty w alabastrze ostry płomyk — TELETRANS TELEPORT TELETHON, przez ostrołukowe drzwi (ale to był jakiś niemożliwy, z posad wyważony luk, niczym negatyw dzioba rakiety) dostałem się do sali nakrytej zamarzłym złotym pożarem. We wnękach ścian — setki kabin, ludzie wbiegali do nich, wypadali z pośpiechem, rzucali na podłogę porwane paski, nie taśmy telegraficzne, to było coś innego, z wytłoczonymi gruzelkami, inni deptali po tych strzępach. Chciałem wyjść, przez pomyłkę wszedłem do ciemnego wnętrza, nim zdążyłem się cofnąć, coś zabręczało, błysk, jak gdyby fotograficznej lampy, i ze szczeliny obrzeżonej metalem, jak z listownika, wysunął się we dwoje złożony arkusik błyszczącego papieru. Ująłem go, otwarłem, wychylna z niego ludzka głowa, o nie domkniętych, skrzywionych lekko cienkich wargach, patrzyła na mnie przymrużonymi oczami: to byłem ja sam! Złożyłem na dwoje papier i plastyczne widmo znikło. Rozchyliłem powoli brzegi, nic, szerzej, pojawiło się znów, jak gdyby wyskoczyło znikąd, odcięta od tułowia, zawieszona nad kartką papieru głowa z niezbyt rozumnym wyrazem. Spoglądałem chwilę we własną .twarz — co to było, trójwymiarowa fotografia? Wsadziłem kartkę do kieszeni i wyszedłem. Złote piekło zdawało się opadać na głowy tłumu, sufit z ognistej magmy, nierealnej, ale zionącej prawdziwym pożarem, i nikt nie patrzył nań, zaaferowani biegali od jednej kabiny do drugiej, zielone litery skakały w głębi, kolumny cyfr zstępowały po wąskich ekranach, inne kabiny, zamiast drzwi — rolety błyskawicznie wznoszące się przy czymś zbliżeniu; znalazłem nareszcie wyjście.

Korytarz, wygięty, o pochylonej podłodze, jak czasem w teatrze, ze ścian wykwiwały stylizowane konchy, górą pędziły słowa INFOR INFOR INFOR, bez końca.

Pierwszy raz zobaczyłem infor na Lunie i wziąłem go za sztuczny kwiat.

Zbliżyłem twarz do seledynowego kielicha, który natychmiast, nim wargi rozwarłem, zastygł w oczekiwaniu.

— Którędy mogę wyjść? — spytałem, niezbyt przytomnie.

— Dokąd? — odparł natychmiast ciepły alt.

— Do miasta.

— Do której dzielnicy?

— Wszystko jedno.

— Na który poziom?

— Wszystko jedno, chcę wyjść z dworca!

— Meridional, rasty: sto sześć, sto siedemnaście zero osiem, zero dwa. Tridukt, poziom AF, AG, poziom mitów okrężny, dwanaście i szesnaście, poziom nadir prowadzi w każdym kierunku południc wym. Poziom centralny — gliderów, czerwony miejscowy, biały zdalny, A, B i W. Poziom ulderów, bezpośredni, wszystkie eskale od trzeciego w górę... recytował śpiewnie kobiece głos.

Miałem ochotę wyrwać ze ściany mikrofon, który z taką troskliwością pochylał się ku mojej twarzy.

Odszedłem. Idiota! Idiota! — mełło we mnie z każdym; krokiem. EX EX EX EX — powtarzał sunący w górze, cytrynową mgiełką obrzeżony napis. Może to exit? Wyjście? Ogromny napis. EXOTAL. Dostałem się w gwałtowny prąd ciepłego powietrza, aż mi, w nim nogawki załopotwały. Znalazłem się pod wolnym niebem. Ale czerń nocy odbiegła daleko w przestrzeń, odrzucona mrowiem świateł. Olbrzymia restauracja — stoliki, których tafle jaśniały różnymi kolorami, nad nimi od dołu, więc trochę niesamowicie oświetlone twarze, pełne głębokich cieni. Niskie fotele, czarny płyn z zieloną pianą w szklankach, lampiony, z których sypały się drobne iskry, nie, świetliki raczej, jak chmary płonących ciem. Chaos świateł wygaszał gwiazdy. Kiedy podniosłem głowę, zobaczyłem tylko czarną pustkę. A jednak, zadziwiająca rzecz, w tej chwili jej ślepa obecność napełniła mnie jakby otuchą. Stałem i patrzałem. Ktoś musnął mnie w przejściu, poczułem woń perfum, ostrą i łagodną zarazem, przeszła para, dziewczyna odwróciła się do mężczyzny, jej ramiona i piersi zatopione były w puszystym obłoku, weszła w jego objęcia, tańczyli. Jeszcze tańczą — pomyślałem — Dobrze i to. Para zrobiła kilka kroków, błądy, rtęciowy krąg podniósł ją wraz z innymi parami, ich ciemnoczerwone cienie poruszały się pod jego ogromną, powoli jak dysk wirującą płytą; nie opierała się na niczym, nie miała nawet osi, obracała się w dźwiękach muzyki, zawieszona w powietrzu. Poszedłem między stolikami. Miękki plastik, po którym stąpałem, skończył się, dotykał chropowatej skały. Przez świetlną zasłonę wszedłem do środka, ujrzałem się w skalnej grocie. Jak gdyby dziesięć czy pięćdziesiąt gotyckich naw wzniesionych ze stalaktytów, żyłowate nacieki perlistych minerałów obejmowały wyloty jaskiń, siedzieli w nich ludzie, nogi zwieszali w pustkę, między ich kolanami płonęły chwiejne płomyki, a w dole rozpościerała się niezmaczenie czarna tafla podziemnego jeziora, odbijając w sobie zbiegi skał. Tam, na skleconych byle jak trawekach, też spoczywali ludzie, zwróceniu wszyscy w jedną stronę. Zszedłem nad samą wodę i zobaczyłem po drugiej stronie, na piasku, tancerkę. Wydała mi się naga, ale białosc jej ciała była nienaturalna. Małymi, chwiejnymi krokami zbiegła ku wodzie, kiedy odbiła się w niej, rozłożyła nagle ręce, skłoniła głowę — to był koniec, lecz nikt nie zaklaskał, tancerka trwała kilka sekund bez ruchu, potem poszła wolno brzegiem, obchodząc wkoło nierówną linię brzegu. Była może o trzydzieści kroków ode mnie. kiedy coś się z nią stało. Przed chwilą widziałem jeszcze jej uśmiechniętą wyczerpaną twarz, nagle jakby ją coś przesłoniło, sylwetka jej zadrżała i znikła.

Czy pławę dla pana? — rozległ się za mną uprzejmy głos. Odwróciłem się, nikogo, tylko opływowy stół, krocący na śmiesznie zgiętych nóżkach; poruszał się, kieliszki z musującym płynem, stojące szeregami na bocznych tackach, drżały — jedno ramię podtykało mi uprzejmie ów napój, drugie sięgało już po talerz, z otworem na palec, podobny do małej, wklęsłej palety — to był automat, widziałem tlejący za centralną szybką żar jego tranzystorowego serca.

Wyminąłem tak wiernopoddańczo wyciągające się owadzie ramiona, objuczone przysmakami, którymi wzgardziłem, i wyszedłem szybko ze sztucznej grotty, zacisnąwszy szczęki, jakby spotkała mnie niezrozumiała obelga. Przeszedłem przez całą szerokość terasy, między esami stolików, pod alejami lampionów, obsypywany nieważkim pyłem rozpadających się, dogorywających świetlików, czarnych, złotych. U samego brzegu, obwiedzonego kamieniem, starym, jakby przymglonym od żółtawego porostu, owiał mnie na reszcie prawdziwy wiatr, czysty, chłodny. Obok stał wolny stół. Usiadłem, nieporęcznie, plecami do ludzi, patrząc w noc. W dole rozpościerała się ciemność bezkształtna i niespodziana, dopiero daleko, bardzo daleko na jej obrzeżach tlały cienkie, chwiejne światła, osobliwie niepewne, jakby to nie była elektryczność, a jeszcze dalej wznosiły się w niebo szpady światła, zimne, cienkie, nie wiedziałem, domy czy słupy jakiegoś, wziąłbym je za snopy reflektorów, gdyby nie to, że znaczyła je delikatna siateczka — tak mógłby wyglądać wbity nasadą w ziemię szklany cylinder, dosięgający chmur, wypełniony na przemian wklęsłymi i wypukłymi soczewkami. Musiały być nieprawdopodobnej wysokości, wokół nich mżyło

niecو światel, pulsujących tak, że raz okalał je wieniec pomarańczowej, a raz prawie białej poświaty. To było wszystko, tak wyglądało miasto; usiłowałem odnaleźć ulice, domyślić się ich, lecz ten ciemny i jak gdyby martwy obszar w dole rozpościerał się na wszystkie strony, nie rozwidniony ani iskierką.

— Kol?... — usłyszałem wypowiedziane chyba nie po raz pierwszy, ale zrazu nie wziąłem tego do siebie. Nim się jeszcze odwróciłem na dobre, zrobił to za mnie fotel. Stała przede mną dziewczyna, może dwudziestoletnia, w błękicie, który przylegał do niej jak zakrzepły, ramiona i piersi ginęły w granatowym puchu, który stawał się dołem coraz przejrzystszy. Jej smukły, piękny brzuch był jak rzeźba w oddychającym metalu. W uszach miała coś świecącego, tak dużego, że zasłaniało konchy, małe, niepewnie uśmiechnięte wargi — umalowane, nozdrza też wewnątrz czerwone — zauważyłem, że tak właśnie nosi się większość kobiet. Ujęła oburącz oparcie fotela naprzeciw mnie, ze słowami: — Co u ciebie, kol!

Usiadła. Odniosłem wrażenie, że jest trochę pijana.

— Nudno tu — podjęła po chwili. — Nie? Weźmiemy się gdzieś, kol?

— Nie jestem kol... — zacząłem. Oparła się łokciami o stół i poruszała ręką nad napełnionym do połowy kieliszkiem, aż koniec złotego łańcuszka, owiniętego wokół palców, umoczył się w płynie. Pochylała się przy tym coraz bardziej. Czułem jej oddech. Jeżeli była pijana, to nie alkoholem.

— Jak to? — powiedziała. — Jesteś. Musisz być. Każdy jest kol. Chcesz? Weźmiemy się? Żebym przynajmniej wiedział, co to znaczy.

— Dobrze — powiedziałem.

Wstała. I ja wstałem z tego okropnie niskiego fotela.

— Jak ty to robisz? — spytała.

— Co?

Popatrzyła na moje nogi.

— Myślałam, że stoisz na palcach...

Uśmiechnąłem się milcząc. Podeszła do mnie, wzięła mnie pod ramię i znowu się zdziwiła.

— Co ty tam masz?

— Gdzie, tu? Nic.

— Śpiewasz — powiedziała i pociągnęła mnie lekko. Poszliśmy między stolikami, a ja zastanawiałem się nad tym, co może znaczyć „śpiewasz” — może „bujasz”?

Zaprowadziła mnie ku ciemnołotej ścianie, tam gdzie świecił na niej znak podobny trochę do wiolinowego klucza. Kiedy byliśmy tuż, ściana otwarła się. Poczulem podmuch gorącego powietrza.

Wąski, srebrny eskalator płynął w dół. Staliśmy obok siebie. Nie sięgała mi ramienia. Miała kocią czaszkę, czarne z błękitnym lśnieniem włosy, profil może zbyt ostry, ale była ładna. Tylko te szkarłatne nozdrza... Trzymała mnie mocno cienką dłonią, zielone paznokcie wpijały się w gruby materiał swetra. Uśmiechnąłem się mimo woli, samymi kącikami warg, na myśl o tym, gdzie bywał dotąd ten sweter i jak mało miał wspólnego z kobiecymi palcami. Pod okrągłym sklepieniem, które oddychało światłami — od różu w karmin, od karminu w róż — wyszliśmy na ulicę. To znaczy, pomyślałem, że to ulica, ale ciemność nad nami co chwila rozwidniała się, jak od momentalnego świtu. Dalej przepływały długie, niskie sylwetki, jakby auta, ale wiedziałem już, że nie ma aut. To musiało być coś innego. Gdybym był sam, poszedłbym tą szeroką arterią, bo w dali jaśniały litery DO CENTRUM, ale to pewno wcale nie oznaczało centrum miasta. Zresztą dałem się prowadzić. Jakkolwiek miała się skończyć ta przygoda, znalazłem przewodniczkę i pomyślałem — tym razem już bez gniewu — o nieszczęsnym facecie, który teraz, w trzy godziny po moim przyjeździe, szukał mnie już na pewno wszystkimi inforami tego dworca—miasta.

Minęliśmy kilka pustoszejących lokali, witryny, w których grupy manekinów odgrywały

wciąż jedną i tę samą scenę, w kółko, i chętnie przystanąłbym, aby obejrzeć, co one robią, ale dziewczyna szła szybko, stukając pantofelkami, aż na widok neonowej twarzy z pulsującymi rumieńcami, która wciąż oblizywała się wywalonym śmiesznie językiem, zawołała:

— O, bonsy! Chcesz bonsa?

— A ty chcesz? — spytałem.

— Zdaje mi się, że tak.

Weszliśmy do małej błyszczącej salki. Zamiast sufitu miała długie rzędy gorejących płomyczków, jakby gazowych; z góry buchnęło ciepło, to chyba naprawdę był gaz. W ścianach widniały niewielkie wnęki z pulpitemi; kiedyśmy podeszli do jednej, po obu stronach wysunęły się ze ścian siedzenia, wyglądało to, jakby wyrosły z niej najpierw nierozwinięte, jak pączki, rozpląszczyły się w powietrzu i zakłęsnawszy, znieruchomiały. Siedliśmy naprzeciw siebie, dziewczyna stuknęła dwoma palcami w metalową płytkę stolika, ze ściany wyskoczyła niklowa łapka, rzuciła przed każde z nas po małym talerzyku i dwoma błyskawicznymi ruchami cisnęła na oba po porcji białawej masy, która pieniać się zbrązowiła i zastygła, a równocześnie pociemniał i sam talerzyk. Dziewczyna zwinęła go wówczas — nie był to wcale talerzyk — na kształt naleśnika i zaczęła jeść.

— Och — powiedziała pełnymi ustami — nic wiedziałam nawet, jaka jestem głodna!

Zrobiłem dokładnie jak ona. Bons nie był podobny w smaku do niczego, co kiedykolwiek jadłem. Trzeszczał pod zębami jak świeżo upieczona bułka, ale natychmiast rozsypywał się i rozpląwał na języku; brunatna masa, która znajdowała się w środku, była ostro przyprawiona. Pomyślałem, że będę lubił bonsy.

— Jeszcze? — spytałem, kiedy zjadła swojego. Uśmiechnęła się, potrząsając głową. Wychodząc, w przejściu włożyła na chwilę obie dłonie do małej niszy wykładanej kafelkami — coś w niej szumiało. Naśladowałem ją. Łaskoczący wicher owiał mi palce; kiedy je wyjąłem, były już suche i czyste. Pojechaliśmy potem szerokim eskalatorem na górę. Nie wiedziałem, czy to jeszcze wciąż dworzec, ale wolałem nie pytać. Wprowadziła mnie do małej kabiny w ścianie — było tam niezbyt jasno, miałem wrażenie, że górą przebiegają jakieś pociągi, bo podłoga dygotała. Zrobiło się na ułamek sekundy ciemno, coś odetchnęło głęboko pod nami, jakby metalowy potwór wypuścił z płuc powietrze, zajaśniało, dziewczyna pchnęła drzwi. To była chyba naprawdę ulica. Znajdowaliśmy się na niej całkiem sami. Niewielkie strzyżone krzewy rosły po obu stronach chodnika; nieco dalej stały stłoczone płaskie, czarne maszyny, jakiś człowiek wyszedł z cienia, skrył się za jedną; nie widziałem, żeby otwierał drzwi, po prostu znikł nagle, a maszyna ruszyła z miejsca z takim impetem, że musiało go chyba rozpląszczyć na siedzeniu; nie widziałem żadnych domów; tylko gładką jak stół jezdnię, pokrytą pasami matowego metalu; na skrzyżowaniach poruszały się, zawieszane nad brukiem, szczelinowate światła, pomarańczowe i czerwone; wyglądały trochę jak makiety wojennych reflektorów.

— Gdzie się weźmiemy? — spytała dziewczyna. Trzymała mnie wciąż za ramię. Zwolniła kroku. Czerwona smuga przeszła po jej twarzy.

— Gdzie chcesz.

— To chodźmy do mnie. Nie warto brać glidera. To blisko.

Poszliśmy przed siebie. Domów dalej nie było widać, a wiatr, biegnący z ciemności, spoza krzewów, był taki, jakby rozpościerała się tu wolna przestrzeń. Wokół dworca, w samym centrum? Dziwne mi się to wydało. Niósł słabą woń kwiatów, którą chwytałem chciwie w nozdrza. Czeremcha? Nie, to nie była czeremcha.

Potem trafiliśmy na ruchomy chodnik; staliśmy na nim, osobliwa para, światła przepływały, czasem śmignął pojazd, jak odlany z jednej bryły czarnego metalu, nie miały okien, kół, nawet światła żadnych, a pędziły jak ślepe, z niezwykłą szybkością. Te ruchome światła buchały z wąskich, pionowych szczelin, zawieszonych nisko nad ziemią. Nie mogłem się zorientować, czy mają coś wspólnego z ruchem i jego regulacją.

Od czasu do czasu niewidzialnym niebem przeciągał, wysoko nad nami, żalony świst. Dziewczyna zeszła nagle z płynącego pasa, tylko po to, aby wejść na inny, który pomknął stromo w górę, i naraz ujrzałem się wysoko, napowietrzna jazda trwała może pół minuty i zakończyła się na pełnym słabo pachnących kwiatów występie, jakbyśmy się dostali na taras czy balkon ciemnego domu wjechawszy przystawionym do ściany transporterem. Dziewczyna weszła w głąb tej loggii, a ja oczami przywykłymi już do ciemności wyławiałem z niej wielkie sylwety okolicznych domów, bezokienne, czarne, wymarłe jakby, bo nie tylko brak było światła — nie dobiegał także najśłabszy dźwięk, oprócz ostrego syku, zwiastującego przejazd ulicą tych czarnych maszyn; dziwiło mnie to, rozmyślne chyba, zaciemnienie, jak również brak reklamowych szyldów po neonowej orgii dworca, nie miałem jednak czasu na te rozmyślenia. — Chodź, gdzie jesteś?! — usłyszałem szept. Widziałem tylko bladą plamę jej twarzy. Przyłożyła rękę do drzwi, otworzyły się, ale nie do mieszkania, podłoga miękko ruszyła wraz z nami — tu kroku nie można postąpić, pomyślałem, dziwne, że mają jeszcze nogi — ale ta ironia była lichej próby, brała się z nieustającego zaskoczenia, z poczucia nierzeczywistości wszystkiego, co działo się ze mną od wielu godzin.

Byliśmy jakby w wielkiej sieni czy korytarzu, szerokim, prawie ciemnym — jaśniały tylko naroża ścian, powleczone smugami luminizującej farby. W najciemniejszym miejscu dziewczyna znów przyłożyła rozpostartą płasko dłoń do metalowej płytki w drzwiach i weszła pierwsza. Zmrużyłem oczy; hali, mocno oświetlony, był prawie pusty — szła ku następnym drzwiom; kiedy zbliżyłem się do ściany, ta nagle otwarła się, ukazując wnętrze pełne jakichś metalowych buteleczek. Stało się to tak nagle, że mimo woli stanąłem.

— Nie strasz mi szafy — powiedziała już z drugiego pokoju.

Wszedłem za nią.

Meble wyglądały jak odlane ze szkliwa, foteliki, niska kanapka, małe stoliczki — w półprzeźroczystym tworzywie krążyły wolno roje świetlików, czasem rozsypywały się, to znów spływały w strumyczki i wtedy we wnętrzu sprzętów krążyła jak gdyby bladozielona, przemieszana z różowymi błyskami, świetlista krew.

— Czemu nie siadasz?

Stała w głębi. Fotel rozchylił się, by mnie przyjąć. Nie cierpiałem tego. To szkliwo nie było szkliwem — wrażenie takie, jakbym usiadł na powietrznych poduszkach, a spojrzawszy w dół mogłem poprzez wygiętą, grubą taflę siedzenia widzieć niewyraźnie podłogę.

Kiedy wszedłem, wydało mi się, że ściana naprzeciw drzwi jest ze szkła i widzę przez nią drugi pokój, z jakimiś ludźmi, jakby się tam odbywało przyjęcie, ale ci ludzie byli nadnaturalnego wzrostu — i pojąłem naraz, że mam przed sobą całoscienny ekran telewizyjny. Głos był wyłączony; teraz, siedząc, widziałem ogromną kobiecą twarz, zupełnie jakby ciemnoskóra olbrzymka zaglądała przez szybę do pokoju; wargi jej poruszały się, mówiła, a klejnoty zakrywające konchy uszu, wielkości tarczy, migotały brylantowo.

Poprawiłem się na fotelu. Dziewczyna, z ręką osuwającą się po biodrze — jej brzuch naprawdę wyglądał jak rzeźba z lazurowego metalu — patrzyła na mnie uważnie. Nie wyglądała już na pijaną. Może mi się przedtem tylko zdawało.

— Jak się nazywasz? — spytała.

— Bregg. Hal Bregg. A ty?

— Nais. Ile masz lat?

Ciekawe zwyczaje — pomyślałem. — Ale cóż — widać tak trzeba.

— Czterdzieści — a co?

— Nic. Myślałam, że masz sto. Uśmiechnąłem się.

— Mogę mieć, jeśli ci na tym zależy. — Najśmieszniejsze, że to prawda — pomyślałem.

— Co ci dać? — spytała. — Do picia? Dziękuję, nic.

— Jak chcesz.

Podeszła do ściany, otworzył się jakby mały bar. Zasłoniła sobą otwór. Kiedy się

odwróciła, niosła tackę z kubkami i dwiema flaszkami. Lekko nacisnąwszy flaszkę, nalała mi do pełna — płyn wyglądał zupełnie jak mleko.

— Dziękuję — powiedziałem — dla mnie nie...

— Przecież nic ci nie daję — zdziwiła się.

Widząc, że popełniłem błąd, choć nie wiedziałem jaki, mruknąłem pod nosem i wziąłem ten kubek. Sobie nalała z drugiej flaszki. Płyn był oleisty, bezbarwny, pod powierzchnią lekko musował, zarazem ciemniejąc, jakby od zetknięcia z powietrzem; usiadła i dotykając wargami szkła spytała od niechcienia:

— Kto ty jesteś?

— Kol — odparłem. Podniosłem kubek, jakbym chciał mu się przyjrzeć, to mleko nie miało żadnego zapachu. Nie tknąłem go.

— Nie, serio — powiedziała. — Myślałeś, że nadaję w ciemne, co? Skąd. To był tylko kals. Byłam z szóstką, wiesz, ale zrobiło się okropne dno. Orka do niczego i w ogóle... chciałam właśnie wyjść, kiedy się przysiadłeś.

Coś niecoś jednak łapałem: musiałem, niechcący, usiąść przy jej stoliku, kiedy jej nie było, może tańczyła? Milczałem dyplomatycznie.

— Wyglądałeś z daleka tak... — nie mogła znaleźć określenia.

— Solidnie? — odpowiedziałem. Jej powieki drgnęły. Czy i na nich miała metaliczną błonkę? Nie, to chyba szminka. Uniosła głowę.

— Co to znaczy?

— No... e... godny zaufania...

— Dziwnie mówisz. Skąd jesteś?

— Z daleka.

— Mars?

— Dalej.

— Lataasz?

— Latałem.

— A teraz?

— Nic. Wróciłem.

— Ale będziesz znowu latał?

— Nie wiem. Chyba nie.

Rozmowa ta wygasła jakoś — zdawało mi się, że dziewczyna żalowała już trochę lekkomyślnych zaprosin, i chciałem jej to ułatwić.

— Może pójdę? — spytałem. Wciąż trzymałem nie tknięty napój.

— Dlaczego? — zdziwiła się.

— Myślałem, że to by ci... odpowiadało.

— Nie — powiedziała — ty myślisz — nie, skąd... czemu nie pijesz?

— Piję.

To jednak było mleko. O tej porze, w takich okolicznościach! Byłem taki zdumiony, że musiała zauważyć.

— Co, niedobre?

— To... mleko... — powiedziałem. Musiałem mieć minę kompletnego bałwana.

— Skąd? Jakie mleko? To bryt... Westchnąłem.

— Słuchaj, Nais... ja chyba pójdę już. Naprawdę Tak będzie lepiej.

— To po coś pił? — spytała.

Patrzałem na nią, milcząc. Język nie zmienił nawet tak bardzo — tylko nic nie rozumiałem. Nie. To oni się zmienili.

— Jak chcesz — powiedziała w końcu. — Nie trzymam cię. Ale teraz to... — Zmieszała się. Wypiła swoją lemoniadę — tak nazwałem w myśli ten musujący trunek — a ja znów nie wiedziałem, co powiedzieć. Jakie to wszystko było trudne.

— Opowiedz mi o sobie — zaproponowałem — chcesz?

— Dobrze. A ty mi potem powiesz?...

— Tak.

— Jestem na Kawucie, drugi rok. Opuściłam się trochę ostatnio, nie piastowałam regularnie, i... tak jakoś. Szóstkę mam nieciekawą. Tak naprawdę, to... nikogo nie mam. To dziwne...

— Co?

— Że nie mam...

I znów te ciemności. O kim mówiła? Kogo nie miała? Rodziców? Kochanków? Znajomych? Jednak Abs miał rację, że bez ośmiu miesięcy w Adapcie nie dam sobie rady. Ale teraz, bardziej może niż przedtem, nie chciałem, skruszony, wracać do szkółki.

— I co dalej? — spytałem, a że trzymałem wciąż kubek w ręku, pociągnąłem znowu łyk tego mleka. Oczy jej rozszerzyły się od zdziwienia. Coś, jakby kpiący uśmieszek, tknęło jej wargi. Wychyliła swój kubek do dna, sięgnęła ręką do puszystego okrycia ramion i rozdarła je — nie rozpięła, nie rozebrała, tylko zdarła, a strzępy wypuściła z palców, jak śmiecie.

— W końcu mało się znamy — powiedziała. Była jakby swobodniejsza. Uśmiechała się. Chwilami stawała się śliczna, zwłaszcza gdy mrużyła oczy, a dolna warga, kurcząc się, ukazywała lśnienie zębów. Miała w twarzy coś egipskiego. Egipski kot. Włosy więcej niż czarne, a kiedy ściągnęła z ramion i piersi futrzany puch, zobaczyłem, że wcale nie jest taka chuda, jak mi się zdawało. Ale dlaczego podarła?... Czy to coś znaczyło?

— Miałeś mówić? — powiedziała, patrząc na mnie znad kubka.

— Tak — powiedziałem — i poczułem tremę, jakby od moich słów Bóg wie co miało zależeć. — Jestem... byłem pilotem. Ostatni raz byłem tu... nie przestrasz się!

— Nie. Mów!

Jej oczy były uważne i błyszczące.

— Sto dwadzieścia siedem lat temu. Miałem trzydzieści lat. Ekspedycja... byłem pilotem wyprawa do Fomalhaut. To jest dwadzieścia trzy lata świetlne. Lecieliśmy, w jedną i drugą stronę, sto dwadzieścia siedem lat czasu Ziemi i dziesięć lat czasu pokładowego. Cztery dni temu wróciliśmy... „Prometeusz” mój statek — został na Lunie. Przyjechałem stamtąd dziś. To wszystko.

Patrzyła na mnie. Nic nie mówiła. Jej wargi poruszyły się, rozwarły, zeszyły. Co to było w jej oczach! Zdumienie? Podziw? Strach?

— Dlaczego nic nie mówisz? — spytałem. Musiałem odchrząknąć.

— To... ile ty naprawdę masz lat?

Musiałem się uśmiechnąć; nie był to miły uśmiech.

— Co to znaczy — naprawdę? Biologicznych czterdzieści, a według ziemskich zegarów — sto pięćdziesiąt siedem...

Długie milczenie i nagle:

— Czy tam były kobiety?

— Czekaj — powiedziałem. — Masz coś do picia?

— Jak to?

— Coś trującego, wiesz. Mocnego. Alkohol... czy go już nie pije?

— Bardzo rzadko... — odpowiedziała całkiem cicho, jakby myślała o czymś innym. Jej ręce opadły dotknęły metalicznego błękitu sukni.

— Dam ci... angehenu, chcesz? Prawda, ty nie wiesz co to jest?

— Nie. Nie wiem — odpowiedziałem z niespodziewaną zaciętością. Poszła do baru i wróciła z małą pękatą flaszką. Nalała mi. Był w tym alkohol — niewiele — było coś jeszcze — osobliwy, cierpki smak.

— Nie gniewaj się — powiedziałem, wychyliwszy kubek, i nalałem sobie drugi raz.

— Nie gniewam się. Nie odpowiedziałeś, może nie chcesz?

— Czemu nie? Mogę. Wszystkiego było nas dwudziestu trzech, na dwóch statkach. Drugi to „Ulisses”. Po pięciu pilotów, a reszta — uczeni. Nie było żadnych kobiet.

— Dlaczego?

— Przez dzieci — wyjaśniłem. — Nie można chować dzieci na takich statkach, a jeśli nawet można, nikt tego nie chce. Przed trzydziestką nie da się lecieć. Trzeba mieć za sobą dwa wydziały, plus cztery lata treningu, łącznie dwanaście lat. Jednym słowem — trzydziestoletnie kobiety mają zwykle dzieci. Były i... inne względy.

— A ty? — spytała.

— Byłem sam. Wybrano samotnych. To znaczy — ochotników.

— Chciałeś...

— Tak. Rozumie się.

— I nie...

Urwała. Wiedziałem, co chciała powiedzieć. Milczałem.

— To musi być niesamowite... tak wrócić... — powiedziała prawie szeptem. Wzdrygnęła się. Naraz spojrzała na mnie, policzki pociemniały jej, to był rumieniec.

— Słuchaj, to, co mówiłam przedtem, to był tylko żart, naprawdę...

— O tych stu latach?

— Tak powiedziałam, ot, żeby coś powiedzieć, to nie miało...

— Przestań — mruknąłem. — Jeszcze trochę przeprosin, a naprawdę pocuję ten czas.

Milczała. Zmusiłem się, by na nią nie patrzeć. W głębi, w tym drugim, nie istniejącym pokoju za szkłem ogromna męska głowa śpiewała bez głosu, widziałem drgającą z wysiłku ciemną czerwień gardła, lśniące policzki, cała twarz podrygiwała w niesłyszalnym rytmie.

— Co będziesz robił? — spytała cicho.

— Nie wiem. Nie wiem jeszcze.

— Nie masz żadnych planów?

— Nie. Mam trochę — taka... premia, wiesz. Za ten cały czas. Kiedy startowaliśmy, złożono w banku, na moje imię — nawet nie wiem, ile tego jest. Nic nie wiem. Słuchaj, co to jest Kawut?

— Kawuta? — poprawiła. — To... takie — studium, piastowanie, samo w sobie nie wielkiego, ale można się czasem dostać do realu...

— Czekać... więc co ty właściwie robisz?

— Plast, no, nie wiesz, co to jest?

— Nie.

— Jak by ci... po prostu, robi się suknie, w ogóle stroje — wszystko...

— Krawiectwo?.

— Co to znaczy?

— Szyjesz coś?

— Nie rozumiem.

— Wielkie nieba, czarne i niebieskie! Projektujesz modele sukien?

— No... tak, w pewnym sensie tak. Nie projektuję, tylko robię...

Dałem temu spokój.

— A co to jest real?

To ją naprawdę wzięło. Pierwszy raz popatrzyła na mnie jak na istotę z innego świata.

— Real to... real... — powtórzyła bezradnie. — To są takie... historie, to się ogląda...

— To? — wskazałem na szklaną ścianę.

— Ach, nie, to jest wizja...

— Więc co? Kino? Teatr?

— Nie. Teatr, wiem, co to było — to było dawniej. Wiem: tam byli prawdziwi ludzie. Real jest sztuczny, ale nie można odróżnić. Chyba żeby tam wejść, do nich...

— Żeby wejść?...

Głowa olbrzyma przewracała oczami, zataczała się, patrzyła na mnie, jakby się doskonale bawił obserwowaniem tej sceny.

— Słuchaj, Nais — powiedziałem nagle — albo pójdę już, bo bardzo późno, albo...

— Wolałabym to drugie.

— Przecież nie wiesz, co chcę powiedzieć,

— To powiedz.

— Dobrze. Chciałem cię jeszcze zapytać o różne rzeczy. O wielkich, najważniejszych już trochę wiem; cztery dni siedziałem w Adapcie, na Lunie. Ale to było od wielkiego dzwonu. Co wy robicie — kiedy nie pracujecie?

— Można robić masę rzeczy — powiedziała. — Można podróżować, naprawdę albo mutem. Można się bawić, chodzić do realu, tańczyć, grać w tereo, uprawiać sporty, pływać, latać — co tylko chcesz.

— Co to jest mut?

— To trochę jak real, tylko że wszystkiego można dotknąć. Można chodzić tam po górach, po wszystkim — sam zobaczysz, tego się nie da powiedzieć. Ale zdaje mi się, że chciałeś spytać o coś innego?...

— Dobrze ci się zdaje. Jak jest — między kobietami i mężczyznami?

Powieki jej zadrgały.

— Chyba tak, jak było zawsze. Co mogło się zmienić?

— Wszystko. Kiedy odlatywałem — nie weź mi tego za złe — dziewczyna, jak ty, nie zaprowadziłaby mnie do siebie o tej porze.

— Naprawdę? Dlaczego?

— Boby to miało określony sens. Milczała chwilę.

— A skąd wiesz, że go nie miało?

Moja mina bawiła ją. Patrzałem na nią; przestała się uśmiechać.

— Nais... jak to... — wybełkotałem — bierzesz zupełnie obcego faceta i...

Milczała.

— Czemu nie odpowiadasz?

— Bo nic nie rozumiesz. Nie wiem, jak ci to powiedzieć. To nic nie jest, wiesz...

— Aha. To nic nie jest — powtórzyłem. Nie mogłem usiedzieć. Wstałem. Skoczyłem prawie, przez zapomnienie: drgnęła.

— Przepraszam — mruknąłem i zacząłem chodzić. Za szkłem rozpościerał się park w porannym słońcu; aleją, pośród drzew o bladoróżowych liściach szło trzech chłopców w koszulkach błyszczących jak zbroje.

— Czy istnieją małżeństwa?

— Naturalnie.

— Nic nie rozumiem! Wyłumacz mi to. Opowiedz. Widzisz mężczyznę, który ci odpowiada, i nie znając go, od razu...

— Ależ co tu jest do opowiadania? — powiedziała niechętnie. — Czy naprawdę za twoich czasów, wtedy — dziewczyna nie mogła wpuścić do pokoju żadnego imęczyziny?

— Mogła, oczywiście, i nawet z tą myślą, ale... nie w pięć minut po zobaczeniu go...

— A w ile minut?

Popatrzałem na nią. Spytała całkiem serio. No tak, skąd mogła wiedzieć; wzruszyłem ramionami.

— Nie chodziło o czas, tylko — tylko musiała najpierw coś... zobaczyć w nim, poznać go, polubić, najpierw chodzili...

— Czekał — powiedziała. — Zdaje się, że ty... nic nie rozumiesz. Przecież dałam ci bryt.

— Jaki bryt? A, to mleko? No to co?

— Jak to co? Czy... nie było brytu?

Zaczęła się śmiać; pokładała się ze śmiechu. Nagle urwała, spojrzała na mnie i okropnie

się zaczerwieniła.

— To ty myślałeś... myślałeś, że ja... nie!! Usiadłem. Palce miałem niepewne, chciałem w nich coś trzymać. Wyciągnąłem z kieszeni papierosa i zapaliłem go. Otworzyła oczy.

— Co to jest?

— Papieros. Jak to — nie palicie?

— Pierwszy raz to widzę... tak .wygląda papieros? Jak możesz tak wciągać dym? Nie, czekaj — tamto jest 'ważniejsze. Bryt to nie żadne mleko. Nie wiem, co tam jest, ale obcemu zawsze daje się bryt.

— Mężczyźnie?

— Tak.

— No więc co z tego?

— To z tego, że jest — że musi być grzeczny. Wiesz co... może ci to jakiś biolog wytłumaczy.

— Do diabła z biologiem. Czy to znaczy, że mężczyzna, któremu dałaś bryt, nie może nic?

— Naturalnie.

— A jeżeli nie będzie chciał wypić? — Jak może nie chcieć?

Tu kończyło się wszelkie porozumienie.

— Przecież nie możesz go zmusić — podjąłem cierpliwie.

— Wariat mógłby nie wypić... — powiedziała wolno — ale nie słyszałam o czymś takim, nigdy...

— Czy to jest taki zwyczaj?

— Nie wiem, co ci powiedzieć. Czy nie chodzisz nagi przez zwyczaj?

— Aha. No, w pewnym sensie — tak. Ale na plaży można się rozebrać.

— Do naga? — spytała z nagłym zainteresowaniem.

— Nie. Kostium kąpielowy... ale były grupy ludzi, za moich czasów, nazywali się nudyści...

— Wiem. Nie, to coś innego, myślałam, że wyście wszyscy...

— Nie. Więc to picie jest... takie, jak noszenie ubrań? Takie konieczne?

— Tak. Kiedy jest — dwoje.

— No, a dalej?

— Co dalej?

— Za drugim razem?

Idiotyczna była ta rozmowa i czułem się okropnie, ale musiałem się w końcu dowiedzieć.

— Potem? Rozmaicie bywa. Niektórym... zawsze daje się bryt...

— Czarna polewka! — wyrwało mi się.

— Co to znaczy?

— Nie, nic. A jak dziewczyna idzie do kogoś, to co?

— To on pije u siebie.

Patrzyła na mnie prawie z politowaniem. Byłem jednak uparty.

— A jak nie ma?

— Brytu? Jak może nie mieć?

— No, skończył mu się: Albo... może przecież skłamać.

Zaczęła się śmiać.

— Przecież to... myślisz, że ja te wszystkie flaszki trzymam tu, w mieszkaniu?

— Nie? A gdzie?

— Nie wiem nawet, skąd się biorą. Czy za twoich czasów był wodociąg?...

— Był — powiedziałem ponuro. Mogło nie być, naturalnie! Mogłem wleźć do rakiety prosto z lasu. Przez chwilę byłem wściekły, ale zmitygowałem się, to nie była w końcu jej wina.

— No widzisz — czy wiedziałeś, którędy płynie ta woda, zanim...

— Rozumiem, nie kończ. Dobrze. Więc to jest taki środek ostrożności? Bardzo dziwne!
— Wcale nie uważam — powiedziała. — Co ty tam masz, białego, pod swetrem?
— Koszulę.
— Co to jest?
— Koszuli nie widziałas?! Takie, no — bielizna. Z nylonu.
Podrolowałem rękaw i pokazałem jej.
— Ciekawe — powiedziała.
— Taki zwyczaj... — odparłem bezradnie. Rzeczywiście, mówili mi w Adapcie, żebym przestał ubierać się jak przed stu laty; nie chciałem. Nie mogłem jednak nie uznać jej racji, bryt był dla mnie tym, czym dla niej koszula. W końcu nikt nie zmuszał ludzi, by nosili koszule, niemniej wszyscy nosili. Widać z brytem było to samo.
— Jak długo działa bryt? — spytałem. Zarumieniła się trochę.
— Jak ci się spieszy. Jeszcze nic nie wiadomo.
— Nie powiedziałem nic złego — broniłem się — chciałem wiedzieć tylko... czemu tak patrzysz? Co ci jest? Nais!
Podniosła się wolno. Stała za fotelem.
— Jak dawno temu — mówiłeś? Sto dwadzieścia lat?...
— Sto dwadzieścia siedem. I co z tego?
— A czy ty... byłeś... betryzowany?
— Co to jest!
— Nie byłeś?!
— Kiedy nie wiem nawet, co to znaczy. Nais... dziewczyno, co się z tobą dzieje?
— Nie... nie byłeś — szeptała. — Gdybyś był, wiedziałbyś chyba...
Chciałem podejść do niej. Podniosła rękę.
— Nie zbliżaj się. Nie! Nie! Błagam cię! Cofała się ku ścianie.
— Przecież sama mówiłaś, że ten bryt... już siadam, No, siadę, widzisz, uspokój się. Co to za historia, z tym be... coś tam?
— Nie wiem dokładnie. Ale... każdy jest betryzowany. Po urodzeniu.
— Co to jest?
— Zdaje się, że wprowadzają coś do krwi.
— Wszystkim?
— Tak. Bo właśnie... bryt... nie działa bez tego. Nie ruszaj się!
— Dziecko, nie bądź śmieszna. Zgasłem papierosa.
— Nie jestem przecież dzikim zwierzęciem... Nie gniewaj się, ale... mnie się zdaje, że wyście wszyscy trochę sfiksowali. Ten bryt... no, zupełnie jakby skuwać wszystkim kajdankami ręce, bo a nuż ktoś jest złodziejem. W końcu... można mieć trochę zaufania.
— Doskonały jesteś — trochę jakby ochłoneła, ale wciąż nie siadała. — To dlaczego oburzałeś się tak przedtem, że sprowadzam obcych!
— To coś innego.
— Nie widzę różnicy. Na pewno nie byłeś betryzowany?
— Nie byłem.
— A może teraz? Jak wróciłeś?
— Nie wiem. Robili mi rozmaite zastrzyki. Co to ma za znaczenie?
— Ma. Robili ci? To dobrze. Usiadła.
— Mam do ciebie prośbę — powiedziałem najspokojniej, jak umiałem. — Musisz mi to wytłumaczyć...
— Co?
— Twój strach. Bałaś się, że się na ciebie rzucę czy jak? Przecież to nonsens!
— Nie. Rozumowo biorąc, nie, ale — to było silne, wiesz. Taki szok. Nigdy nie widziałam człowieka, który by nie był...

— Ale tego nie można przecież poznać?
— Można. Jeszcze jak można!
— Jak? Milczała.
— Nais...
— Kiedy...
— Co?
— Boję się...
— Powiedzieć?
— Tak.
— Ależ dlaczego?
— Zrozumiałbyś, gdybym ci powiedziała. Bo, widzisz, betryzuje się nie przez bryt. Z brytem to jest tylko — uboczne... Chodzi o coś innego... — Była blada. Wargi jej drżały. Co za świat, myślałem, co to za świat!
— Nie mogę. Okropnie się boję.
— Mnie?!
— Tak.
— Przysięgam ci, że...
— Nie, nie... ja ci wierzę, tylko... nie. Tego nie możesz zrozumieć.
— Nie powiesz mi?
Musiało być coś takiego w moim głosie, że się przemogła. Jej twarz stała się surowa. Widziałem po oczach, jaki to był wysiłek.
— To jest... po to... aby nie można... zabijać.
— Nie może być! Człowieka?! — Nikogo...
— Zwierząt też?
— Też. Nikogo...
Splatała i rozplatała palce, nie spuszczając ze mnie oczu — jak gdyby tymi słowami spuściła mnie z niewidzialnego łańcucha, jakby mi włożyła w ręce nóż, którym mogę ją przebić.
— Nais — powiedziałem całkiem cicho. — Nais, nie bój się. Naprawdę... nie ma się kogo bać.
Usiłowała się uśmiechnąć.
— Słuchaj...
— Tak?
— Kiedy to powiedziałam...
— Tak?
— Nic nie poczułeś?
— A co miałem poczuć?
— Pomyśl, że robisz to, co ci powiedziałam...
— Że zabijam? Mam to sobie wyobrazić?
Wzdrygnęła się.
— Tak...
— No to co?
— I nic nie czujesz?
— Nic. Ale przecież to tylko myśl i wcale nie mam zamiaru...
— Ale możesz? Co? Naprawdę możesz? Nie — szepnęła samymi wargami, jakby do siebie — ty nie jesteś betryzowany...
Teraz dopiero doszło do mnie znaczenie wszystkiego i zrozumiałem, że to mógł być dla niej wstrząs.
— To wielka rzecz — mruknąłem. Po chwili dodałem: — Ale może byłoby lepiej, gdyby ludzie odwykli od tego... bez sztucznych środków...

— Nie wiem. Może — odparła. Odetchnęła głęboko. — Już wiesz teraz, czemu się przestraszyłam?

— Tak naprawdę, to nie całkiem. Może trochę. No, nie myślałaś, że cię...

— Jaki ty jesteś dziwny! Zupełnie, jakbyś nie był... — urwała.

— Człowiekiem? Zatrzepotała powiekami. .

— Nie chciałam cię urazić, tylko, widzisz, jeżeli wiadomo, że nikt nie może — wiesz — ani nawet myśleć o tym, nigdy — i naraz pojawi się ktoś taki jak ty, to sama możliwość... to, że jest taki...

— To niemożliwe, żeby wszyscy byli — jak to? — a, betryzowani!

— Dlaczego? Wszyscy, mówię ci!

— Nie, niemożliwe — upierałam się. — A ludzie niebezpiecznych zawodów? Muszą przecież...

— Nie ma niebezpiecznych zawodów.

— Co ty — mówisz, Nais? A piloci? A różni ratownicy? A ci, co walczą z ogniem, z wodą...

— Takich nie ma — powiedziała. Wydało mi się, że nie dosłyszałam.

— Coo?

— Nie ma — powtórzyła. — To robią roboty. Nastąpiło milczenie. Pomyślałam, że niełatwo przyjdzie mi strawić ten nowy świat. I naraz przyszła refleksja, zadziwiająca przez to, że sam nigdy bym się jej nie spodziewał, gdyby ktoś przedstawił mi tę sytuację tylko jako teoretyczną możliwość: wydało mi się, że ten zabieg niweczający w człowieku zabójcą jest... okaleczeniem.

— Nais — powiedziałem — już bardzo późno. Pójdę chyba.

— Dokąd?

— Nie wiem. Prawda! Na dworcu miał na mnie czekać gość z Adaptu. Całkiem zapomniałem! Nie mogłem go znaleźć, wiesz. No, to... poszukam jakiegoś hotelu. Chyba są?

— Są. Skąd jesteś?

— Stąd. Urodziłem się tu.

Po tych słowach poczucie nierzeczywistości wszystkiego wróciło i nie byłem już pewien ani tamtego miasta, które istniało tylko we mnie, ani tego, widmowego, z pokojami, do których zaglądały głowy olbrzymów, tak że przez sekundę myślałem, czy' nie jestem na pokładzie i czy nie śni mi się jeszcze jeden, szczególnie wyraźny, koszmar powrotu.

— Bregg — usłyszałem jej głos jak z daleka. Drgnąłem. Zupełnie o niej zapomniałem.

— Tak... słucham?

— Zostań.

— Co? Milczała.

— Chcesz, żebym został?

Milczała. Podszedłem do niej, ująłem ją, nachylając się nad fotelem, za chłodne ramiona, uniosłem. Wstała bezwolnie. Głowa poleciała jej w tył, zęby załśniły, nie chciałem jej, chciałem tylko powiedzieć: przecież boisz się — i żeby powiedziała, że nie. Nic więcej. Oczy miała zamknięte, nagle białka błysły spod rzęs, pochylilem się nad jej twarzą, zajrzałem z bliska w zeszlone oczy, jakbym chciał poznać jej strach, podzielić go. Dysząc wrywała się, ale nie czułem tego, dopiero kiedy zaczęła jęczeć: nie! nie! — rozluźniłem chwyt. Omal nie upadła. Stała pod ścianą, zasłaniając część wielkiej, pyzatej twarzy, sięgającej sufitu, która tam, za szybą, bez przerwy mówiła coś, przesadnie poruszając ogromnymi ustami, mięsistym językiem.

— Nais... — powiedziałem cicho. Opuściłem rękę.

— Nie zbliżaj się!

— Przecież sama powiedziałaś...

Jej oczy były nieprzytomne.

Przeszedłem po pokoju. Wodziła za mną oczami, jakbym był... jakby stała w klatce...

— Pójdę już — odezwał się. Nic nie powiedziała. Chciałem coś dodać — kilka słów przeprosin, podziękowania, żeby nie wyjść tak, ale nie mogłem. Gdyby bała się tylko jak kobieta mężczyzny, obcego, niechby groźnego, nieznanego, no to pal sześć — ale to było inne. Spojrzałem na nią i poczułem, że ogarnia mnie gniew. Chwycić za te białe, nagie ramiona, potrząsnąć...

Odwróciłem się i wyszedłem; zewnętrzne drzwi poddały się, kiedy je pchnąłem, wielki korytarz był prawie ciemny. Nie umiałem odnaleźć wyjścia na ową terasę, ale trafiłem na pełne rozcieńczonego, sinawego światła cylindry — szyby wind. Ta, do której się zbliżyłem, jechała już w górę; może wystarczył sam nacisk nogi na próg. Winda opadała długo. Widziałem na przemian pokłady ciemności i przekroje stropów — białe, z czerwonym ośrodkiem, jak warstwy tłuszczu na mięśniach, uchodziły w górę, straciłem ich rachubę, winda opadała, wciąż opadała, było to jak podróż na dno, jakbym został rzucony w głąb sterylnej przewodu i ten olbrzymi, w śnie i bezpieczeństwie pogrążony budynek pozbywał się mnie, część przezroczystego cylindra otwarła się, poszedłem przed siebie.

Ręce w kieszeniach, ciemność, twardy, długi krok, wciągałem chciwie chłodne powietrze, czując, jak mi chodzą nozdrza, jak serce pracuje powoli, tłocząc krew, światła łopotały w niskich szczelinach jezdni, przesłaniane przez bezszelestne maszyny, nie było ani jednego przechodnia. Pomiędzy czarnymi sylwetkami stała luna, pomyślałem, że to może hotel. Był to tylko oświetlony chodnik. Pojechałem nim. Nade mną przepływały białawe przesła jakichś konstrukcji, gdzieś daleko, nad czarnymi krawędziami budynków, drobiły miarowo świecące litery dziennika, nagle chodnik wpłynął wraz ze mną do oświetlonego wnętrza i skończył się.

Szerokie stopnie płynęły w dół, srebrząc się jak oniemiały wodospad. Dziwiła mnie pustka; od opuszczenia Nais nie spotkałem ani jednego przechodnia. Eskalator był bardzo długi. Na dole jaśniała szeroka ulica, po obu stronach otwierały się w domach pasaż, pod drzewem o niebieskich liściach — ale może nie było to prawdziwe drzewo — zobaczyłem stojących, zbliżyłem się i odszedłem. Całowali się. Szedłem ku stłumionym dźwiękom muzyki, jakaś nocna restauracja czy bar, niczym nie oddzielona od ulicy. Siedziało tam trochę ludzi. Chciałem wejść do środka i spytać o hotel. Naraz gruchnąłem całym ciałem w niewidzialną przeszkodę. To była szyba, doskonale przezroczysta. Wejście było obok. W środku ktoś zaśmiał się, pokazał mnie innym. Wszedłem. Mężczyzna w czarnym trykocie, nawet podobnym trochę do mego swetra, ale z bufiastym, jak nadmuchanym, kołnierzem, siedział bokiem przy stoliku, ze szklanką w dłoni, i patrzył na mnie. Stałem przed nim. śmiech zastygł mu na półotwartych ustach. Stałem. Zrobiło się cicho. Tylko muzyka grała, jakby za ścianą. Jakaś kobieta wydała dziwny, słaby dźwięk, rozejrzałem się po nieruchomych twarzach i wyszedłem. Dopiero na ulicy przypomniałem sobie, że miałem spytać o hotel.

Wszedłem w pasaż. Był pełen wystaw. Biura podróży, magazyny sportowe, manekiny w różnych pozach. Właściwie nie były to wystawy, bo wszystko stało i leżało na ulicy, po obu stronach wzniesionego chodnika, który biegł środkiem. Kilka razy wziąłem poruszające się w głębi sylwetki za ludzi. Były to reklamowe kukły, wykonujące jedną i tę samą czynność w kółko. Jedną — lalka., prawie tak wielka jak ja, z karykaturalnie nadętymi policzkami, grała na flecie — oglądałem dłuższą chwilę. Robiła to tak dobrze, że miałem ochotę się do niej odezwać. Dalej były sale jakichś gier, obracały się tam duże, teczuące koła, z dźwiękiem sankowych dzwonek zderzały się luźno wiszące u stropu srebrne rurki, migotały przyrmatyczne lustra, ale wszystko było puste. Na samym końcu pasaży w ciemności błysnął napis TU HAAAAHA. Znikł. Ruszyłem tam. Znowu rozjarzyło się TU HAAAAHA i znikło jak zdmuchnięte. W następnym błysku dojrzałem wejście. Usłyszałem głosy. Wszedłem przez kurtynę ciepłego podmuchu.

W głębi stały dwa z tych bezkołowych aut, kilka lamp świeciło, pod nimi gestykulowało żywo trzech ludzi, jakby się sprzeczali. Podeszedłem do nich.

— Halo, panowie!

Nawet się nie obejrzeni. Mówili dalej, szybko, mało co rozumiałem: no to sap, no to sap — powtarzał piskliwie najniższy, z małym brzuszkiem. Na głowie miał wysoką czapkę.

— Panowie, szukam hotelu. Gdzie tu jest...

Nie zwracali na mnie uwagi, jakbym nie istniał. Ogarnęła mnie pasja. Nic już nie mówiąc wszedłem między nich. Najbliższy — widziałem głupawy połysk białek i skaczące wargi — zaseplenił:

— Co, ja mam sapać? Ty sam sap! Zupełnie jakby mówił do mnie.

— Dlaczego udajecie głuchych? — spytałem i nagle z miejsca, w którym stałem — jakby ze mnie, z mojej piersi — wybuchnął piskliwy krzyk:

— Ja ci! Ja ci zaraz!

Odkoczyłem, ukazał się wtedy właściciel głosu, ten gruby w czapce — chciałem go chwycić za ramię, palce przeszły na wylot i zamknęły się w powietrzu. Stałem jak .ogłuszony, a oni gadali dalej; naraz wydało mi się, że z ciemności ponad autami, z góry, ktoś na mnie patrzy, zbliżyłem się do granicy światła i zobaczyłem blade plamy twarzy, był tam, w górze, jak gdyby balkon. Oślepiiony, nie widziałem dokładnie, dość jednak, aby pojąć, jak okropnie się zbliżyłem. Uciekłem, jakby mnie kto gonił. Następna ulica szła pod górę i kończyła się u eskalatora. Pomyślałem, że może tam znajdę jakiś infor, i pojechałem bladymi schodami. Trafiłem na okrągły plac, niezbyt wielki. Pośrodku stała kolumna, wysoka, przezroczysta jak ze szkła, coś tańczyło w niej, purpurowe, brązowe i fiołkowe kształty, niepodobne do niczego, jak jakieś ożywione, abstrakcyjne rzeźby, ale bardzo śmieszne. To jeden, to drugi kolor nabrzmiewał, koncentrował się, wykształcał w przekomiczny sposób; choć pozbawione twarzy, głów, rąk, nóg, miało to szamotanie się form wyraz bardzo ludzki, karykaturalny nawet. Po pewnym czasie zorientowałem się, że fiolet to jakby bufon, zarozumiały, pyszny i zarazem tchórzliwy — kiedy rozleciał się na milion tańczących banieczek, do dzieła zabrał się błękitny. Ten był anielski, skromny, skupiony, ale jakoś świętoszkowato, jakby się sam do siebie modlił. Nie wiem, jak długo na to patrzałem. Nigdy nie widziałem jeszcze nic podobnego. Oprócz mnie nie było nikogo, tylko ruch czarnych aut był większy. Nie wiedziałem nawet, czy są pełne, czy puste, bo nie miały okien. Z tego okrągłego placu prowadziło sześć ulic, jedno w górę, inne w dół, perspektywy ich ciągnęły się delikatną mozaiką kolorowych światełek chyba na mile. Żadnego inforu. Byłem już porządnie zmęczony, nie tylko fizycznie — miałem wrażenie, że nie pomieszcze już więcej wrażeń. Chwilami, idąc, zatracam się trochę, choć wcale nie podzemywałem; nie pamiętam jednak, jak ani kiedy wszedłem w szeroką aleję; u skrzyżowania zwolniłem kroku, podniosłem głowę i zobaczyłem odbłask miasta na chmurach. Zdziwiłem się, bo myślałem, że jestem pod ziemią. Szedłem dalej, teraz w morzu ruchliwych świateł, pozbawionych szkła wystaw, wśród gestykujących, kręcących się jak frygi, gimnastykujących się zawzięcie manekinów; podawały sobie lśniące przedmioty, nadmuchiwały coś — ale nawet nie patrzałem w ich stronę. W oddali szło kilku ludzi; nie byłem jednak pewien, czy nie są to tylko lalki, i nie chciałem ich gonić. Domy rozstały się i ujrzałem wielki napis PARK TERMINAL i świecąca zieloną strzałę.

Eskalator zaczynał się w przejściu między domami, naraz wszedł w tunel, srebrny, ze złotym pulsem bijącym w ścianach, jakby pod rtęciową maską ścian naprawdę płynął szlachetny metal, poczułem gorący podmuch, wszystko zgasło — stałem w oszklonym pawilonie. Miał kształt muszli, sfałdowany strop mżył ledwo dostrzegalną zielenią, było to światło delikatnych żyłek, jakby luminiscencja jednego, powiększonego i dygocącego liścia — we wszystkie strony uchodziły drzwi, za nimi — ciemność i drobne, po drodze sunące literki: park Terminal park Terminal.

Wyszedłem. To naprawdę był park. Drzewa szumiały przeciągle, niewidzialne w mroku, wiatru nie czułem, musiał płynąć wysoko, a głos drzew, miarowy, dostojny, ogarniał mnie

niewidzialnym sklepieniem. Poczułem się pierwszy raz sam, ale nie jak w tłumie, bo było mi z tym dobrze. Musiało być w parku sporo ludzi, słyszałem szepty, czasem plamą zajaśniała czyjaś twarz, raz nawet otarłem się omal o kogoś. Korony drzew łączyły się, tak że gwiazdy było widać tylko w ich oknach. Przypomniałem sobie, że jechałem do parku na górę, & przecież już tam, gdzie był ów plac z tańczącymi barwami i pełne wystaw ulice, miałem nad sobą niebo, pochmurne zresztą, jak się więc stało, że teraz, o poziom wyżej, widzę niebo, tym razem ugwieżdżone? Nie mogłem sobie tego wytłumaczyć.

Drzewa rozstępowały się na boki i — nim ją jeszcze zobaczyłem — poczułem zapach wody, woń iltu, butwienia, namokłych liści; zamarłem.

Gąszcz czarnym kręgiem otaczał jezioro. Słyszałem szelest szuwarów i trzciny — a daleko, z drugiej strony, wznosił się — jedynym ogromem — masyw świetliście zeszlonych skał, na pół przezroczysta góra nad równinami nocy, widmowa jasność szła od pionowych zerw, najbledsza, błękitnawa, bastiony na bastionach, kryształ zastygły w blanki, przepaście — i ten jaśniejący kolos, niemożliwy i niewiarygodny, odbijał się długim, bledszym powtórzeniem w czarnych wodach jeziora. Stałem, osłupiały i zachwycony, wiatr przynosił najłabsze, rozplywające się pogłosy muzyki i wyostając' wzrok zobaczyłem kondygnacje i poziome terasy olbrzyma, jak w olśnieniu pojąłem, że po raz drugi widzę dworzec, gigantyczny Terminal, w którym błąkałem się poprzedniego dnia, i może nawet patrzę z dna ciemnego obszaru, który tak mnie zadziwił, w to miejsce, gdzie spotkałem Nais.

Czy to była jeszcze architektura, czy już budowanie gór? Musieli zrozumieć, że przekraczając określone granice trzeba zrezygnować z symetrii, z regularności kształtu, i uczyć się od tego, co największe — pojętni uczniowie planety!

Obszedłem jezioro. Kolos jak gdyby prowadził mnie swym nieruchomo świecącym wzlotem. Tak, to była odwaga zamierzyć taki kształt, nadać mu okrucieństwo przepaści, bezwzględność i chropawość urwisk, iglic, nie wpadając w mechaniczne kopiowanie, niczego nie zgubić, nie sfalszować. Wróciłem do ściany drzew. Błady, wstępujący w czarne niebo błękit Terminalu pokazywał się jeszcze poprzez gałęzie, aż zgasł, zaszedł w gąszczu. Rozpychałem rękami giętkie witki, kolce chwyciły mnie za sweter, szorowały po nogawkach, rosa, strząśnięta z wysoka, deszczem leciała na twarz, wziąłem w usta kilka liści, rozgryzłem je, były młode, gorzkie, pierwszy raz od powrotu było mi tak: niczego już nie chciałem, nie szukałem, nie potrzebowałem, wystarczyło iść w tej ciemności, w szeleszczącym gąszczu, ślepo, przed siebie. Czy tak to sobie wyobrażałem przez dziesięć lat?

Krzaki rozstały się. Kręta alejka. Drobnny żwir chrząścił mi pod stopami, świecił słabo, wołałem ciemność, ale szedłem dalej, prosto, tam gdzie pod kamiennym rondem stała ludzka sylwetka. Nie wiem, skąd brało się światło, które oblewało ją, było pusto, wokół jakieś ławki, foteliki, przewrócony stolik, piasek, sypki i głęboki, czułem, jak stopy zapadają się weń i jaki jest ciepły mimo nocnego chłodu.

Pod sklepieniem, wspartym na spękanych, nadkruszonych kolumnach, stała kobieta, jakby czekała na mnie. Widziałem już jej twarz, przelewanie się iskier w diamentowych płytkach zakrywających uszy, białą, w cieniu srebrną suknię. To nie było możliwe. Sen? Byłem o kilkadziesiąt kroków, kiedy zaczęła śpiewać. Wśród niewidocznych drzew jej głos był słaby, dziecinny prawie, nie rozumiałem słów, może ich nie było — usta miała na wpół otwarte, jakby piła, w twarzy żadnego wysiłku, nic prócz zapatrzenia, jakby widziała coś, czego nie można zobaczyć, i o tym właśnie śpiewała. Bałem się, że mnie zobaczy, szedłem coraz wolniej. Byłem już w zasięgu jasności, która otaczała kamienny krąg. Jej głos spotężniał, wołała ciemność, błagała, nieruchoma, ręce zwisły jej, jakby zapomniała, że je ma, jakby nie miała już nic oprócz głosu, w którym się zatraciła; to było, jakby wyzbywała się wszystkiego i oddawała to, i żegnała, wiedząc, że w ostatnim, zamierającym dźwięku skończy się nie tylko śpiew. Nie wiedziałem, że to jest możliwe. Zamilkła, a ja słyszałem jeszcze jej głos, nagle zatupotały za mną lekkie kroki, jakaś dziewczyna biegła ku stojącej, gonił ją ktoś, z krótkim

gardłowym śmiechem przemknęła po stopniach i przebiegła przez tamtą na wylot — już pędziła dalej, ten, kto ją ścigał, buchnął ciemną sylwetą tuż obok mnie, znikli, usłyszałem po raz drugi wabiący śmiech dziewczyny i stałem jak kloc, wryty w piasek, nie wiedząc, czy mam się śmiać, czy płakać; nie istniejąca śpiewaczka zanuciła coś cicho. Nie chciałem słuchać. Odszedłem w ciemność, ze zmartwiałą twarzą, jak dziecko, któremu udowodniono kłamliwość bajki. To było jak profanacja. Szedłem, a jej głos prześladował mnie. Skręciłem, aleja szła dalej, zobaczyłem słabe lśnienie żywopłotów, mokre festony liści obwisały nad furtką z metalu. Otwarłem ją. Było tam jakby nieco jaśniej. Żywopłoty kończyły się szerokim wybiegiem, z trawy sterczały głazy, jeden poruszył się, urósł, zajrzałem w dwa blade płomyki oczu. Zamarłem. To był lew. Wstał, unosząc się ciężko, najpierw przodem, widziałem go teraz całego, o pięć kroków, miał skąpą, skudloną grzywę, przeciągnął się, raz, drugi, z powolnym falowaniem barków podszedł do mnie bez najmniejszego szmeru. Ochłonałem już. — No, no, nie strasz — powiedziałem. Nie mógł być prawdziwy — fantom, jak ta śpiewaczka, jak ci tam na dole, przy czarnych autach — ziewnął, o krok, w czarnej czeluści błysło od kłów, zwarł paszczę ze szczękiem ryglowanej kraty, poczułem jego smrodliwy dech, co...

Prychnął. Poczulem kropelki śliny i nim zdążyłem się przerazić, szturchnął mnie swoją olbrzymią głową w biodro, mrużąc ocierał się o mnie, poczułem idiotyczne łechtanie w piersiach...

Nadstawiał podgardle, luźną, ciężką skórę. Na pół przytomny zacząłem go drapać, czochrać, mrużać coraz głośniejsze, za nim łysnęła druga para oczu, drugi lew, nie, lwica, pchnęła go barkiem. Zahurkotało mu w krtani, to był pomruk, nie ryk. Lwica nastawała. Uderzył ją łapą. Prychnęła wściekle.

To się źle skończy — pomyślałem. Byłem bezbronny, a lwy tak żywe, tak prawdziwe, jak można sobie wyobrazić. Stałem w ciężkim swędzie ich ciał. Lwica prychała wciąż, naraz wyrwał mi szorstkie kudły z rąk, zwrócił ku niej swą ogromną głowę i zagrzmiął; lwica przypadła płasko do ziemi.

Czas już na mnie — powiedziałem do nich bez głosu, samymi wargami. Zacząłem cofać się w stronę furtki, wolno, tyłem, nie była to przyjemna chwila, ale on zdawał się już mnie w ogóle nie dostrzegać. Położył się ciężko, znowu podobny do podługowatego głazu, lwica stała nad nim i trącała go pyskiem.

Zamknawszy za sobą furtkę, musiałem z całej siły powstrzymać się od ucieczki. Kolana miałem trochę miękkie, a w gardle schło i naraz moje pochrząkiwanie zmieniło się w szalony śmiech, przypomniałem sobie, jak mówiłem do niego: No, no, nie strasz... — przekonany, że jest tylko złudzeniem...

Korony drzew wyraźniej odcinały się od nieba; świtało. Byłem z tego nawet rad, bo nie wiedziałem, jak wydostać się z parku. Był już zupełnie pusty. Minąłem kamienne rondo, w którym pojawiła się przedtem śpiewaczka, w następnej alei natrafiłem na robota strzygącego trawnik. O hotelu nic nie wiedział, ale wyjaśnił mi, jak mam iść do najbliższego eskalatora. Zjechałem na dół, chyba kilka pięter, i wyszedłszy na ulicę dolnego poziomu zdziwiłem się, zobaczywszy znów nad sobą niebo. Ale i moja zdolność dziwienia się była omal wyczerpana. Miałem dość. Szedłem jakiś czas, pamiętam, że siedziałem potem obok fontanny, a może to nie była fontanna, wstałem, szedłem dalej w narastającym świetle nowego dnia, aż ocknąłem się z odretwienia na wprost wielkich, rozjarzonych szkieł, z ognistymi zgłoskami ALCARON HOTEL.

W białej portierni, przypominającej przewróconą wannę wielkoluda, siedział robot, pięknie stylizowany, półprzezroczysty, o długich, delikatnych ramionach. Nie pytając o nic podał mi książkę, wpisałem się do niej i z małym trójkątnym znaczkiem pojechałem na górę. Ktoś — nie wiem, doprawdy, kto — pomógł mi otworzyć drzwi, a raczej zrobił to za mnie. Ściany z lodu; w nich — cyrkulacja ogników, pod oknem, kiedy do niego podszedłem, wychynał z niczego fotelik, podsunął mi się, już z góry opadał płaski blat; tworząc rodzaj biurka, ale ja

chciałem łóżka. Nie mogłem go znaleźć i nawet szukać nie próbowałem. Położyłem się na pianowym dywanie i zasnąłem natychmiast w sztucznym świetle tego bezokiennego pokoju, bo to, co wziąłem zrazu za okno, było naturalnie telewizorem, jak że straciłem przytomność ze świadomością, że stamtąd, zza szklanej płyty, wykrzywia się ku mnie jakaś olbrzymia twarz, medytuje nade mną, śmieje” się, gada, głądzi... Wyzwolił mnie sen jak śmierć; nawet czas w nim stanął.

II

Dotknąłem, jeszcze z zamkniętymi oczami, piersi, miałem na sobie sweter; jeżeli spałem, nie rozbierając się, to miałem wachtę: Olaf! — chciałem powiedzieć i usiadłem nagle.

To był hotel, nie „Prometeusz”. Przypomniałem sobie wszystko: labirynty dworca, dziewczynę, wtajemniczenia, jej strach, błękitną skałę Terminalu nad czarnym stawem, śpiewaczkę, lwy...

Szukając łazienki, niechcący odnalazłem łóżko, było w ścianie i opadało perlowym, spęczniałym kwadratem, kiedy się coś tam nacisnęło. W łazience nie było wanny ani żadnych kurków, nic, tylko błyszczące płytki w suficie i niewielkie zagłębienie na stopy, wyścielone gąbczastym plastykiem. Na tusz też mi to nie wyglądało. Poczujęm się jak neandertalczyk. Rozebrałem się szybko i zostałem z rzeczami w rękę, bo nie było wieszaków, za to mała szafka w ścianie, cisnąłem więc wszystko do środka. Obok trzy guziki, niebieski, czerwony i biały. Nacisnąłem biały. Zgasło światło. Czerwony. Zaszumiało, ale to nie była woda, tylko potężny, ozonem i czymś jeszcze buchający wicher; owionął mnie całego, na skórze siadały gęste, błyszczące krople, burzyły się i ulatniały, nie czułem nawet wilgoci, tylko jakby mrowie miękkich elektrycznych igiełek, masujących mięśnie. Nacisnąłem na próbę niebieski guzik i wicher odmienił się — teraz przeszywał mnie jakby na wskroś, bardzo dziwne uczucie. Pomyślałem, że przywyknąwszy można je polubić. W Adapcie na Lunie nie mieli tego — były tam zwyczajne łazienki. Nie wiem, czemu. Krew krążyła żywiej, czułem się doskonale, nie wiedziałem tylko, czym ani jak umyć zęby. Podarowałem to sobie w końcu. W ścianie były jeszcze jedne drzwiczki, z napisem „Płaszcz kąpielowe”. Zajrzałem do środka. Żadnych płaszczy, stały tam trzy metalowe flaszki, trochę jak syfony. Ale i tak byłem zupełnie suchy i nie musiałem się wycierać.

Otwarłem szafkę, do której włożyłem ubranie, i osłupiałem: była pusta. Dobrze choć, że slipy położyłem na wierzchu szafki. Wróciłem w slipach do pokoju i zacząłem szukać telefonu, aby dowiedzieć się, co się stało z ubraniami. Wszystko raczej kłopotliwe. Telefon odkryłem w końcu obok okna — jak wciąż w myślach nazywałem telewizyjny ekran — wyskoczył ze ściany, kiedy zacząłem głośno kląć; reagował chyba na głos. Idiotyczna mania chowania wszystkiego w ścianach. Zgłosiła się recepcja. Spytałem o ubranie.

— Włożył je pan do czystu — powiedział miękki baryton. — Będzie za pięć minut.

Dobre i to! — pomyślałem. Usiadłem przy biurku, którego płyta gorliwie podsunęła mi się pod łokcie, ledwo się nachyliłem. Jak to się działo? Nie trzeba się interesować takimi rzeczami; większość ludzi korzysta z technologii swej cywilizacji nie znając jej.

Siedziałem nagi, w slipach, i rozważałem rozmaite możliwości. Mogłem pójść do Adaptu. Gdyby szło tylko o wprowadzenia w technikę i obyczaje, nie namyślałbym się, ale już na Lunie zauważyłem, że starają się jednocześnie wpajać określone podejście, nawet ocenę zjawisk, przychodzili więc z gotową skalą wartości i jeśli się nie przyjmowało ich za swoje, tłumaczyli to — i w ogóle wszystko — konserwatyżmem, podświadomymi oporami, rutyną starych nawyków i tak dalej. Wcale nie miałem zamiaru rezygnować z tych nawyków i oporów, jak długo się nie przekonam, że to, co mi ofiarowują, jest lepsze, a nauzki dzisiejszej nocy w niczym nie odmieniły tego postanowienia. Nie chciałem szkółki, rehabilitacji, a już na pewno nie tak grzecznie ani od razu. Ciekawe, dlaczego nie poddali mnie tej betryzacji. Muszą się dowiedzieć.

Mogłem szukać któregoś z nich; Olafa. Byłoby to już wyraźnym przekroczeniem zaleceń Adaptu. O, bo oni niczego nie nakazywali, powtarzali wciąż, że działają w moim interesie, że mogą robić, co chcą; nawet skoczyć z Księżyca prosto na Ziemię (to dowcipny doktor Abs), jeśli aż tak mi się śpieszy. Nie liczyłem się z Adaptera, ale Olafowi mogło to nie odpowiadać. W każdym razie napiszę do niego. Mam adres.

Praca. Starać się o pracę? Jaką, pilota? I co, robić kursy Mars–Ziemia–Mars? Na tym się znałem, ale...

Przypomniałem sobie nagle, że mam jakieś pieniądze. Właściwie nie były to pieniądze, nazywały się inaczej, ale nie pojmowałem różnicy, skoro wszystko można było za nie dostać. Poprosiłem o połączenie z miastem. W słuchawce zapulsował daleki śpiew. Telefon nie miał numerów ani tarczki, może trzeba było wymienić nazwę banku? Miałem ją zapisaną na kartce, kartkę — w ubraniu. Zajrzałem do łazienki; leżało już w szafce, jakby świeżo wyprane, w kieszeniach były moje drobiazgi i ta kartka.

Bank nie był bankiem — nazywał się Omnilox. Wymieniłem tę nazwę i tak szybko, jakby właśnie na moje odezwanie się czekał, dał się słyszeć gruby głos:

— Omnilox słucha.

— Nazywam się Bregg — powiedziałem — Hal Bregg, i mam podobno u was konto... chciałem się dowiedzieć, wiele tego jest? .

Coś trzasło i inny, wyższy głos, powiedział:

— Hal Bregg?

— Tak.

— Kto otworzył konto?

— Żekos — Żegluga Kosmiczna, na zlecenie Instytutu Planetologicznego i Komisji Kosmicznej ONZ, ale to było sto dwadzieścia siedem lat temu...

— Ma pan jakiś dowód?

— Nie, tylko kartkę z Adaptu na Lunie, od dyrektora Oswamma...

— W porządku. Stan konta: dwadzieścia sześć tysięcy czterysta siedem itów.

— Itów?

— Tak. Czy życzy pan sobie jeszcze czegoś?

— Chciałbym podjąć trochę pie... to znaczy itów.

— W jakiej formie? Może chce pan kalster?

— Co to jest? Książeczka czekowa?

— Nie. Będzie pan mógł płacić od razu gotówką.

— Tak? Dobrze.

— Do jakiej wysokości otworzyć panu kalster? —. Bo ja wiem — pięć tysięcy...

— Pięć tysięcy. Dobrze. Przysłać panu do hotelu?

— Tak. Chwileczkę — zapomniałem, jak się nazywa ten hotel.

— To nie ten, z którego pan dzwoni?

— Ten.

— To „Alcaron”. Prześlemy panu zaraz. Tylko jedno: czy pana prawa ręka nie zmieniła się?

— Nie... a co?

— Nic. W przeciwnym razie musielibyśmy zmieniać kalster. Zaraz go pan dostanie.

— Dziękuję — powiedziałem odkładając słuchawkę. Dwadzieścia sześć tysięcy, wiele to jest? Pojęcia nie miałem. Coś zaczęło nucić. Radio? To był telefon. Podniosłem słuchawkę.

— Bregg?

— Tak — powiedziałem. Serce uderzyło mi mocniej, tylko raz. Poznałem jej głos. — Skąd wiedziałaś, gdzie jestem? — spytałem, bo nie od razu się odezwała.

— Z inforu. Bregg... Hal... słuchaj, chciałam ci wytłumaczyć...

— Nie ma nic do tłumaczenia, Nais.

— Gniewasz się. Ale zrozum...

— Nie gniewam się.

— Hal, naprawdę. Przyjdź do mnie dzisiaj. Przyjdziesz?

— Nie, Nais; proszę cię, powiedz — ile to jest dwadzieścia parę tysięcy itów?

— Jak to, ile? Hal... musisz przyjść..

— No... jak długo można za to żyć?

— Jak długo chcesz, przecież życie nic nie kosztuje. Ale zostawmy to. Hal, gdybyś zechciał...

— Czekaj. Wiele itów wydajesz na miesiąc?

— Rozmaicie. Czasem dwadzieścia, czasem pięć albo i nic.

— Aha. Dziękuję ci.

— Hal! Słuchaj!

— Słucham.

— Nie kończmy tego tak...

— Niczego nie kończymy — powiedziałem — bo nic się nie zaczęło. Dziękuję ci za wszystko, Nais.

Położyłem słuchawkę. Życie nic nie kosztuje? To mnie w tej chwili najbardziej interesowało. Czy to znaczy, że są jakieś rzeczy, jakieś usługi za darmo?

Znowu telefon.

— Tu Bregg.

— Tu recepcja. Panie Bregg, Omnilox przysłał dla pana kalster. Wysyłam go na górę.

— Dziękuję — halo!

— Słucham?

— Czy za pokój się płaci?

— Nie, proszę pana.

— Nic?

— Nic, proszę pana.

— A czy... jest w hotelu restauracja?

— Tak, są cztery. Czy życzy pan sobie śniadanie do pokoju?

— Dobrze, a czy... za jedzenie się płaci?

— Nie, proszę pana. Kalster ma pan już u siebie. Śniadanie będzie za chwilę.

Robot rozłączył się i nie zdążyłem go spytać, gdzie mam szukać tego kalstera. Nie miałem zielonego wyobrażenia, jak wygląda. Wstając od biurka, które natychmiast zmałało i zwiędło, porzucone, „zobaczyłem rodzaj pulpitu wyrastającego obok drzwi, ze ścian; leżał tam, owinięty w przezroczysty plastik, płaski przedmiot podobny do małej papierośnicy. Z jednej strony miał szereg okienek, widniała w nich cyfra 1100 1000. Na dole były dwa malutkie guziczki, jedyńka i zero. Patrzałem, zaskoczony, aż nagle zrozumiałem, że suma 5000 zakontowana jest systemem dwójkowym. Nacisnąłem jedyńkę i na dłoń wypadł mi malutki, plastikowy trójkącik, z wytłoczoną cyfrą 1. A więc była to jakby drukarka czy tłoczarka pieniędzy, do wysokości oznaczonej w okienkach — cyfra na górze zmałała o jedność.

Miałem już wyjść, ubrany, kiedy przypomniałem sobie o Adapcie. Zatelefonowałem i wyjaśniłem, że nie mogłem znaleźć ich człowieka w Terminalu.

— Byliśmy już o pana niespokojni — powiedział kobiecy głos — ale wiedzieliśmy rano, że zamieszkał pan w „Alcaronie”...

Wiedzieli, gdzie jestem. Dlaczego więc nie znaleźli mnie na dworcu? Ani chybi umyślnie: miałem błędzić, żeby zrozumieć, jak niewczesny był mój „bunt” na Lunie.

— Macie doskonałą informację — odparłem uprzejmie. — Na razie zwiedzam miasto. Zgłoszę się do was później.

Wyszedłem z pokoju; korytarze, srebrne i ruchome, płynęły całe wraz ze ścianami — była to dla mnie nowość. Pojechałem w dół eskalatorem, na kolejnych piętrach mijałem bary, jeden zielony, jakby zanurzony w wodzie, każda kondygnacja miała swój dominujący kolor, srebro, złoto, już mi to trochę doskwierało. Po jednym dniu! Ciekawe, że oni to lubili. Dziwne gusta. Ale przypomniałem sobie nocny widok Terminalu.

Trzeba się trochę oporządzić, z takim postanowieniem wyszedłem na ulicę. Dzień był pochmurny, ale obłoki jasne, wysokie i słońce prześwitywało przez nie chwilami. Teraz

dopiero zobaczyłem — z bulwaru, którego środkiem biegł podwójny pas olbrzymich palm o różowych jak języki liściach — panoramę miasta. Budynki stały oddzielnymi wypami, a z — rzadka wzbijał się w niebo igłowiec, jak zastygły wytrysk płynnego budulca, nieprawdopodobnej wysokości. Na pewno mierzyły całe kilometry. Wiedziałem — ktoś mi to mówił jeszcze na Lunie — że się już ich nie buduje i wysokościowy pęd zmarł naturalną śmiercią właśnie po ich wzniesieniu. Były pomnikiem jednej epoki architektonicznej, bo też, poza ogromem, niweczonym tylko smukłością, nie miały czym apelować do oka. Wyglądały jak ciemno-brunatno-złote, biało-czarne, w poprzeczne pasy albo srebrne rury służące do podpierania czy łowienia chmur, a lądowiska, które wystawały z nich na tle nieba, wysunięte w powietrze na rurowych przesłach, przypominały etażerki.

Bez porównania ładniejsze były nowe domy, bez okien, dzięki czemu wszystkie ściany zdobiono. Całe miasto przedstawiało się jak gigantyczna wystawa sztuki, popis mistrzów koloru i formy. Nie mogę powiedzieć, żeby mi się podobało wszystko, co zdołało te dwudziesto— i trzydziestopiętrowe elewacje, ale jak na stu pięćdziesięcioletniego faceta nie grzeszyłem chyba zbyt dużą rezerwą. Najładniejsze wydały mi się domy przepołowione ogrodami — czy może były to palmiarnie — przez to, że budowla była w środku rozcięta i jakby zawieszona na powietrznej poduszce (bo ściany tych wysokościowych ogrodów były ze szkliwa), powstawał efekt lekkości, a zarazem przyjemnie nieregularne pasy zmierzwionej zieleni przerzywały budynek.

Bulwarami, wzdłuż owych mięsistych palm, które wybitnie mi się nie podobały, poruszały się dwie rzeki czarnych aut. Wiedziałem już, że nazywają je gliderami. Nad domami pojawiały się inne maszyny, latające, ani helikoptery, ani samoloty, wyglądały jak z obu końców zaostrzone ołówki.

Na chodnikach było trochę ludzi, ale nie tyle, co w mieście sprzed stu lat. Rozładowano znacznie ruch, pieszy zwłaszcza, może tym pomnożeniem poziomów, bo przecież pod miastem, które widziałem, rozpościerały się jego kolejne, niższe, podziemne kondygnacje, z ulicami, placami, magazynami — właśnie narożny infor powiedział mi, że zakupy najlepiej poczynić na poziomie Serean. To był jakiś genialny infor, a może ja umiałem się już lepiej wyjęzyczyć, dość że dał mi plastikową książeczkę, o czterech rozkładanych stroniczkach, z mapkami komunikacji miejskiej. Kiedy chciałem się gdzieś dostać, dotykałem srebrem wydrukowanej nazwy — ulicy, poziomu, placu — i od razu . na planie zapalał się obwód wszystkich potrzebnych połączeń. Mogłem też pojechać gliderem. Albo rastem. Nareszcie — iść pieszo; dlatego były cztery mapki. Orientowałem się już jednak, że piesze wędrówki (nawet ruchomymi chodnikami i eskalatorami) wymagały nieraz wielu godzin.

Serean to był bodajże trzeci poziom. I znowu zaskoczył mnie widok miasta: zamiast do podziemi, wyszedłszy z tunelu dostałem się na ulicę pod niebem, w pełnym słońcu, pośrodku placu rosły wielkie pinie, w dali niebieszczały pasiaste igłowce, a po przeciwnej stronie, za małym basenem, w którym chlapały się dzieci, jeżdżąc po wodzie kolorowymi rowerkami, stał, przecięty pasami palmowej zieleni, biały wielopiętrowiec, z przedziwnym, błyszczącym jak szkło kołpakiem na szczycie. Żałowałem, że nie mam kogo spytać o wyjaśnienie zagadki, kiedy nagle przypomniałem sobie — a raczej przypomniał mi o tym żołądek — że jestem przecież bez śniadania, bo całkiem zapomniałem, że miałem je dostać do pokoju, w hotelu, i wyszedłem nie doczekawszy się go. Może robotowi z recepcji coś się pomyliło.

Więc do infora; nie robiłem teraz nic, nie dowiedziawszy się wprzód należyście, co i jak, zresztą infor potrafił także zamówić glider, ale o to nie ważyłem się jeszcze prosić, bo nie wiedziałem, jak się do niego wsiada, no i co robić potem; miałem jednak teas.

W restauracji, ledwo rzuciwszy okiem na kartę, przekonałem się, że to dla mnie zupełna chińszczyzna, i twardo poleciłem przynieść sobie śniadanie: normalne śniadanie.

— Ozot, kress czy herma?

Gdyby kelner był człowiekiem, powiedziałbym, żeby przyniósł to, co sam woli, ale to był

robot. Było mu wszystko jedno.

— A kawy nie ma?... — spytałem z niepokojeni,

— Jest. Kress, ozot czy herma?

— Kawa i, tego... no, to, co najlepiej pasuje do kawy, ten, e...

— Ozot — powiedział i odszedł. Udało się.

Miał to chyba wszystko przygotowane, bo natychmiast wrócił z tacą tak zastawioną, że gotów byłem podejrzewać jakiś podstęp czy kawał. Ale jej widok uzmysłowił mi na dobre, że poza bonsem, który zjadłem wczoraj, i kubkiem osławionego brytu nic nie miałem w ustach od przybycia.

Jedyna rzecz podobna do czegokolwiek to była kawa, przypominająca dobrze przegotowaną smołę. Śmietanka była w drobniutkie, niebieskie kropki i na pewno nie pochodziła od krowy. Żałowałem, że nie mogę podpatrzeć kogoś, kto umie to wszystko jeść, ale pora śniadania już chyba minęła, byłem bowiem sam. Talerzyki, sierpowatego kształtu, z dymiącą masą, z której wystawały jakby końce zapalek, w środku niby upieczone jabłko; naturalnie ani jabłko, ani zapalki, a to znów, co wziętem za płatki owsiane, zaczęło, tknięte łyżeczką, rosnać. Zjadłem wszystko, byłem, jak się okazało, niesamowicie głodny, tak że nostalgia za pieczywem (którego nie było ani śladu) przyszła dopiero później, pod postacią refleksji, kiedy robot pojawił się i czekał w pewnym oddaleniu.

— Ile płacę? — spytałem go.

— Dziękuję, nic — powiedział. Był podobny do sprzętu raczej aniżeli do kukły. Miał jedno, kryształowe, okrągłe oko. Coś poruszało się w głębi, ale nie zdobyłem się na to, żeby mu zaglądać do brzucha. Nawet napiwku nie było komu dać. Nie wiedziałem, czy —mnie zrozumie, jeśli spytam go o gazetę. Może już ich nie było. Poszedłem więc na zakupy. Ale najpierw natrafiłem na Biuro Podróży — to było jak olśnienie. Wszedłem do środka.

W wielkiej sali, srebrnej ze szmaragdowymi konsolami (zaczynałem już mieć dosyć tych kolorów), było prawie pusto. Matowe szyby, olbrzymie barwne zdjęcie kanionu Colorado, krateru Archimedes, urwisk Dejmosa, Palm Beach, Florydy — było to tak zrobione, że patrząc widziało się głębię, a nawet morskie fale poruszały się, jakby to nie były fotografie, lecz okna otwarte na rzeczywistą przestrzeń. Podeszedłem do okienka z napisem ZIEMIA.

Siedział tam oczywiście robot. Tym razem był złoty. A raczej oprószony złotem.

— Czym możemy panu służyć? — spytał. Głos miał głęboki. Zamknawszy oczy przysiągłbym, że przemawia tęgi, ciemnowłosy mężczyzna.

— Zależy mi na czymś prymitywnym — powiedziałem. — Wróciłem właśnie z długiej podróży — bardzo długiej. Nie chcę nadmiernego komfortu. Chcę mieć spokój, wodę, drzewa, mogą być góry. Żeby było prymitywnie i staroświecko. Jak przed stu laty. Macie coś takiego?

— .— Jeżeli pan sobie tego życzy, musimy mieć. Góry Skaliste, Fort Plumm. Majorka. Antyle.

— Blżej — powiedziałem. — Tak... w promieniu tysiąca kilometrów. Co?

— Klavestra.

— Gdzie to jest?

Zauważyłem już, że z robotami rozmawia mi się doskonale, ponieważ absolutnie niczemu się nie dziwiły. Nie mogły. To było bardzo rozsądnie pomyślane.

— Stara osada górnicza w pobliżu Pacyfiku. Kopalnie nie używane od czterystu niemal lat. Ciekawe wycieczki chodnikami pod ziemią. Dogodne połączenia ulderami i gliderami. Domy wypoczynkowe z opieką lekarską, wille do wynajmowania, z ogrodami, baseny kąpielowe, stabilizacja klimatyczna, miejscowy ośrodek naszego biura organizuje wszelkiego rodzaju rozrywki, wycieczki, gry, spotkania towarzyskie. Na miejscu — real, mut i stereon.

— Tak, to mogłoby być coś dla mnie — powiedziałem. Willa z ogrodem. I żeby była woda. Basen, co?

— Naturalnie, proszę pana. Basen z trampolinami, są też tam sztuczne jeziora, z podwodnymi grotami, wspaniale zaopatrzony ośrodek dla pływaczy, podwodne przedstawienia...

— Mniejsza o te przedstawienia. Co to kosztuje?

— Sto dwadzieścia itów na miesiąc. Ale jeżeli wspólnie, z kimś jeszcze, tylko czterdzieści.

— Wspólnie?

— Wille są bardzo przestronne, proszę pana. Od dwunastu do osiemnastu pomieszczeń — automatyczna obsługa, kuchnia na miejscu, miejscowa lub egzotyczna, do wyboru...

— Tak. Może rzeczywiście... dobrze. Nazywam się Bregg. Biorę to. Jak się nazywa ta miejscowość? Klavestra? Czy płacę teraz?

— Jak pan sobie życzy. Podałem mu kalster.

Okazało się, o czym nie wiedziałem, że tylko ja mogę go uruchomić, ale on naturalnie i tą moją niewiedzą wcale się nie dziwił. Zaczynałem coraz bardziej lubić roboty. Pokazał mi, jak mam to zrobić, aby ze środka wypadł tylko jeden szton z wybitą na nim właściwą cyfrą. O tyle samo zmniejszy się cyfra w okienkach na górze, wskazująca stan konta.

— Kiedy mogę tam pojechać?

— Kiedy pan sobie życzy. W każdej chwili.

— Ale, ale — z kim mam dzielić tę willę?

— Państwo Marger. On i ona.

— Czy wolno wiedzieć, co to za jedni?

— Mogę panu powiedzieć tylko, że to jest młode małżeństwo.

— Hm, A nie będę im przeszkadzał?

— Nie, skoro połowa willi jest do wynajęcia. Całe piętro będzie należeć wyłącznie do pana.

— Dobrze. Jak ja się tam dostanę?

— Najlepiej ulderem.

— Jak to zrobić?

— Podstawię panu ulder na dzień i godzinę, które pan wyznaczy.

— Zatelefonuję z mojego hotelu. Można?

— Proszę bardzo. Opłata będzie się liczyć od chwili, w której wejdzie pan do willi.

Kiedy wyszedłem, już rysował mi się mgliście plan. Nakupię książek i trochę sportowych różności. Najważniejsze jednak książki. Trzeba zaabonować też jakieś specjalistyczne pisma. Socjologia, fizyka. Na pewno masę rzeczy zrobili przez te przeszło sto lat Prawda, muszę kupić jakieś ubrania.

Ale znów weszło mi coś w paradę. Za rogiem, nie wierząc własnym oczom, zobaczyłem auto. Prawdziwe auto. Może nie całkiem takie, jakie pamiętałem — karoseria była wymodelowana z samych ostrych kątów. Był to jednak autentyczny samochód, z pneumatykami, drzwiami, kierownicą — za nim stały inne. Za wielką szybą; na niej, wielkimi literami: ANTYKWARIAT. Wszedłem do środka. Właściciel — czy też sprzedawca — był człowiekiem. Szkoda — pomyślałem.

— Czy można kupić auto?

— Oczywiście. Jak pan sobie życzy?

— A wiele kosztują?

— Od czterystu do ośmiuset itów.

Słono — pomyślałem. No, ale za starożytności trzeba płacić.

— A czy można nim jeździć? — spytałem,

— Rozumie się. Nie wszędzie, co prawda, są lokalne zakazy, na ogół jednak to możliwe.

— A jak z paliwem? — spytałem ostrożnie, bo nie miałem pojęcia, co kryje się pod maską.

— Z tym nie będzie kłopotu. Jeden ładunek starczy panu na cały żywot auta. Wliczając, naturalnie, parastaty.

— Dobrze — powiedziałem. — Chciałbym coś mocnego, wytrzymałego. Nie musi być duże, ale szybkie.

— Wobec tego doradziłbym panu tego giabile albo tamten model...

Poprowadził mnie w głąb wielkiej sali, wzdłuż maszyn, które lśniły, jakby naprawdę były nowe.

— Rozumie się — ciągnął sprzedawca — że z gliderami nie mogą się mierzyć, no, ale auto nie jest już dzisiaj środkiem lokomocji...

— A czym? — chciałem spytać, zmilczałem jednak.

— Dobrze... — powiedziałem — ile kosztuje ten wóz? — pokazałem bladobłękitną limuzynę o srebrnych, głęboko schowanych reflektorach.

— Czteryście osiemdziesiąt itów.

— Ale chciałbym go mieć w Klavestrze — powiedziałem. — Mam tam wynajętą willę. Dokładny adres może podać biuro podróży, tu, na tej ulicy...

— Doskonale, proszę pana. Można przesłać ulderem; nie będzie to nic kosztowało.

— Ach, tak? Mam tam jechać ulderem...

— Proszę więc podać tylko datę, dostarczymy do pańskiego uldera, to będzie najprostsze. Chyba że życzy pan sobie...

— Nie, nie. Może być, jak pan mówi.

Zapłaciłem za auto — już całkiem nieźle szło mi z kalsterem — i opuściłem antykwariat pełen zapachu lakierów i gumy. Wydały mi się rozkoszne.

Z ubraniami poszło jak najgorzej. Prawie nic z tego, co znałem, nie istniało. Wyjaśniła się zresztą tajemnica zagadkowych flaszek w szafce hotelowej, tej z napisem „Płaszcz kąpielowe”. Nie tylko taki płaszcz, ale ubrania, pończochy, swetry, bielizna — wszystko było natryskowe. Rozumiałem, że musi to być atrakcyjne dla kobiet, bo operując kilkoma czy nawet kilkunastoma butelkami wyrzucającymi płyn, który zastygał momentalnie w tkaniny o fakturze gładkiej bądź szorstkiej: aksamitu, futra czy sprężystego metalu — można było za każdym razem stworzyć nową kreację, na jedną okazję tylko. Nie każda kobieta robiła to oczywiście sama, były specjalne salony piastowania (więc tym zajmowała się Nais!), ale wynikająca z tego procederu obcisła moda nie bardzo mi odpowiadała. Sam proces ubierania się przez operowanie flaszkami–syfonami wydał mi się niepotrzebnie kłopotliwy. Było trochę rzeczy gotowych, ale te znów nie pasowały na mnie; największym nawet brakło ze cztery numery do mojej objętości i długości. Na koniec zdecydowałem się na bieliznę we flaszkach, bo widziałem, że moja koszula długo nie pociągnie. Mogłem sobie naturalnie sprowadzić resztę rzeczy z „Prometeusza”, i na nim jednak nie miałem garniturów ani białych koszul, z którymi niewiele można by począć w okolicach gwiazdozbioru Fomalhaut. Wziąłem więc jeszcze kilka par niby–drelichowych portek, do roboty w ogrodzie, tylko takie miały względnie szerokie nogawki i można je było podłużyć; za wszystko razem zapłaciłem jednego ita, bo tyle kosztowały te portki. Reszta była za darmo. Kazałem sobie przysłać wybrane rzeczy do hotelu i dałem się namówić na salon mody, po prostu z ciekawości. Przyjął mnie facet z miną artysty malarza, obejrzał mnie najpierw, zgodził się ze mną, że powinienem nosić raczej rzeczy luźne; zauważyłem, że nie był mną zachwycony. Ja nim też nie. Skończyło się na kilku swetrach, które zrobił mi na oczekaniu. Stałem z uniesionymi rękami, a on uwijał się wokół mnie, operując czterema naraz flaszkami. Płyn w powietrzu biały jak piana krzepł prawie momentalnie. Powstały z tego swetry w różnych kolorach, jeden miał pas na piersi, czerwony na czarnym; najtrudniejsze było, jak spostrzegłem, wykańczanie kołnierza i rękawów. Do tego trzeba było rzeczywiście wprawy.

Bogatszy o to przeżycie, które nic zresztą nie kosztowało, znalazłem się na ulicy w pełnym słońcu południa. Gliderów było nieco mniej, za to nad dachami mnóstwo owych cygarowatych maszyn. Tłumy wpływały eskalatorami do niższych poziomów, wszyscy się spieszyli, tylko ja miałem czas. Jakaś godzinę grzałem się na słońcu, pod rododendronem ze

zdrewniałymi łuskami po obumarłych liściach, potem wróciłem do hotelu. W hallu na dole dostałem aparacik do golenia; kiedy zabrałem się, w łazience, do tej czynności, zauważyłem, że muszę odrobinę nachylić się do lustra, choć pamiętałem, że poprzednio mogłem się w nim przejrzeć wyprostowany. Różnica była minimalna, ale już przedtem, zdejmując koszulę, dostrzegłem coś osobliwego: stała się krótsza. Całkiem jakby się zbiegła. Przypatrzyłem się jej teraz uważnie. Rękawy ani kołnierzyk nie uległy zmianie. Położyłem ją na stole. Była zupełnie taka sama jak przedtem, a jednak, gdy ją włożyłem, sięgała mi niewiele niżej pasa. To ja się zmieniłem, nie ona. Urosłem.

Myśl była absurdalna, niemniej zaniepokoiła mnie. Połączyłem się z hotelowym łforem, prosząc o adres lekarza — specjalisty od medycyny kosmicznej. Do Adaptu wolałem nie iść jak długo się da. Po krótkiej chwili milczenia, zupełnie jakby odpowiadający automat zawahał się — usłyszałem adres. Lekarz mieszkał na tej samej ulicy, kilka bloków dalej. Poszedłem do niego. Robot wprowadził mnie do dużego, przyciemnionego pokoju. Oprócz mnie nikogo w nim nie było.

Po chwili wszedł lekarz. Wyglądał, jakby zszedł z rodzinnej fotografii w gabinecie mego ojca. Był mały, ale nie drobny, siwy, nosił malutką, białą bródkę i złote okulary — pierwsze szkła, jakie zobaczyłem na ludzkiej twarzy od chwili lądowania. Nazywał się doktor Juffon.

— Hal Bregg? — powiedział. — To pan?

— To ja.

Milczał patrząc na mnie długą chwilę.

— Co panu dolega?

— Właściwie nic, doktorze, tylko:.. — powiedziałem mu o moich dziwnych spostrzeżeniach.

Nic nie mówiąc otworzył przede mną drzwi. Wszedłem do niewielkiego gabinetu.

— Proszę się rozebrać.

— Całkiem? — spytałem, kiedy zostałem w spodniach.

— Tak.

Obejrzał mnie nagiego.

— Nie ma już takich mężczyzn — mruknął jakby do siebie. Wysłuchał mego serca, przykładając mi do piersi zimną słuchawkę. I za tysiąc lat będzie tak samo — pomyślałem i myśl ta sprawiła mi drobną przyjemność. Zmierzył mój wzrost, potem kazał mi się położyć. Obejrzał uważnie bliznę pod prawym obojczykiem, ale nic nie powiedział. Badał mnie prawie godzinę.

Odruchy, pojemność płuc, elektrokardiogram — wszystko. Kiedy się ubrałem, usiadł za małym, czarnym biurkiem. Szuflada skrzypiała, kiedy ją wyciągał szukając czegoś, Po wszystkich meblach, które ruszały się przy człowieku jak nawiedzone, to stare biurko bardzo mi się spodobało.

— Ile pan ma lat?

Wyjaśniłem, jak mają się te sprawy.

— Ma pan organizm trzydziestokilkuletniego mężczyzny — powiedział. — Hibernował pan?

— Tak.

— Długo?

— Rok.

— Dlaczego?

— Wracaliśmy zwiększonym ciągiem. Trzeba się było położyć do wody. Amortyzacja, wie pan, doktorze, więc ponieważ trudno leżeć w wodzie rok, czuwając...

— Oczywiście. Myślałem, że pan dłużej hibernował. Ten rok może pan spokojnie odliczyć. Nie czterdzieści lat, tylko trzydzieści dziewięć.

— A... tamto?

— To nic nie jest, Bregg. Ileście mieli?
— Przyspieszenia? Dwa g.
— No więc. Myślał pan, że pan rośnie, co? Nie rośnie pan. Po prostu dyski międzykręgowce. Wie pan, co to jest?
— Wiem, takie chrząstki w kręgosłupie...
— Właśnie. Rozprężają się teraz, kiedy pan wyszedł spod tej prasy. Ile pan ma wzrostu?
— Kiedy odlatywałem — sto dziewięćdziesiąt siedem.
— A potem?
— Nie wiem. Nie mierzyłem się; były inne kłopoty, wie pan.
— Ma pan teraz dwa metry dwa.
— Ładna historia — powiedziałem — i długo jeszcze tak?
— Nie. Prawdopodobnie to już wszystko... Jak pan się czuje?
— Dobrze.
— Wszystko wydaje się zbyt lekkie, co?
— Już coraz mniej. W Adapcie, na Lunie, dali mi takie pigułki na zmniejszenie napięcia mięśni.
— Degrawitowali was?
— Tak. Przez pierwsze trzy dni. Mówili, że to za mało po tylu latach, z drugiej strony jednak nie chcieli nas trzymać, po tym wszystkim, zamkniętych jeszcze dłużej...
— Jak tam z samopoczuciem?
— No... — zawahałem się — chwilami... mam wrażenie, że jestem neandertalczykiem, którego przywieźli do miasta...
— Co ma pan zamiar robić? Powiedziałem mu o willi.
— Może to i nie najgorsze — powiedział — ale...
— Adapt byłby lepszy?...
— Tego nie mówię. Pan... ja pana pamiętam, wie pan?
— Jak to może być? Pan nie mógł przecież...
— Nie. Ale słyszałem o panu od ojca. Miałem wtedy dwanaście lat.
— Och, to było chyba całe lata po naszym starciu? — powiedziałem — i pamiętano nas jeszcze? To dziwne.
— Nie uważam. Dziwne jest raczej to, że zapomniano. Pan wiedział przecież, jak będzie wyglądał powrót, chociaż nie mógł pan sobie tego oczywiście wyobrazić?
— Wiedziałem.
— Kto pana skierował do mnie?
— Nikt. To znaczy... infor w hotelu. A co?...
— To zabawne — powiedział. — Ja nie jestem właściwie lekarzem, wie pan?
— Jak to...
— Nie praktykuję od czterdziestu lat. Zajmuję się historią medycyny kosmicznej, bo to jest już historia, Bregg, i poza Adaptem nie ma już pracy dla specjalistów.
— Przepraszam, nie wiedziałem...
— Nonsens. To ja raczej powinienem być panu wdzięczny. Jest pan żywym dowodem przeciw tezom szkoły Millmana o szkodliwym wpływie zwiększonego ciężenia na organizm. Nie ma pan nawet przerostu lewej komory ani śladu rozedmy... i wspaniałe serce. Ale pan o tym wie?
— Wiem.
— Jako lekarz nie mam panu właściwie nic więcej do powiedzenia, Bregg, ale poza tym...
Zawahał się.
— Tak?
— Jak się pan orientuje w naszym... obecnym życiu?
— Mgliście.

— Pan jest siwy, Bregg.
— Czy to ma jakieś znaczenie?
— Tak. Siwizna oznacza starość. Nikt nie siwieje już, Bregg, przed osiemdziesiątką, a i to rzadko się zdarza.

Uświadomiłem sobie, że to prawda: nie widziałem prawie wcale starych ludzi.

— Dlaczego? — spytałem.

— Są odpowiednie preparaty, lekarstwa powstrzymujące siwienie. Można też przywrócić pierwotny kolor włosów, chociaż to nieco bardziej kłopotliwe.

— No dobrze... — powiedziałem — ale czemu pan mi to mówi?

Widziałem, że wahał się.

— Kobiety, Bregg — powiedział krótko. Drgnąłem.

— Czy to ma znaczyć, że wyglądam jak... starzec?

— Jak starzec — nie, raczej jak atleta... ale przecież nie spaceruje pan nago. Zwłaszcza kiedy pan siedzi, wygląda pan — to znaczy, przeciętny człowiek weźmie pana za odmłodzonego starca. Po operacji rejuwenilnej, hormonowej i tak dalej.

— Trudno — powiedziałem. Nie wiem, czemu czułem się tak fatalnie pod jego spokojnym wzrokiem. Zdjął okulary i położył je na biurku. Miał błękitne, odrobinę zażawione oczy.

— Pan nie pojmuje wielu rzeczy, Bregg. Gdyby miał pan zostać do końca życia abnegatem, wtedy pańskie „trudno” byłoby może na miejscu, ale... to społeczeństwo, do którego pan wrócił, nie entuzjazmuje się tym, czemu oddał pan więcej niż życie.

— Niech pan tak nie mówi, doktorze.

— Mówię tak, bo tak myślę. Oddać jedno życie, cóż? Ludzie .robili to od wieków... ale oddać wszystkich przyjaciół, rodziców, krewnych, znajomych, kobiety — pan przecież poświęcił ich, Bregg!

— Doktorze...

To słowo ledwo przeszło mi przez gardło. Oparłem się łokciem o stare biurko.

— Oprócz garstki fachowców nikogo to nie obchodzi, Bregg. Pan wie o tym?

— Tak. Powiedzieli mi to na Lunie, w tamtejszym Adapcie... tylko... wyrazili to... łagodniej.

Milczeliśmy dobrą chwilę.

— Społeczeństwo, do którego pan wrócił, jest ustabilizowane. Żyje spokojnie. Rozumie pan? Romantyzm wczesnego okresu astronautyki minął. Jest to jak gdyby analogia z dziejami Kolumba. Jego wyprawa była czymś niezwykłym, ale kto interesował się w dwieście lat po nim kapitanami żaglowców? O powrocie pana była dwuwierszowa notatka w realu.

— Doktorze, przecież to nie ma żadnego — znaczenia — powiedziałem. Jego współczucie zaczynało mnie drażnić bardziej od obojętności innych. Ale tego nie mogłem mu powiedzieć.

— Ma, Bregg, chociaż pan nie chce przyjąć tego do wiadomości. Gdyby pan był kimś innym, milczałbym, ale panu należy się prawda. Jest pan sam. Człowiek nie może żyć sam. Pana zainteresowania, to, z czym pan wrócił, są wysepką w morzu ignorancji. Wątpię, czy wielu ludzi chciałoby słuchać tego, co pan ma do opowiedzenia. Ja należę do takich ludzi, ale ja mam osiemdziesiąt dziewięć lat...

— Nie mam nic do opowiadania — odparłem zły. — W każdym razie nic sensacyjnego. Nie odkryliśmy żadnej cywilizacji galaktycznej, poza tym byłem tylko pilotem. Prowadziłem statek. Ktoś musiał to robić.

— Tak? — powiedział cicho, unosząc białe brwi. . Zewnętrznie byłem spokojny, ale ogarniała mnie pasja.

— Tak! Po tysiąc razy tak! A ta obojętność, teraz — jeżeli już chce pan wiedzieć — obchodzi mnie tylko ze względu na tych, którzy zostali...

— Kto został? — zapytał całkiem spokojnie. Ochłonąłem.

— Wielu. Arder, Venturi, Ennesson. Doktorze, po co...

— Nie pytam z. prostej ciekawości. To była — niech mi pan wierzy, ja też nie lubię wielkich słów — jakby moja własna młodość. Przez was poświęciłem się temu studium. Jesteśmy zrównani nieużytecznością. Naturalnie może pan tego nie uznać. Nie będę nalegał. Ale chciałbym wiedzieć. Co się stało z Arderem?

— Dokładnie nie wiadomo — odpowiedziałem. Zrobiło mi się naraz wszystko jedno. W końcu czemu nie miałem mówić? Patrzałem na spękaną, czarną politurę biurka. Nie myślałem nigdy, że tak będzie to wyglądało.

— Prowadziliśmy dwie sondy nad Arkturę. Straciłem z nim łączność. Nie mogłem go znaleźć. To jego radio milczało, nie moje. Kiedy kończył mi się tlen, wróciłem.

— Czekał pan?

— Tak. To znaczy — krążyłem wokół Arktura. Przez sześć dni. Dokładnie, sto pięćdziesiąt sześć godzin.

— Sam?

— Tak. Miałem pecha, bo Arktur dostał nowych plam i straciłem kompletnie łączność z „Prometeuszem”. Z moim statkiem. Zakłócenia. Sam nie mógł wrócić, bez radia. Arder, myślę. Bo w sondach kierunkowy teleran jest sprzężony z radiem. Nie mógł wrócić bez mnie i nie wrócił. Gimma wzywał mnie. Miał rację, bo tak — dla zabicia czasu — obliczyłem potem, jakie były szanse, że odnajdę go na wizji, w radarze — już nie pamiętam dokładnie, ale to było coś jak jeden do trylion. Mam nadzieję, że zrobił to, co Arne Ennesson?

— Co zrobił Arne Ennesson?

— Stracił fokalizację pęku. Zaczął mu słabnąć ciąg. Mógł utrzymać się jeszcze na orbicie, bo ja wiem, dobie, krążyłby po spirali, aż w końcu spadłby na Arktura, więc wolał od razu wejść w protuberancję. Spalił się w moich oczach.

— Ilu było pilotów oprócz pana?

— Na „Prometeuszu” pięciu.

— Ilu wróciło?

— Olaf Staave i ja. Ja wiem, co pan myśli, doktorze — że to bohaterstwo. Ja też tak myślałem kiedyś, czytając książki o takich ludziach. To nieprawda. Słyszysz pan? Żebym mógł, zostawiłbym tego Ardera i wróciłbym od razu, ale nie mogłem. On też by nie wrócił. Żaden by nie wrócił. Gimma też...

— Dlaczego pan się tak... tego wypiera? — spytał cicho.

— Bo jest różnica między bohaterstwem i koniecznością. Zrobiłem to, co zrobiłby każdy. Doktorze, żeby to zrozumieć, trzeba tam być. Człowiek jest takim płynnym bąbelkiem. Wystarczy zdefokalizowany odrzut albo rozmagnesowanie pola, powstaje wibracja i w jednej chwili ścina krew. Niech pan uważa, ja nie mówię o przyczynach zewnętrznych, jak meteory, tylko o skutkach defektów. Wystarczy byle świństwo, byle przepalony drucik w aparatach łączności — i już. Gdyby jeszcze ludzie mieli zawodzić w tych warunkach, wyprawy byłyby samobójstwem, rozumie pan? — Zamknąłem na sekundę oczy. — Doktorze — czy teraz nie latają? Jak to może być?

— Pan by poleciał?

— Nie.

— Dlaczego?

— Powiem panu. Żaden z nas nie poleciałby, gdyby wiedział, jak tam jest. Tego nikt nie wie. Nikt, kto tam nie był. Byliśmy kupą śmiertelnie przerażonych, zrozpaczonych zwierząt.

— Jak pan to godzi z tym, co pan powiedział przed chwilą?

— Nie godzę. Tak było. Baliśmy się. Doktorze, przecież ja, czekając na Ardera, krążąc wokół tego słońca — powymyślałem sobie różne osoby i rozmawiałem z nimi, mówiłem za siebie i za nie; i pod koniec uwierzyłem, że one są ze mną. Każdy ratował się, jak umiał. Niech pan pomyśli, doktorze. Siedzę tu, przed panem, wynająłem sobie willę, kupiłem stare auto, chcę się uczyć, czytać, pływać, ale ja to wszystko w sobie mam. To jest we mnie, ta

przestrzeń, ta cisza, i jak Venturi krzychał o pomoc, a ja, zamiast ratować go, dałem całą wstecz!

— Dlaczego?

— Prowadziłem „Prometeusza”; nawalił mu stos. Mógł rozsadzić nas wszystkich. Nie rozleciał się; nie rozsadziłby. Może byśmy go zdążyli wyciągnąć, ale nie miałem prawa ryzykować. Wtedy, z Arderem, było na odwrót. Ja chciałem go ratować, a Gimma wzywał mnie, bo się” bał, że zginiemy obaj.

— Bregg... niech mi pan powie, czego oczekiwaliście od nas? Od Ziemi?

— Pojęcia nie mam. Nigdy o tym nie myślałem. To było, jakby ktoś mówił o życiu pozagrobowym albo o raju, że będzie, ale nikt nie potrafił sobie tego wyobrazić. Doktorze — dosyć. Nie mówmy o tym. Chciałem pana zapytać o jedną rzecz. Jak jest z tą... betryzacją?

— Co pan o niej wie?

Powiedziałem mu. Ale nic o tymi, w jakich okolicznościach ani od kogo się dowiedziałem.

— Tak — powiedział. — Mniej więcej... w przeciętnym wyobrażeniu to jest tak, .

— A ja?...

— Ustawa robi dla was wyjątek, ponieważ betryzowanie dorosłych jest zabiegiem nieobojętnym dla zdrowia, niebezpiecznym nawet. Poza tym uważa się — nie bez racji, sądzę, że przeszliście próbę... postawy moralnej. A zresztą jest was... niewiele...

— Doktorze, jeszcze jedno. Pan mówił o kobietach. Dlaczego mi pan to powiedział? A może zabieram panu czas?

— Nie. Nie zabiera mi go pan. Dlaczego powiedziałem? Jakich człowiek może mieć bliskich, Bregg? Rodziców. Dzieci. Przyjaciół. Kobiety, Rodziców ani dzieci pan nie ma. Przyjaciół nie może pan mieć.

— Dlaczego?

— Nie mam na myśli pana towarzyszy, chociaż nie wiem, czy chciałby pan przebywać stale w ich kręgu, wspominać...

— Wielkie nieba, skąd! Nigdy!

— A więc? Pan zna dwie epoki. W tamtej spędził pan młodość, a tę pozna pan wnet. Jeśli dodać tych dziesięć lat, doświadczenie pana jest nieporównywalne z doświadczeniem żadnego rówieśnika. Więc oni nie mogą być równorzędnymi partnerami. Cóż, wśród starców ma pan żyć? Pozostają kobiety, Bregg. Tylko kobiety.

— Może raczej jedna — mruknąłem.

— O jedną jest dziś trudno.

— Jak to?

— To jest epoka dobrobytu. Przełożone na język spraw erotycznych, oznacza to: bezwzględności. Ponieważ nie można zdobyć miłości ani kobiet za... pieniądze. Kwestie materialne przestały tu istnieć...

— I to nazywa pan bezwzględnością? Doktorze!

— Tak. Pan myśli pewno — skoro mówiłem o kupowaniu miłości — że chodzi o prostytutkę, skrytą czy jawną. Nie. Tamto to już bardzo stare dzieje. Dawniej pociągał kobietę sukces. Mężczyzna imponował jej wysokością zarobków, kwalifikacjami zawodowymi, pozycją społeczną. W społeczeństwie egalitarnym to niemożliwe. Poza nielicznymi wyjątkami. Gdyby pan > był, na przykład, realistą...

— Jestem realistą. Doktor uśmiechnął się.

— To słowo ma teraz inne znaczenie. Tak się nazywa aktor występujący w realu. Był pan już w realu?

— Nie.

— Niech pan sobie obejrzy parę melodramatów, a zrozumie pan, jakie są dziś kryteria erotycznego doboru. Najważniejszym jest młodość. Dlatego tak wszyscy o nią walczą. Zmarszczki, siwizna, przedwczesna zwłaszcza, budzą takie niemal uczucia, jak przed

wiekami — trąd...

— Dlaczego?!

— Trudno panu to zrozumieć. Ale argumenty rozumu są bezsilne wobec panującej obyczajowości. Pan wciąż nie zdaje sobie sprawy z tego, jak wiele czynników, decydujących dawniej w sferze erotycznej, znikło. Natura nie znosi próżni; musiały je zastąpić inne czynniki. Weźmy choćby to, z czym pan tak się zżył, że przestał dostrzegać wyjątkowość zjawiska: ryzyko. Nie ma go już, Bregg. Mężczyzna nie może zaimponować kobiecie brawurą, szaleńczym postępkami, a przecież literatura, sztuka, cała kultura wiekami karmiła się tym nurtem: miłość w obliczu ostateczności. Orfeusz zszedł po Eurydykę do Hadesu. Otello zabił z miłości. Tragizm Romea i Julii... dziś nie ma już tragedii. Nie ma nawet jej szansy. Zlikwidowaliśmy piekło namiętności, a wtedy okazało się, że za jednym zamachem i niebo przestało istnieć. Wszystko jest teraz letnie, Bregg.

— Letnie?...

— Tak. Wie pan, co robią najniezwyklejsi nawet kochankowie? Zachowują się rozsądnie. Żadnej gwałtowności, rywalizacji...

— Pan... chce powiedzieć, że to wszystko... znikło?! — spytałem. Po raz pierwszy odczułem jakąś zabobonną grozę wobec tego świata. Stary doktor milczał.

— Doktorze, to niemożliwe. Jak to... naprawdę? — Tak. Tak jest. I musi pan to przyjąć, Bregg, jak powietrze, jak wodę. Mówiłem, że trudno o jedną kobietę. Na całe życie to prawie niemożliwe. Przeciętą trwania związków waha się około siedmiu lat. To i tak jest postęp. Przed pół wiekiem wynosiła zaledwie cztery...

— Doktorze, nie chcę zabierać panu czasu. Co mi pan radzi?

— To, o czym wspominałem już; przywrócenie pierwotnego koloru włosów... to brzmi trywialnie, na pewno. Ale to ważne. Wstydzę się, dając panu taką radę. Nie za siebie. Ale cóż ja...

— Dziękuję panu. Naprawdę. Ostatnia rzecz. Niech mi pan powie... jak ja wyglądam... na tle ulic? W oczach przechodniów? Co jest we mnie takiego...

— Bregg, pan jest inny. Po pierwsze, pana rozmiary. Coś z Iliady. Zamierzchłe proporcje!., to może być nawet pewna szansa, chociaż pan wie, jakie są losy tych, którzy zanadto się wyróżniają?

— Wiem.

— Pan jest trochę zbyt wielki... takich nie pamiętam nawet z młodych lat. Teraz wygląda pan jak człowiek bardzo wysoki i fatalnie ubrany, ale to nie ubranie źle leży, tylko pan jest tak niesłychanie umięśniony. Czy przed podróżą też?

— Nie doktorze. To są te dwa g, wie pan.

— To możliwe...

— Siedem lat. Siedem lat podwójnego obciążenia. Mięśnie musiały mi się powiększyć, oddechowe, brzuszne, wiem, jaki mam kark. Ale inaczej udusiłbym się tam jak szczur. Pracowały nawet, kiedy spałem. Nawet w hibernacji. Wszystko ważyło dwa razy więcej. To z tego.

— Czy inni też?... Przepraszam, że pytam, ale to moja lekarska ciekawość... Nie było tak długiej wyprawy, wie pan.

— Wiem. Inni? Olaf prawie jak ja. To zależy pewno od kośćca, zawsze byłem szeroki. Arder był większy ode mnie. Ponad dwa. Tak, Arder... Co to mówiłem? Inni — więc ja byłem najmłodszy i miałem przez to największe zdolności adaptacyjne. Tak przynajmniej twierdził Venturi... Czy zna pan prace Janssena?

— Czy znam? To dla nas klasyka, Bregg.;

— Tak? Śmieszne, to był taki ruchliwy doktorek... wytrzymałem u niego siedemdziesiąt dziewięć g przez półtorej sekundy, wie pan?

— Co pan mówi?

Uśmiechnąłem się.

— Mam to na piśmie. Ale to było sto trzydzieści lat temu... teraz czterdzieści jest dla mnie za dużo.

— Bregg, dziś dwudziestu nikt nie wytrzyma!

— Dlaczego! Może to przez betryzację?

Milczał. Wydało mi się, że wie coś, czego nie chce mi powiedzieć. Wstałem.

— Bregg — powiedział — jeśli już o tym mówimy: niech pan uważa.

— Na co?

— Na siebie i na innych. Postęp nigdy nie przychodzi za darmo. Pozbyliśmy się tysiącznych niebezpieczeństw, konfliktów, ale trzeba było za to płacić. Społeczeństwo zmiękło, a pan jest, pan może być... twardy. Rozumie pan?

— Rozumiem — powiedziałem, myśląc o tym człowieku, który śmiał się w restauracji i umilkł, kiedy do niego podszedłem.

— Doktorze — powiedziałem nagle — prawda... spotkałem w nocy lwa. Nawet dwa lwy. Dlaczego mi nic nie zrobiły?...

— Już nie ma drapieżników, Bregg... betryzacja... spotkał je pan w nocy? I co pan zrobił?

— Drapałem je po gardle — powiedziałem i pokazałem jak. — Ale z tą Iliadą, doktorze, to przesada. Miałem porządnego stracha. Co jestem panu winien?

— Proszę nawet nie myśleć o tym. I gdyby pan kiedykolwiek chciał...

— Dziękuję.

— Ale niech pan nie zwleka za bardzo — dodał prawie do siebie, kiedy już wychodziłem. Dopiero na schodach zrozumiałem, co to znaczyło: miał prawie dziewięćdziesiąt lat.

Wróciłem do hotelu. W hallu był fryzjer. Oczywiście robot. Kazałem się ostrzyć. Byłem porządnie zarośnięty, z mnóstwem włosów nad uszami. Najbardziej siwe były skronie. Kiedy skończył, wydało mi się, że wyglądam trochę mniej dziko. Spytał melodyjnym głosem, czy uczernić.

— Nie — powiedziałem.

— Aprex?

— Co to jest?

— Przeciw zmarszczkom.

Wahałem się. Było mi okropnie głupio, ale może doktor miał rację.

— Niech będzie — zgodziłem się. Pokrył mi twarz warstwą ostro pachnącej żelatyny, która ścięła się w maskę. Leżałem potem pod kompresami, rad, że mam zakrytą twarz.

Pojechałem na górę; w pokoju leżały już paczki z płynną bielizną, zrzuciłem ubranie i wszedłem do łazienki. Było w niej lustro.

Tak. Mogłem przestraszyć. Nie wiedziałem, że wyglądam jak jarmarczny siłacz. Zębate mięśnie oddechowe, tors, w ogóle cały byłem sękaty. Kiedy podniosłem ramię i mięsień piersiowy wezbrał, ukazała się w nim szeroka na dłoń blizna. Próbowałem zobaczyć tę drugą, obok łopatki, za którą nazwali mnie szczęściarzem, bo gdyby odłamek poszedł trzy centymetry bardziej w lewo, strzaskałby mi kręgosłup. Uderzyłem się pięścią w deskowaty brzuch.

— Ty, bydlę — powiedziałem do lustra. Miałem ochotę wziąć kąpiel, prawdziwą, nie w ozonowym wicherze, i ucieszyłem się na myśl o basenie, który będzie przy tej willi. Chciałem ubrać się w coś z nowych rzeczy, ale nie mogłem się jakoś rozstać ze spodniami. Włożyłem więc tylko biały sweter, chociaż mój stary, czarny, postrzępiony na łokciach o wiele bardziej mi się podobał, i poszedłem do restauracji.

Połowa stolików była zajęta. Przez trzy sale dostałem się na taras; było widać stąd wielkie bulwary, z nieskończonymi strumieniami gliderów; pod chmurami, jak górski masyw, zbłękitniały od powietrza, stał dworzec Terminal.

Zamówiłem obiad.

- Jaki? — spytał robot. Chciał mi dać kartę.
- Wszystko jedno — powiedziałem. — Zwykły obiad.

Dopiero kiedy zacząłem jeść, zauważyłem, że stoliki wokół są puste. Całkiem odruchowo szukałem odosobnienia. Nie wiedziałem o tym nawet. Nie wiedziałem, co jem. Straciłem pewność, że to, co zamyśliłem, jest dobre. Wakacje, jak gdybym chciał sam siebie wynagrodzić, skoro nikt inny o tym nie pomyślał. Kelner zbliżył się bezszelestnie.

- Pan Bregg, prawda?
- Tak.
- Ma pan gościa — w swoim pokoju.
- Gościa?

Pomyślałem od razu o Nais. Dopilem ciemny, musujący płyn i wstałem, czując plecami spojrzenia, które szły za mną. Nieźle byłoby odpiłować sobie choć z dziesięć centymetrów. W pokoju siedziała młoda kobieta, której nigdy nie widziałem. Szara, puszysta sukienka, czerwona fantazja wokół ramion.

- Jestem z Adaptu — powiedziała — rozmawiałam dzisiaj z panem.
- A, to pani była?

Nastroszyłem się trochę. Czego znów chcieli ode mnie?

Usiadła. I ja usiadłem powoli.

- Jak się pan czuje?

— Doskonale. Byłem dziś u lekarza, zbadał mnie. Wszystko gra. Wynająłem sobie willę, chcę trochę poczytać.

— Bardzo rozsądne. Klavestra jest pod tym względem świetna. Będzie pan miał góry, spokój...

Wiedziała, że to Klavestra. Śledzili mnie czy jak? Siedziałem nieruchomo, czekając na dalszy ciąg.

- Przyniosłam panu... coś od nas. Wskazała mały pakiet, leżący na stole.

— To nasza najnowsza rzecz, wie pan — mówiła z ożywieniem, trochę sztucznym. — Kładąc się spać nastawi pan aparat... i w ciągu kilkunastu nocy dowie się pan, w najprostszym sposobie, bez żadnego wysiłku, mnóstwa pożytecznych rzeczy.

— Tak? To dobre — powiedziałem. Uśmiechnęła się do mnie. I ja się uśmiechnąłem, grzeczny uczeń.

- Pani jest psychologiem?

- Tak. Zgadł pan...

Wahała się. Widziałem, że chce coś powiedzieć.

- Słucham...

- Nie będzie się pan na mnie gniewał?

- Dlaczego miałbym się gniewać?

- Bo widzi pan... pan ubiera się trochę...

- Wiem. Ale lubię te spodnie. Może z czasem...

- Ach nie, mniejsza o spodnie. Sweter...

- Sweter? — zdziwiłem się. — Dzisiaj mi go zrobili, to chyba ostatni krzyk mody, nie?

- Tak. Tylko pan go niepotrzebnie nadął... pozwoli pan?

— Proszę — powiedziałem całkiem cicho. Wychyliła się z fotela, wyprostowanymi palcami uderzyła mnie lekko w pierś i krzyknęła słabo.

- Co pan tam ma?

- Oprócz siebie nic — odpowiedziałem z krzywym uśmiechem.

Objęła lewą ręką palce prawej i wstała. Nagle ten mój podszyty złośliwością satysfakcji spokój stał się jak lód.

- Niechże pani spocznie.

- Kiedy... strasznie pana przepraszam, ja...

— Głupstwo. Dawno pracuje pani w Adapcie?
— Drugi rok.
— Aha — i pierwszy pacjent? — pokazałem palcem na siebie. Zarumieniła się trochę.
— Mogę panią o coś spytać?
Zatrzepotała powiekami. Może myślała, że chcę się z nią umówić na randkę?
— Naturalnie...
— Jak to jest zrobione, że na każdym poziomie miasta widać niebo? Ożywiła się.
— To bardzo proste. Telewizja — tak to dawniej nazywano. Na stropach są ekrany — transmitują to, co jest nad ziemią, wygląd nieba, chmur...
— Ale te poziomy nie są chyba wysokie — powiedziałem — a stoją tam i czterdziestopiętrowe domy...
— To złudzenie — uśmiechnęła się — tylko część domów jest rzeczywista; przedłużenie stanowi obraz. Rozumie pan?
— Rozumiem, jak to jest, ale nie rozumiem, po co?
— Po to, żeby mieszkańcy żadnego poziomu nie czuli się poszkodowani. Pod żadnym względem...
— Aha — powiedziałem. — Tak, to dowcipne... jeszcze jedno. Wybieram się po książki. Czy może mi pani polecić kilka rzeczy ze swej dziedziny? Takich... kompilujących.
— Pan chce studiować psychologię? — zdziwiła się.
— Nie, ale chcę wiedzieć, coście zrobili przez ten czas...
— Radziłabym Mayssena — powiedziała.
— Co to jest?
— Podręcznik szkolny.
— Wolałbym coś większego. Kompendia, monografie... zawsze lepiej brać z pierwszej ręki...
— To będzie może za... trudne... Uśmiechnąłem się uprzejmie.
— Może nie. Na czym polega trudność?
— Psychologia bardzo się zmatematyzowała...
— Ja też. Do tego miejsca, które zostawiłem sto lat temu. Czy trzeba więcej?
— Przecież nie jest pan matematykiem?
— Z zawodu nie, ale studiowałem. Na „Prometeuszu”. Było tam... sporo wolnego czasu, wie pani.
Zdziwiona, zbита z tropu, nic już nie powiedziała. Zostawiła mi kartkę ze spisem tytułów. Kiedy wyszła, wróciłem do biurka i—usiadłem ciężko. Nawet ona, pracownica Adaptu... Matematyka? Skąd. Dziki facet. Nienawidzę ich — pomyślałem. — Nienawidzę. Nienawidzę. Nie wiedziałem nawet, o kim myślę. O wszystkich. Tak, o wszystkich. Oszukano mnie. Wysłali mnie, sami nie wiedząc, co robią, powinienem był nie wrócić, jak Venturi, Arder, Thomas, ale wróciłem, żeby się mnie bali, żebym chodził jak wyrzut sumienia, którego nikt nie chce. Jestem na nic — pomyślałem. Gdybym mógł płakać. Arder umiał. Mówił, że nie trzeba się wstydzic łez. Możliwe, że kłamałem przed doktorem. Nie powiedziałem tego nigdy nikomu, ale nie byłem pewien, czy zrobiłbym to dla kogokolwiek innego. Może tak. Dla Olafa, później. Ale nie byłem tego zupełnie pewny. Arder! Jak oni nas zniszczyli i jak myśmy wierzyli im, i czuli przez cały czas Ziemię poza sobą, obecną, wierzącą w nas, myślącą o nas. Nikt tego nie mówił, po co? Nie mówi się o tym, co jest oczywiste.
Wstałem. Nie mogłem siedzieć. Chodziłem z kąta w kąt.
Dość. Otworłem drzwi łazienki, ale przecież naweit wody nie było, żeby chlusnąć sobie na łeb. Zresztą, co za pomysł. Czysta histeria.
Wróciłem do pokoju i zacząłem się pakować.

III

Całe popołudnie spędziłem w księgarni. Nie było w niej książek. Nie drukowano ich już od pół wieku bez mała. A tak się na nie cieszyłem, po mikrofilmach, z których składała się biblioteka „Prometeusza”. Nic z tego. Nie można już było szperać po półkach, ważyć w ręce tomów, czuć ich ciężaru, zapowiadającego rozmiar lektury. Księgarnia przypominała raczej elektronowe laboratorium. Książki to były kryształki z utrwaloną treścią. Czytać można je było przy pomocy optonu. Był nawet podobny do książki, ale o jednej, jedynej stronicy między okładkami. Za dotknięciem pojawiały się na niej kolejne karty tekstu. Ale optonów mało używano, jak mi powiedział robot-sprzedawca. Publiczność wołała lektany — czytały głośno, można je było nastawiać na dowolny rodzaj głosu, tempo i modulację. Tylko naukowe publikacje o bardzo małym zasięgu drukowano jeszcze na plastyku imitującym papier. Tak że wszystkie moje zakupy mieściły się w jednej kieszeni, choć było tego prawie trzysta tytułów. Garść krystalicznego zboża — tak wyglądały książki. Wybrałem sporo dzieł historycznych, socjologicznych, trochę statystyki, demografii i to, co dziewczyna z Adaptu poleciła mi z psychologii. Parę większych podręczników matematycznych, większych oczywiście w sensie zawartej treści, a nie rozmiarów. Robot, który mnie obsługiwał, sam był encyklopedią, dzięki temu, że — jak mi powiedział — jest bezpośrednio podłączony poprzez elektronowe katalogi z wzornikami wszelkich możliwych dzieł na całej Ziemi. W księgarni znajdowały się zasadniczo tylko pojedyncze „egzemplarze” książek, a kiedy ktoś ich potrzebował, utrwalało się treść pożądanego dzieła w kryształku.

Oryginały — krystommatryce — były niewidzialne, mieściły się za emaliowanymi bladym błękitem stalowymi płytami. Tak więc książkę niejako drukowało się za każdym razem, kiedy ktoś jej potrzebował. Sprawa nakładów, ich wysokości, wyczerpywania przestała istnieć. Było to naprawdę wielkie osiągnięcie, a jednak żal mi było książek. Dowiedziawszy się, że istnieją antykwariaty z papierowymi książkami, odszukałem jeden. Rozczarowałem się; pozycji naukowych prawie nie było. Literatura rozrywkowa; trochę dziecięcej, nieco roczników starych pism.

Kupiłem (tylko za stare książki trzeba było płacić) trochę bajek sprzed czterdziestu lat, żeby się zorientować, co uważają teraz za bajki — i udałem się do składnicy sportowej. Tu już moje rozczarowanie nie miało granic. Lekka atletyka istniała w jakiejś skarłatej formie. Biegi, rzuty, skoki, pływanie, ale prawie żadnych walk. Nie istniał już boks, a to, co nazywano zapasami, było wprost śmieszne, jakieś przepychanie się zamiast uczciwej walki. Obejrzałem sobie jedno spotkanie z mistrzostw świata w projekcyjnej sali składnicy i myślałem, że mnie diabli ze złości wezmą. Chwilami zaczynałem się śmiać jak wariat. Pytałem o wolną amerykankę, o dżudo, o dżiu-dżitsu, ale nikt nie wiedział nawet, co to jest. Zrozumiałe, skoro piłka nożna zmarła bezpotomnie jako dyscyplina, w której dochodzi do ostrych starć i obrażeń. Hokej był, ale jaki! Grali w tak nadymanych kombinezonach, że wyglądali jak olbrzymie piłki. Pocieszenie wyglądały dwie drużyny, zderzające się ze sobą elastycznie, ale też była to farsa, nie mecz. Skoki do wody, tak, ale tylko z czterech metrów wysokości. Pomyślałem od razu o moim (moim!) basenie i nabyłem składaną trampolinę, żeby nadbudować tą, która będzie w Klavestrze. Cała ta degrengolada była skutkiem betryzacji. Tego, że znikły walki byków, kogutów i inne krwawe widowiska, nie żałowałem, nie byłem też nigdy entuzjastą zawodowego boksu. Ale ta ciepła kaszka, która została, nie pociągała mnie w najmniejszej mierze. Wniknięcie techniki do sportu tolerowałem tylko w turystyce. Rozwinęła się zwłaszcza podwodna.

Obejrzałem sobie rozmaite rodzaje aparatów do nurkowania, małe torpedy elektryczne, którymi można było podróżować ponad dnem jezior, ślizgowce, hydroty, poruszające się na poduszce zgęszczonego powietrza, wodne mikroglidery, wszystko to zaopatrzone w specjalne

urządzenia zabezpieczające przed wypadkiem.

Wyścigów, cieszących się dużą nawet popularnością, nie mogłem uznać za sportowe; oczywiście, żadnych koni, żadnych aut — ścigały się sterowane automatycznie maszyny i można było na nie stawiać. Tradycyjny sport wyczynowy bardzo stracił na znaczeniu. Wyjaśniono mi, że granice fizycznych możliwości człowieka zostały osiągnięte i poprawiać rekordy mógłby tylko człowiek anormalny, jakiś potwór siły czy szybkości. Rozumowo musiałem się z tym zgodzić, zresztą to, że pozostałe po hekatombie szczątki atletycznych dyscyplin bardzo się rozpowszechniły, należało pochwalić — a jednak wyszedłem z tych trzygodzinnych oględzin przybity na duchu.

Wybrane przyrządy gimnastyczne poleciłem przesłać do Klavestry, Ze ślizgacza zrezygnowałem po namyśle; chciałem kupić sobie jacht, ale żaglowych właściwie nie było, to znaczy uczciwych, z mieczami, tylko jakieś łajby nieszczęsne, gwarantujące stateczność do tego stopnia, że nie pojmowałem, jak żeglowanie na nich może sprawić jakąś satysfakcję.

Kiedy wracałem do hotelu, był wieczór. Od zachodu nadciągały puszyste, zaczerwienione obłoki, słońce schowało się już, wszedł księżyc w pierwszej kwadrze, a u zenitu jaśniał drugi — jakiś wielki sztuczny satelita. Wysoko nad domami roilo się od latających maszyn. Liczba przechodniów zmalała, narastał za to ruch głiderów i pojawiły się, smużąc jezdnie, owe szczelinowe światła, których znaczenia wciąż jeszcze nie znałem. Wracałem inną drogą i napotkałem wielki ogród. Zrazu wydało mi się, że to park Terminal, ale tamten, ze szklaną górą dworca, majaczył daleko, w północnej, wyższej części miasta.

Widok był zresztą niezwykle, bo kiedy całą okolicę okrył już. posiekany światłami ulicznymi mrok, górne kondygnacje Terminalu jarzyły się jeszcze niczym ośnieżone alpejskie szczyty.

W parku było tłoczno. Dużo nowych odmian drzew, zwłaszcza palm, kwitnące, bezkolczaste kaktusy, w odległym od głównych alei zakątku udało mi się znaleźć kasztan liczący chyba dwieście lat. Trzech ludzi jak ja nie objęłoby jego pnia. Usiadłem na małej ławce i jakiś czas patrzyłem w niebo. Jak nieszkodliwie, jak pocziwie wyglądały gwiazdy, pomrugując, drżąc w niewidocznych prądach atmosfery, która chroniła przed nimi Ziemię. Pomyślałem o nich „gwiazdki”, po raz pierwszy od tylu lat. Tam nikt nie odważyłby się tak powiedzieć, wzięlibyśmy go za wariata. Gwiazdki, rzeczywiście, żarłoczne gwiazdki. Nad całkiem już ciemne drzewa wzbil się w dali fajerwerek i od razu zobaczyłem, ze zdumiewającą realnością, Arktura, góry ognia, nad którym leciałem szczękając zębami z zimna, a szron aparatury chłodzącej, topniejąc, ściekał mi, czerwony od rdzy, po kombinezonie. Pobierałem próbki koronossawą, wsłuchany w gwizd sprężarek, czy nie tracą obrotów, bo jednosekundowa awaria, ich zachłyśnięcie, obróciłaby pancerze, aparaty i mnie w niedostrzegalny obłoczek pary. Kropla padająca na rozżarzoną płytę nie znika tak szybko, jak ulatnia się wtedy człowiek.

Kasztan już prawie przekwitł. Nie lubiłem woni jego kwiatów, ale teraz przypominała mi to, co było tak dawno. Ponad żywopłotami falował wciąż blask sztucznych ogni, wybuchała wrzawa, słychać było mieszające się z sobą orkiestry i co kilkadziesiąt sekund powracał, niesiony wiatrem, chóralny krzyk uczestników jakiegoś widowiska, może pasażerów kolejki górskiej. Mój zakątek pozostawał jednak prawie pusty.

W pewnej chwili z bocznej alejki wyłoniła się czarna, wysoka postać. Zielen była już całkiem szara i twarz tego człowieka zauważyłem dopiero, kiedy idąc nadzwyczaj powoli, małymi krokami, zaledwie odrywając stopy od ziemi, zatrzymał się kilka kroków dalej. Jego ręce tkwiły w lejąwatych zgrubieniach, od których szły dwa cienkie pręty, zakończone czarnymi gruszczkami. Opierał się na nich nie jak paralityk, ale jak ktoś nad wyraz osłabiony. Nie patrzył na mnie, na nic — śmiechy, chóralne krzyki, muzyka, wybuchy rac zdawały się dlań w ogóle nie istnieć. Stał może minutę, oddychając z wysiłkiem, a jego twarz ukazywała mi się raz po razie w powracających rozbłyskach fajerwerku, tak stara, że lata

zmyły z niej wszelki wyraz i była tylko skórą na kości. Gdy miał ruszyć, wysuwając do przodu te dziwne kule czy protezy, jedna pośliznęła mu się, skoczyłem z ławki, aby go podtrzymać, ale już odzyskał równowagę. Był o głowę niższy ode mnie, ale i tak wysoki, jak na współczesnego człowieka; spojrział na mnie świecącymi oczami.

— Przepraszam — mruknąłem. Chciałem odejść, ale zostałem: w jego oczach było coś nakazującego.

— Ja pana już gdzieś widziałem. Ale gdzie? — powiedział niespodziewanie silnym głosem.

— Wątpię — odparłem, potrząsając głową. — Wróciłem dopiero wczoraj... z bardzo długiej podróży.

— Skąd?

— Z Fomalhaut. Jego oczy rozblęły.

— Arder! Tom Arder!!

— Nie — powiedziałem. — Ale byłem z nim.

— A on?

— Zginął.

Dyszał.

— Niech mi pan... pomoże... usiąść.

Ująłem go za ramiona. Pod czarnym, śliskim materiałem były same kości. Opuściłem go powoli na ławkę. Stałem nad nim.

— Niech pan... siada.

Usiadłem. Dyszał wciąż, z przymkniętymi oczami.

— To nic... wzruszenie — szepnął. Po chwili uniósł powieki. — Jestem Roemer — powiedział po prostu.

Zaparło mi dech.

— Jak to... pan... pan?... Ile...

— Sto trzydzieści cztery — powiedział sucho. — Wtedy miałem... siedem...

Pamiętałem go. Przyjechał do nas z ojcem, fenomenalnym matematykiem, który był asystentem Geonidesa — twórcy teorii naszego lotu. Arder pokazał wtedy chłopcu wielką halę testową, centryfugi — taki został mi w pamięci: żywy jak iskra siedmiolatek, z czarnymi oczami ojca; Arder podniósł go w powietrze, żeby malec mógł zobaczyć z bliska wnętrze grawikamery, w której siedziałem.

Milczeliśmy obaj. W tym spotkaniu było coś niesamowitego. Wpatrywałem się, poprzez ciemność, z jakąś zachłanną, bolesną chciwością w jego tak strasznie starą twarz, i gardło mi się ścisnęło. Chciałem wyjąć z kieszeni papierosa, nie mogłem trafić do niej, tak latały mi palce.

— Co się stało z Arderem? — spytał.

Powiedziałem mu.

— Nie odnaleźliście — nic?

— Nie. Tam się nie odnajduje... wie pan.

— Wziąłem pana za niego...

— Rozumiem. Wzrost, i tak dalej — powiedziałem.

— Tak. Ile ma pan teraz lat? Biologicznych...

— Czterdzieści.

— Mogłem... — szepnął.

Zrozumiałem go.

— Niech pan nie żałuje — powiedziałem twardo. — Niech pan tego nie żałuje. Niech pan niczego nie żałuje, rozumie pan?

Pierwszy raz przeniósł spojrzenie na moją twarz.

— Dlaczego?

— Bo nie mam tu co robić — powiedziałem. — Nikt mnie nie potrzebuje. Ani ja... nikogo.

Jakby nie usłyszał mnie.

— Jak się pan nazywa?

— Bregg. Hal Bregg.

— Bregg — powtórzył. — Bregg... nie. Nie pamiętam. Był pan tam?

— Tak. W Apprenous, kiedy pana ojciec przywiózł poprawki, wykryte przez Geonidesa w ostatnim miesiącu przed startem... okazało się, że współczynniki refrakcji w ciemnych pyłach były zbyt niskie... nie wiem, czy panu to coś mówi? — zatrzymałem się niepewnie.

— Mówi. A jakże — odpowiedział ze szczególną intonacją. — Mój ojciec. A jakże. W Apprenous? Ale co pan tam robił? Gdzie pan był?

— W komorze grawitacyjnej, u Janssena. Pan był tam wtedy, Arder pana przyprowadził, stał pan na górze, na mostku, i patrzył pan, jak mi dają czterdzieści g. Kiedy wylazłem, krwawiłem z nosa... pan mi dał swoją chusteczkę...

— A! To był pan?

— Tak:

— Zdawało mi się, że ten człowiek, w komorze... miał ciemne włosy.

— Tak. Nie mam jasnych. Są siwe. Tylko teraz nie widać dobrze.

Nastało milczenie, dłuższe niż przedtem.

— Pan jest oczywiście profesorem? — powiedziałem, tylko aby je przerwać.

— Byłem. Teraz już... nic. Od dwudziestu trzech lat. Nic. — I jeszcze raz, bardzo cicho, powtórzył: — Nic.

— Kupowałem dziś książki... i była między nimi topologia Roemera. Czy to pan, czy pana ojciec?

— Ja. Pan jest matematykiem?

Popatrzył na mnie jakby z nowym zainteresowaniem.

— Nie — powiedziałem. — Ale... miałem sporo czasu... tam. Każdy robił, co chciał. Mnie... pomogła matematyka.

— Jak pan to rozumie?

— Mieliśmy moc mikrofilmów: beletrystykę, powieści, co pan tylko chce. Wie pan, żeśmy zabrali trzysta tysięcy tytułów? Ojciec pana pomagał Arderowi kompletować część matematyczną...

— Wiem o tym.

— Początkowo traktowaliśmy to jako... rozrywkę. Zabijanie czasu. Ale już po paru miesiącach, kiedy kompletnie urwała się łączność z Ziemią i wisieliliśmy tak — pozornie nieruchomi względem gwiazd — to, wie pan, czytać, że jakiś Piotr palił nerwowo papierosa i nękało go, czy Łucja przyjdzie, i że weszła i miała rękawiczki, to człowiek najpierw zaczynał się z tego śmiać jak ostatni idiota, a potem diabli wprost brali. Jednym słowem, nikt tego potem nawet nie tykał.

— I matematyka?

— Nie. Nie od razu. Najpierw wziąłem się do języków, wie pan, i nie rzuciłem tego do końca, chociaż wiedziałem, że to prawie nieużyteczne, bo kiedy wrócę, będą archaicznymi dialektami. Ale Gimma — i Thurber zwłaszcza — zachęcali mnie do fizyki. Że to się może przydać. Zabrałem się do niej, z Arderem i Olafem Staave, tylko my trzej nie byliśmy naukowcami...

— Przecież pan miał stopień.

— Tak, magisterium z teorii informacji, kosmodromię i dyplom inżyniera jądrowca, ale to wszystko było profesjonalne, nie teoretyczne. Pan przecież wie, jak inżynier zna się na matematyce. Tak, więc fizyka. Ale chciałem mieć jeszcze coś — własnego. I dopiero czysta matematyka. Nie miałem nigdy matematycznych zdolności. Żadnych. Nic, prócz uporu.

— Tak — powiedział cicho. — Trzeba go było mieć, żeby... polecić.

— Raczej, żeby się dostać do ekspedycji — poprawiłem go. — I wie pan, dlaczego tak było, z matematyką? Tam to dopiero rozumiałem. Bo ona jest ponad wszystkim. Rzeczy Abła i Kroneckera są takie dobre dziś, jak przed czterystu laty, i zawsze tak będzie. Powstają nowe drogi, ale stare dalej prowadzą. Nie zarastają. Tam... tam jest wieczność. Tylko matematyka nie obawia się jej. Tam rozumiałem, jaka jest ostateczna. I mocna. Nie było nic takiego. I to, że tak ciężko mi szło, też było dobre. Mordowałem się z tym i kiedy nie mogłem spać, powtarzałem sobie materiał przerobiony za dnia...

— Ciekawe — powiedział. Ale w jego głosie nie było zaciekawienia. Nie wiedziałem nawet, czy mnie słucha. W głębi parku przelatywały słupy ogniste, czerwone i zielone pożary, towarzyszyły im chóralne okrzyki radości. Tu, gdzie siedzieliśmy, pod drzewami, było ciemno. Zamilkłem. Ale ta cisza była nie do zniesienia.

— To miało dla mnie wartość samozachowawczą — powiedziałem. — Teoria mnogości... to, co Mirea i Awerin zrobili z dziedzictwem Cantora, wie pan. To operowanie wielkościami nadskończonymi, pozaskończonymi, te kontinua dokładnie rozszczepialne, mocne... to było wspaniałe. Czas, w którym siedziałem nad tym, pamiętam, jakby to było wczoraj.

— To nie jest takie nieużyteczne, jak pan myśli — mruknął. Jednak słuchał. — Nie słyszał pan pewno o pracach Igalli?

— Nie, co to jest?

— Teoria nieciągłego antypola.

— Nie wiem nic o antypolu. Co to jest?

— Retronihilacja. Z tego wyszła parastatyka.

— Nawet nie słyszałem tych terminów.

— No tak, bo to powstało przed sześćdziesięciu laty. To był zresztą dopiero wstęp do grawitologii.

— Widzę, że będę musiał przysiąc fałdów — powiedziałem. — Grawitologia to chyba teoria grawitacji, co?

— Więcej. Tego się nie da powiedzieć inaczej aniżeli matematyką. Przeszedł pan Appiano i Frooma?

— Tak.

— No, to nie powinien pan mieć żadnych trudności. To są rozwinięcia metagenów w n-wymiarowym konfiguracyjnym zbiorze wyrodniejącym.

— Co pan mówi? Przecież Skriabin udowodnił, że nie ma innych metagenów poza wariacyjnymi?

— Tak. Bardzo ładny dowód. Ale to jest pozaciągłe, wie pan.

— Nie może być! Przecież to... ależ to musiało otworzyć cały świat!

— Tak — powiedział sucho.

— Pamiętam jedną pracę Mianikowskiego... — zacząłem.

— Oh, to bardzo odległe. Najwyżej... podobny kierunek.

— Ile może mi zająć przejście wszystkiego, co zostało zrobione przez cały ten czas? — spytałem.

Milczał chwilę.

— Po co to panu?

Nie wiedziałem, co powiedzieć.

— Nie będzie pan już latał?

— Nie — powiedziałem. — Jestem za stary. Nie wytrzymałbym takich przyspieszeń, jakie... a zresztą... nie polecałbym już.

Po tych słowach zamilkliśmy na dobre. To niespodziewane uniesienie, z jakim mówiłem o matematyce, ulotniło się nagle i siedziałem obok niego, czując ciężar własnego ciała, jego niepotrzebną wielkość. Poza matematyką nie mieliśmy sobie nic do powiedzenia i obaj

wiedzieliśmy o tym. Naraz wydało mi się, że wzruszenie, z jakim opowiadałem o błogosławionej roli matematyki w podróży, było oszustwem. Oszukiwałem sam siebie skromnością, pilnym heroizmem pilota zajmującego się, w rozziewach mgławic, teoretycznymi studiami nieskończoności. Załgałem się. Bo cóż to było w końcu? Czy rozbitek, który tułał się miesiącami po morzu i aby nie zwariować, tysiąc razy obliczał ilość drzewnych włókienek, z których składa się jego tratwa, miałby się czym chęłpić wszedłszy na ląd? Tym, że był dostatecznie wytrwały, aby się uratować? Więc co z tego? Co to kogokolwiek obchodziło? Co mogło obchodzić kogoś, jakimi rzeczami zapełniałem mój nieszczęsny mózg przez tych dziesięć lat i dlaczego miało to być ważniejsze od tego, co zapełniało moje kiszki? Trzeba zaprzestać tej zabawy w powściągliwego bohatera — pomyślałem. — Będę sobie mógł na to pozwolić, kiedy będę wyglądał tak . jak on. Muszę myśleć o przeszłości.

— Niech mi pan pomoże wstać — powiedział szeptem.

Odprowadziłem go do glidera, który stał na ulicy. Szliśmy nadzwyczaj powoli. Tam gdzie wśród żywopłotów jasno było od świateł, ludzie przeprowadzali nas wzrokiem. Nim wsiadł do glidera, odwrócił się, żeby się ze mną pożegnać. Ani on, ani ja nie znaleźliśmy wtedy żadnego słowa. Zrobił niezrozumiały ruch ręką, z której jak szpada wysuwała się jedna z jego lasek, poruszył głową, wsiadł i ciemny pojazd ruszył bezszelestnie. Odpląnął, a ja stałem z opuszczonymi rękami, aż czarny glider znikł w potoku innych. Wsadziłem ręce do kieszeni i ruszyłem przed siebie, nie umiejąc odpowiedzieć na pytanie, który z nas lepiej wybrał.

To, że z miasta, które pozostawiłem, nie ocalał nawet kamień na kamieniu, było dobre. Jak gdybym żył wtedy na jakiejś innej Ziemi, wśród innych ludzi; tamto zaczęło się i skończyło raz na zawsze, a to było nowe. Żadnych szczątków, żadnych ruin, które podawałyby w wątpliwość mój biologiczny wiek, mogłem zapomnieć o jego ziemskim przeliczeniu, tak przeciwnym naturze — aż ten niewiarygodny traf zetknął mnie z kimś, kogo pozostawiłem jako małe dziecko; przez cały czas, siedząc przy nim, patrząc na jego zeschłe jak u mumii ręce, na jego twarz, czułem się winny i wiedziałem, że on o tym wie. Co za nieprawdopodobny przypadek — powtórzyłem na poły bezmyślnie, kilka razy, aż uświadomiłem sobie, że mogło go w to miejsce sprowadzić to samo, co mnie: rósł tam przecież ów kasztan, drzewo, które było starsze od nas obu. Nie orientowałem się jeszcze, jak daleko udało im się przesunąć granice życia, ale widziałem, że wiek Roemera był chyba czymś wyjątkowym: musiał być ostatnim lub jednym z ostatnich ludzi swego pokolenia. Gdybym nie poleciał, nie żyłbym już — pomyślałem i po raz pierwszy wyprawa ukazała mi swoją drugą, niespodziewaną stronę: wybiegu, okrutnego oszustwa, którego dopuściłem się na innych. Szedłem tak, nie widząc prawie dokąd, wokół mnie huczno było od tłumów, strumień idących niósł mnie i popychał — naraz przystanąłem, jak gdybym się obudził.

Panował nieopisany hałas; wśród zmieszanych okrzyków, dźwięków .muzyki, salwami były w niebo sztuczne ognie, zawisając wysoko barwnymi bukietami; ich płonące kule sypały się w korony okolicznych drzew; wszystko to przeszywał, w regularnych odstępach czasu, wielogłosy, przeraźliwy krzyk, pomieszany ze śmiechem, zupełnie jakby gdzieś w pobliżu znajdowała się kolejka górską, ale daremnie szukałem oczami jej rusztowania. W głębi parku wznosił się wielki budynek z wieżyczkami i murami obronnymi, jakby przeniesiony ze średniowiecza warowny zamek; zimne płomienie neonów, liżące jego dachy, układały się co chwila w słowa PAŁAC MERLINA. Tłum, który mnie tu doprowadził, zmierzał w bok, ku szkarłatnej ścianie pawilonu, niezwykle przez to, że przypominała ludzką twarz; jej okna były płonącymi oczami, a pełna zębów, olbrzymia, wykrzywiona gęba otwierała się, aby połknąć następną porcję tłoczących się, przy akompaniamencie powszechnej wesołości; za każdym razem pochłaniała taką samą ilość . — sześć osób. W pierwszej chwili zamierzałem wydostać się z tłoku i odejść, nie byłoby to jednak łatwe, poza tym nie miałem dokąd iść i przyszła refleksja, że ze wszystkich możliwych sposobów spędzenia reszty wieczoru ten,

nieznany, nie musi być najgorszy. Samotnych, jak ja, wśród otaczających mnie nie było — przeważały pary, chłopcy i dziewczęta, kobiety i mężczyźni, ustawiano się dwójkami i kiedy przysła już moja kolej, co zwiastował biały błysk olbrzymich zębów i rozwarta, szkarłatna ciemność tajemniczej gardzieli, znalazłem się w kłopotcie, bo nie wiedziałem, czy mogę przyłączyć się do już uformowanej szóstki. W ostatniej chwili wybawiła mnie z niego kobieta stojąca z młodym, czarnowłosym człowiekiem, odzianym bardziej bodaj ekstrawagancko od wszystkich innych: chwyciła mnie za rękę i bez ceremonii pociągnęła za sobą.

Zrobiło się prawie całkiem ciemno; czułem ciepłą, mocną rękę nieznanej kobiety, podłoga sunęła, pojaśniało i znaleźliśmy się w przestronnej grocie. Kilkanaście ostatnich kroków trzeba było przejść nieco pod górę, po osypisku głazów, między filarami potrzaskanego kamienia. Nieznajoma puściła moją rękę — i po kolei schyliliśmy się w wąskim wylocie jaskini.

Chociaż przygotowany na zaskoczenie, zdumiałem się nie na żarty. Staliśmy na rozległym, piaszczystym wybrzeżu olbrzymiej rzeki, pod palącymi promieniami zwrotnikowego słońca. Przeciwległy, daleki brzeg zarastała dżungla, w łąkach nieruchomej wody spoczywały łodzie, czy raczej pirogi, wydrążone w drzewnych pniach; na tle burozielonkawego nurtu, który toczył się za nimi leniwie, stali zastygli w hieratycznych pozach Murzyni ogromnego wzrostu, nadzy, błyszczący oliwą, pokryci wapiennobiałym tatuażem, każdy opierał się łopatkowatym wiosłem o burtę łodzi.

Jedna odpływała właśnie, pełna; jej czarna załoga ciosami wiosła i przeraźliwymi wrzaskami rozpędzała leżące w mule, do pół grzbietu zanurzone, podobne do kłód, sękaty krokodyl, które odwracały się i kłapiąc bezsilnie zębatami szczękami zsuwały się na głębszą wodę. Było nas siedmioro schodzących po stromym brzegu; pierwsza czwórka zajęła miejsca w następnej łodzi, Murzyni z widocznym wysiłkiem wparli wiosła w obryw i odepchnęli chwiejny statek, aż go obróciło; zostałem nieco z tyłu, przede mną była już tylko owa para, której zawdzięczałem decyzję i nastąpić mającą podróż, bo właśnie ukazała się kolejna łódź, długa chyba na dziesięć metrów, czarni wiosłarze okrzyknęli nas i walcząc z prądem przybili zręcznie. Skoczyliśmy do próchniejącego wnętrza, aż wzbił się kurz o zapachu niedowęglonego drewna. Młodzieniec w fantastycznym stroju — wyobrażającym tygrysią skórę, więcej nawet, bo wierzchnia połówka czaszki drapieżnika, zwisająca na plecach, mogła mu służyć bodaj za nakrycie głowy — pomógł usiąść swojej towarzysze. Zająłem miejsce naprzeciw nich, a już płynęliśmy od dobrej chwili i choć przed kilkoma minutami znajdowałem się jeszcze w parku, w głębi nocy, teraz nie byłem już tego taki pewien. Stojący na ostrym dziobie łodzi ogromny. Murzyn wydawał co kilkanaście sekund dziki okrzyk, dwa szeregi grzbietów pochylały się, lśniąco, pagaje krótko i gwałtownie wchodziły w wodę, łódź szorowała po piasku, wlokła się, aż weszła nagle w główny nurt rzeki.

Czułem ciężką, nagrzaną woń wody, szlamu, gnijących zielsk, które przepływały koło nas za burtami, ledwo o dłoń wznoszącymi się nad poziom wody. Brzegi oddalały się, mijaliśmy charakterystycznie szarozielonkawy, jakby spopielony busz, z ziejących żarem nasłonecznienia, piaszczystych ławic zsuwały się czasem z pluskiem podobne do ożywających pni krokodyl, jeden trzymał się dość długo za naszą rufą, najpierw z podługowatą głową na powierzchni, powoli woda zaczęła mu zalewać wyłupiaste oczy i tylko jego nos, ciemny jak rzeczny kamień, sunął prując pośpiesznie burą wodę. Między kołyszącymi się miarowo grzbietami czarnych wiosłarzy widać było jej spiętrzone garby, tam gdzie rzeka opływała zatopione przeszkody — Murzyn z dziobu wydawał wówczas inny, chrapliwy krzyk, wiosła jednej strony zaczynały uderzać gwałtowniej i łódź skręcała, trudno mi powiedzieć, kiedy głuche, piersiowe stęknienia, jakie wydawali Murzyni napierając na wiosła, poczęły się zlewać w niewymownie ponurą, powtarzającą się w kółko pieśń, rodzaj gniewnego okrzyku przeradzającego się w skargę, której zamknięciem był wielokrotny chlupot rozciętej pagajami wody. Tak płynęliśmy, jakby przeniesieni naprawdę w serce

Afryki, olbrzymią rzeką pośród szarozielonkawych stepów. Ściana dżungli oddaliła się na dobre i znikła w rozedrganych masach upalnego powietrza, czarny sternik nadawał tempo, w oddali na stepie pasły się antylopy, raz przeszło tam, w obłokach kurzu, zwolnionym, ciężkim klusem ciągnące stado żyraf; w pewnej chwili poczułem na sobie wzrok siedzącej naprzeciw kobiety i popatrzyłem na nią.

Zaskoczyła mnie jej uroda. Zauważyłem już przedtem, że jest ładna, ale było to spostrzeżenie przelotne i nie zaprzatające uwagi. Teraz miałem ją zbyt blisko, abym mógł powtórzyć ów pierwszy sąd; nie była ładna, była piękna. Miała ciemne włosy z miedzianym połyskiem, białą, niewypowiedzianie spokojną twarz i nieruchome, ciemne usta. Urzekła mnie. Nie jak kobieta — już raczej jak ten oniemiały w słońcu, niezmierny obszar. Piękno jej miało tę doskonałość, której zawsze się trochę bałem. Być może wynikało to stąd, że zbyt mało przeżyłem na Ziemi, a zbyt wiele o tym rozmyślałem, w każdym razie miałem właśnie przed sobą jedną z owych kobiet, które wydają się jak gdyby ulepione z innej gliny niż zwykły śmiertelnik, chociaż to wspaniałe kłamstwo płynie tylko z określonej konfiguracji rysów i całe jest w powierzchni, ale któż myśli o tym, patrząc? Uśmiechnęła się, samymi oczami, podczas kiedy jej wargi zachowały wyraz wzdorliwej obojętności. Nie do mnie; raczej do swoich myśli. Jej towarzysz siedział na wkliniwanej w wydrążenie pnia ławeczce, lewą dłoń opuścił bezwładnie przez burtę, tak że końce palców zanurzały się w wodzie, ale nie patrzył ani tam, ani na przesuwaną się wokół panoramę dzikiej Afryki; po prostu siedział, jak w poczekalni dentysty, raz na zawsze znudzony i zobojętniały.

Przed nami pojawiły się, rozsypane po całej rzece, szarawe kamienie. Sternik zaczął krzyczeć, jakby zaklinając, dziwnie przenikliwym, potężnym głosem, Murzyni uderzali zaciekle wiosłami i podczas kiedy owe kamienie okazały się nurkującymi hipopotamami, łódź nabrała pędu; stado gruboskórców zostało w tyle i słychać było poprzez rytmiczny plusk wiosła, przez chrypliwą, ciężką pieśń wiosłarzy, nie wiadomo skąd płynący, głuchy szum. Daleko, tam gdzie rzeka znikła wśród coraz stromiej wznoszących się brzegów, ukazały się dwie nachylone ku sobie, olbrzymie, drgające tęcze.

— Age! Annai! Annai! Agee!! — ryczał sternik jak oszalały. Murzyni zdwoili uderzenia, łódź leciała, jakby dostała skrzydeł, kobieta wyciągnęła rękę i zaczęła, nie patrząc, szukać nią ręki swego towarzysza.

Sternik wrzeszczał. Piroga szła z zadziwiającą szybkością. Dziób wznosił się, zesłiśmy z grzbietu ogromnej, pozornie nieruchomej fali i między rzędami pracujących w szalonym tempie czarnych grzbietów zobaczyłem ogromne zakole rzeki: ściemniałe nagle wody waliły w skalne wrota. Nurt rozdwajał się, myśmy parli w prawo, gdzie woda wstawiała coraz bielszymi od piany garbami, podczas gdy lewe ramię wodne znikło jak ucięte i tylko potworny grzmot wraz ze słupami wodnej kurzawy świadczył, że skały kryją tam wodospad. Ominęliśmy go i dostali się w drugie ramię rzeki, lecz i tu nie panował spokój. Piroga skakała teraz jak koń między czarnymi głazami, z których każdy utrzymywał nad sobą wzniesioną ścianę ryczącej wody, brzegi zbliżały się, Murzyni z prawej burty przestali wiosłować, przystawili do piersi tępe rękojeści pagajów i ze wstrząsem, którego siłę można było odgadnąć z odzewu, którym zadudniły ich piersi, piroga, odbita od skały, dostała się w wewnętrzny pas nurtu. Dziób poleciał w górę, stojący na nim sternik cudem utrzymał równowagę, przejęło mnie zimno od walących spoza kamiennych krawędzi rozbryzgów, piroga, drgając jak sprężyna, poleciała w dół. Niesamowity był ten sływ, po obu stronach śmigły czarne skały z odwianymi grzywami wody, raz i jeszcze raz piroga, z głuchym wstrząsem odparta murzyńskimi pagajami od głazów, odbiła się od nich i weszła, jak wypuszczona po białych pianach strzała, w gardło największego pędu. Podniosłem oczy i zobaczyłem wysoko rozcapierzone korony sykomo w; wśród gałęzi uwijały się małe małpki. Musiałem chwycić się burty, tak potężny był wstrząs, podrzut i w grzmocie mas wodnych, zaczerpując obiema burtami, że w jednej chwili przemokliśmy do nitki, poszliśmy

jeszcze stromiej — to był już upadek, głązy brzegu odlatywały jak posągi poczwarnych ptaków z kipiela u ostrych skrzydeł, grzmot, grzmot. Na tle nieba wyprostowane sylwety wioślarzy, jak gdyby strażników kataklizmu — gnaliśmy prosto na skalny filar, dzielący cieśninę na dwoje, przed nim wirował czarny kołowrót wody, lecieliśmy na przeszkodę, usłyszałem kobiecy krzyk.

Murzyni walczyli z zaciekłością rozpaczy, sternik podniósł ramiona, widziałem jego rozwarte w krzyku usta, ale nie słyszałem głosu, tańczył na dziobie, piroga szła skosem, odbita fala zatrzymała nas, przez sekundę trwaliśmy w miejscu, potem, jakby nie istniała zacięta praca pagajów, łódź odwróciła się i poszła tyłem, coraz szybciej.

W jednym mgnieniu dwa szeregi Murzynów, cisnąwszy wiosła, znikły: skoczyli bez namysłu do wody, po obu stronach pirogi. Ostatni dał śmiertelnego susa sternik.

Kobieta krzyknęła drugi raz; jej towarzysz zaparł się nogami o przeciwległą burłę, przypadła do niego, patrzałem, prawdziwie zachwycony, na to widowisko walących mas wodnych, grzmiących tęcz, łódź palnęła o coś, krzyk, przeraźliwy krzyk...

W poprzek tego w dół pędzącego taranu wody, który nas niósł, leżało nad samą powierzchnią drzewo, leśny olbrzym, który zwałił się z, wysoka i utworzył rodzaj mostu. Tamci dwoje padli na dno. Przez ułamek sekundy, który mi pozostał, wahałem się, czy zrobić to samo. Wiedziałem, że wszystko — Murzyni, ten spływ, afrykański wodospad — to tylko zadziwiające złudzenie, ale siedzieć nieruchomo, gdy dziób łodzi wśliznął się już popod zlany wodą smolisty pień olbrzymiego drzewa, było ponad moje siły. Błyskawicznie przypadłem, ale jednocześnie uniosłem rękę i przeszła przez pień nie dotknąwszy go, nie poczułem nic, jak tego oczekiwałem, a mimo to złudzenie, że cudem uniknęliśmy katastrofy, pozostało nienaruszone.

Ale to nie był koniec; na następnej fali piroga stanęła dęba, olbrzymi bałwan zalał nas, obrócił, przez kilkanaście uderzeń serca łódź szła piekielnym kręgiem, mierząc w centrum wiru. Jeśli kobieta krzyczała, nie słyszałem tego, nie usłyszałbym niczego; trzask, łomot pękających burt poczułem całym ciałem, słuch był jak zaczipowany rykiem wodospadu; piroga, wyrzucona z nadludzką siłą w górę, zaklinowała się między głazami. Tamci dwoje wyskoczyli na zalewaną pianami skałę, wczołgali się w górę, ja za nimi.

Znajdowaliśmy się na skalnym ułamku między dwoma ramionami dygocącej bieli. Prawy brzeg był dość daleko; ku lewemu wiodła zakotwiczona w szparach skały kładka, rodzaj napowietrznego przejścia tuż nad falami, które waliły w głąb piekielnego kotła. Powietrze było lodowate od mgły, wodnych bryzgów, ów cienki pomost wisiał pozbawiony poręczy, śliski od wilgoci, nad ścianą twardego ryku, trzeba było, stawiając nogi na zbutwiałych deskach, luźno wetkniętych w splecione sznury, przejść kilka kroków do brzegu. Tamci klęczeli przede mną i jak gdyby spierali się, kto pójdzie pierwszy. Nie słyszałem naturalnie nic. Powietrze było jak stwardniałe od nieustającego grzmotu. Nareszcie młodzieniec wstał i powiedział coś do mnie, wskazując w dół. Zobaczyłem pirogę; jej oderwana rufa zatańczyła właśnie na fali i znikła, kręcąc się coraz szybciej, wciągnięta wirem. Młody człowiek w tygryscie był mniej obojętny czy śpiący niż na początku podróży, za to zły, jakby znalazł się tu wbrew własnej woli. Ujął kobietę za ramiona i pomyślałem, że zwariował, bo najwyraźniej spychał ją prosto w ryczącą gardziel. Kobieta powiedziała coś do niego, widziałem oburzenie błyszczące w jej oczach. Położyłem im na ramionach ręce, dając znak, żeby mnie przepuścili, i wszedłem na kładkę. Huśtała się i tańczyła; szedłem niezbyt szybko, chwytając równowagę barkami, raz i drugi pośrodku zakołysałem się, nagle zadygotała, tak że omal nie spadłem. To kobieta, nie czekając, aż przejdę, weszła na nią — w obawie, że spadnę, skoczyłem silnie do przodu; wylądowałem na samym skraju skały i natychmiast odwróciłem się.

Kobieta nie przeszła: cofnęła się. Młody człowiek wszedł jako pierwszy, trzymał ją za rękę, niesamowite kształty, jakie rodził wodospad, białymi i czarnymi fantomami tworzyły tło ich chwiejnego przejścia. Był tuż; podałem mu rękę, równocześnie kobieta potknęła się,

kładka zachybotiała, pociągnąłem go tak, że raczej wyrwałbym mu rękę, aniżeli dał mu spaść; od impetu przeleciał dwa metry i wylądował za mną, na kolanach — ale puścił ją.

Była jeszcze w powietrzu, kiedy skoczyłem, nogami naprzód, celując tak, aby wejść w fale skosem, między brzegiem i ścianą najbliższego głązu. Zastanawiałem się nad tym wszystkim później, kiedy miałem czas. W gruncie rzeczy wiedziałem, że wodospad i napowietrzna przeprawa są złudzeniem, poza wszystkimi innymi dowodem był ów pień, przez który na wylot przeszła moja ręka. Mimo to skoczyłem, jakby naprawdę mogła zginąć, a nawet, pamiętam, że zupełnie odruchowo przygotowałem się na lodowate uderzenie wody, której bryzgi leciały wciąż na nasze twarze i ubrania.

Nie poczułem jednak nic oprócz silnego podmuchu powietrza i wylądowałem w przestronnej sali, na ugiętych lekko nogach, jakbym skoczył z wysokości metra najwyżej. Usłyszałem chórny śmiech.

Stałem na miękkim jak z plastyku podłożu, wokół było pełno ludzi, niektórzy mieli jeszcze przemoczone ubrania; z głowami zwróconymi w górę pokładali się ze śmiechu.

Poszedłem za ich wzrokiem — było to niesamowite.

Ani śladu wodospadów, skał, afrykańskiego nieba — widziałem błyszczący strop, a pod nim — nadpływającą właśnie pirogę; właściwie rodzaj dekoracji, gdyż łódź przypominała tylko z góry i z boków; w dnie znajdowała się jakaś metalowa konstrukcja. Leżało w niej na płask czworo ludzi, wokół nich nie było nic — ani murzyńskich wioślarzy, ani skał, ani rzeki, tylko kiedy niekiedy śmigają, wystrzeliwane z ukrytych dysz, cienkie strugi wody. Nieco dalej wznosił się, jak balon na uwięzi, bo niczym nie podparty, ów skalny obelisk, na którym zakończyła się nasza podróż. Prowadziła od niego kładka do kamiennego występu, który wystawał z metalowej ściany. Nieco wyżej widniały schodki z poręczą i drzewi. To było wszystko. Piroga z ludźmi miotała się, unosiła, opadała gwałtownie, bez najłżejszego szmeru, słyszałem, tylko wybuchy wesołości, towarzyszące kolejnym etapom spływu wodospadu, którego nie było. Po chwili piroga uderzyła o skałę, ludzie wyskoczyli z niej, musieli przejść po kładce...

Od mego skoku upłynęło może dwadzieścia sekund. Poszukałem oczami kobiety. Popatrzyła na mnie. Zrobiło mi się trochę głupio. Nie wiedziałem, czy mam do niej podejść. Ale zgromadzeni zaczęli właśnie wychodzić i w następnej chwili znaleźliśmy się tuż obok siebie.

— Zawsze to samo — powiedziała wtedy — zawsze spadam!

Noc w parku, ognie sztuczne i dźwięki muzyki były jakby nie całkiem rzeczywiste. Wychodziliśmy w tłumie zemocjonowanym po przeżytych strachach; zobaczyłem towarzysza kobiety, przepychał się ku niej. Był znowu senny, jak przedtem. Zdawało się, że w ogóle mnie nie dostrzega.

— Chodźmy do Merlina — powiedziała kobieta tak głośno, że to usłyszałem. Nie miałem zamiaru podsłuchiwać. Ale nowa fala wychodzących stłoczyła nas jeszcze bardziej. Dlatego stałem wciąż przy nich.

— To wygląda na ucieczkę... — powiedziała, uśmiechając się — nie boisz się chyba czarów?...

Mówiła do niego, ale patrzyła na mnie. Oczywiście mogłem utworzyć sobie drogę, ale jak zawsze w podobnych sytuacjach, najbardziej obawiałem się śmieszności. Ruszyli, powstało wolne miejsce, także inni obok mnie zdecydowali się nagle na zwiedzenie pałacu Merlina i gdy skierowałem się w jego stronę, a kilka osób rozdzieliło nas, opadły mnie wątpliwości, czy nie uległem przed chwilą złudzeniu.

Posuwaliśmy się krok za krokiem. Na trawnikach stały, łopocące płomieniami, smolne kufy; blask ich ukazywał strone, ceglane bastiony. Przeszliśmy po moście nad fosą, pod wyszczerzonymi zębami kraty, ogarnął nas półmrok i chłód kamiennej sieni, w górę wiodły z niej kręte schody — pełne dudniącego odgłosu stąpań. Ale ostrołukowy korytarz piętra był

już mniej ludny. Prowadził na krużganek, z którego widać było podwórze, wrzeszczała tam i uganiała się za jakąś czarną maskarą hałastra na okrytych czaprakami koniach; szedłem, niezdecydowany, nie wiedząc dokąd, wśród kilkunastu osób, które zaczynałem już rozróżniać, kobieta i jej towarzysz mignęli mi pośród kolumn, we wnękach ścian stały puste zbroje. W głębi otwały się okute miedzianą blachą drzwi, jakby dla olbrzymów, weszliśmy do wybitej czerwonym adamaszkiem komnaty, oświetlonej pochodniami, których żywiczny dym drażnił nozdrza. Przy stołach ucztowała krzykliwa gromada ni to piratów, ni to rycerzy błędnych, na rożnach, lizane płomieniami, obracały się ogromne półcie, czerwony blask skakał po lśniących od potu twarzach, kości chrupały w żuchwach pancernych biesiadników, chwilami, wstając od stołów, przechodzili między nami. W następnej sali kilkunastu wielkoludów grało w kręgle, używając jako kuł czaszek; wszystko razem wydało mi się podszyte naiwnością, tandetne, zatrzymałem się obok grających, równych mi wzrostem, kiedy ktoś wpadł na mnie z tyłu i mimo woli krzyknął, zaskoczony. Odwróciłem się i zajrzałem w oczy jakiemuś młodzikowi. Wybełkotał przeproszenie i odszedł szybko z głupawym wyrazem twarzy; ale dopiero spojrzenie ciemnowłosej kobiety, która sprawiła, że znalazłem się w pałacu tych tanich dziwów, wyjaśniło mi, co się stało: ten facet chciał przejść przeze mnie, bo wziął mnie za jednego z nierzeczywistych biesiadników Merlina. Sam Merlin przyjął nas w odległym skrzydle pałacu, otoczony swą zamaskowaną, która asystowała bez ruchu jego czarom. Ale miałem już tego trochę dość i obojętnie przyjmowałem objawienia czarnoksięskiego kunsztu. Widowisko skończyło się szybko; obecni zaczęli wychodzić, kiedy Merlin, siwy, wspaniały, zastąpił nam drogę i wskazał, milcząc, przeciwległe, kirem obite drzwi.

Tylko nas troje zaprosił do środka. Sam nie wszedł. Znaleźliśmy się w pokoju niezbyt wielkim, bardzo wysokim, o jednej ścianie lustrzanej od stropu po kamienną podłogę z czarnych i białych tafl. Wrażenie było takie, jakby pokój, dwa razy większy niż w rzeczywistości, zawierał w sobie sześcioro ludzi stojących na kamiennej szachownicy.

Sprzętów me było w nim żadnych — nic oprócz wysokiej, alabastrowej urny z bukietem kwiatów podobnych do orchidei, ale o niezwykle wielkich kielichach. Każdy z nich był innej barwy. Staliśmy naprzeciw lustra.

Naraz moje odbicie spojrzało na mnie. Ten ruch nie był odzwierciedleniem mojego. Zastygłem, a tamten, wielki, barczysty, powoli popatrzał najpierw na ciemnowłosą kobietę, potem na jej towarzysza — żadne z nas nie poruszało się i tylko odbicia, usamodzielnione w jakiś niepojęty sposób, ożyły i rozegrały między sobą milczącą scenę.

Młodzieniec w lustrze podszedł do kobiety, spojrzał jej w oczy, zaprzeczyła głową. Z białego wazonu wyjęła kwiaty i przebierając je w palcach, wybrała trzy — biały, żółty i czarny. Biały podała jemu, a z tamtymi dwoma podeszła do mnie. Do mnie — w lustrze. Wyciągnęła oba kwiaty. Ująłem czarny. Wtedy wróciła na swoje poprzednie miejsce i wszyscy troje — tam, w zwierciadlanym pokoju — przybraliśmy dokładnie takie same pozycje, jakieśmy zajmowali naprawdę. Kiedy się to stało, kwiaty znikły z rąk naszych sobowtórów i były to już zwykłe, wiernie powtarzające każdy ruch odbicia.

Drzwi w przeciwległej ścianie otwały się; zeszlśmy krętymi schodami na dół. Kolumny, wykusze, sklepienia przeszły niepostrzeżenie w srebro i biel plastikowych korytarzy. Szliśmy dalej, wciąż milcząc — ni to osobno, ni to razem; ta sytuacja dawała mi się coraz bardziej we znaki, cóż jednak miałem począć? Przystąpić do sakramentalnej, zgodnej z przysłowicznym *savoir-vivre*’em prezentacji?

Dźwięki stłumionej orkiestry. Byliśmy jakby w kulisach, za niewidzialną sceną, w głębi stało kilka pustych stolików z odsuniętymi krzesłami, kobieta przystanąła i spytała swego towarzysza:

— Nie pójdziesz potańczyć?

— Nie mam ochoty — powiedział. Pierwszy raz usłyszałem jego głos.

Był przystojny, ale przepojony bezwładem, niepojętą biernością, jakby nie zależało mu na niczym na świecie. Miał śliczne, dziewczęce prawie usta. Popatrzył na mnie. Potem na nią. Stał i milczał.

— No to idź, jak chcesz... — powiedziała. Rozchylił kotarę, tworzącą jedną ze ścian, i wyszedł. Ruszyłem za nim.

— Proszę pana? — usłyszałem za sobą. Zatrzymałem się. Za kotarą rozległy się oklaski.

— Usiądzie pan?

Nic nie mówiąc usiadłem. Miała wspaniały profil. Konchy uszu zakrywały perłowe tarczki.

— Jestem Aen Aenis.

— Hal Bregg.

Zdawała się zdziwiona. Nie moim nazwiskiem. Nic jej nie mówiło. Raczej tym, że przyjąłem jej imię tak obojętnie. Mogłem się jej teraz przyjrzeć z bliska. Jej uroda była doskonała i bezlitosna. Spokojna, opanowana niedbałość jej poruszeń też. Miała na sobie różowoszarą, bardziej szarą niż różową suknię, która stanowiła jak gdyby tło uwydatniając biel twarzy i rąk.

— Nie lubi mnie pan? — zapytała spokojnie. Teraz ja z kolei się zdziwiłem.

— Nie znam pani.

— Jestem Ammai — z Prawdziwych.

— Co to są Prawdziwi?

Jej oczy spoczęły na mnie z zainteresowaniem.

— Pan nie widział Prawdziwych?

— Nie wiem nawet, co to jest.

— Skąd się pan tu wziął?

— Przyszedłem z hotelu.

— Ach tak? Z hotelu... — w jej głosie była jawna kpina. — A można wiedzieć, gdzie pan był przedtem, zanim udał się pan do hotelu?

— Można. W Fomalhaut.

— Co to jest?

— Konstelacja.

— Jak to?

— Układ gwiazdowy, dwadzieścia trzy lata świetlne stąd.

Jej powieki drgnęły. Usta rozchyliły się. Była bardzo piękna.

— Astronauta?

— Tak.

— Rozumiem. Jestem realistką — dosyć znaną. Nic nie powiedziałem. Milczeliśmy. Muzyka grała.

— Tańczy pan?

— Omal się nie roześmiałem.

— Tego, co tańczą teraz — nie.

— Szkoda. Ale to jest do odrobienia. Dlaczego pan to zrobił?

— Co?

— Tam — na kładce.

Nie odpowiedziałem od razu.

— To był... odruch.

— Pan to znał?

— Tę sztuczną podróż? Nie.

— Nie?

— Nie.

Chwila milczenia. Jej oczy, przez chwilę zielone, stały się teraz prawie czarne.

— Tylko na bardzo starych kopiach można zobaczyć coś takiego... — powiedziała jakby od niechcienia. — Tego nikt nie zagra. Nie da się. Kiedy zobaczyłam to, pomyślałam... że pan...

Czekałem.

— Mógłby. Bo pan wziął to serio. Prawda?

— Nie wiem. Może.

— To nic. Ja wiem. Chciałby pan? Jestem dobrze z Frenetem. Pan może nie wie, kto to jest? Muszę mu powiedzieć... Główny producent realu. Gdyby pan chciał... Wybuchnąłem śmiechem. Drgnęła.

— Przepraszam. Ale — wielkie nieba, czarne i niebieskie! Pani pomyślała o... zaangażowaniu mnie do...

— Tak.

Nie wygłądała na urażoną. Raczej przeciwnie.

— Dziękuję, nie. Raczej nie, wie pani.

— Ale może mi pan powiedzieć, jak pan to zrobił? Czy to sekret?

— Jak to, jak? Pani widziała przecież...

Urwałem.

— Chodzi pani o to, jak mogłem?

— Pan jest bardzo domyślny.

Umiała się uśmiechać czarnymi oczami, jak chyba żadna. Czekał, zaraz przejdzie ci ochota kuszenia mnie... — pomyślałem.

— To proste. I żaden sekret. Nie jestem betryzowany.

— Och...

Przez chwilę myślałem, że wstanie, ale opanowała się. Jej oczy wróciły, wielkie, zachłanne. Patrzała jak na bestię, która leży o krok, jakby odnajdywała przewrotną rozkosz w grozie, którą w niej budziłem. Wydało mi się to obelgą, gorszą, niż gdyby się tylko przełękała.

— Pan może?

— Zabić? — odparłem, uśmiechając się uprzejmie. — Tak. Mogę.

Milczeliśmy. Muzyka grała. Kilka razy podnosiła na mnie oczy. Nie odzywała się. Ja też. Oklaski. Muzyka. Oklaski. Siedzieliśmy tak chyba kwadrans. Nagłe wstała.

— Pójdzie pan ze mną?

— Dokąd?

— Do mnie.

— Na bryt?

— Nie.

Odwróciła się i odeszła. Siedziałem bez ruchu. Nienawidziłem jej. Nie oglądając się szła, inaczej niż wszystkie kobiety, jakie widziałem. Nie szła: płynęła. Jak królowa.

Dogoniłem ją wśród żywopłotów, gdzie było prawie ciemno. Resztki światła dochodzącego z pawilonów mieszały się z błękitną łuną miasta. Musiała usłyszeć moje kroki, ale szła dalej, jakby była sama, nawet kiedy wziąłem ją pod rękę. Szła dalej; to było jak policzek. Chwyciłem ją za ramiona, odwróciłem do siebie, jej twarz, biała w ciemności, uniosła się; patrzyła mi w oczy. Nie próbowała się wyrwać. Nie mogłaby zresztą. Całowałem ją gwałtownie, pełen nienawiści, czułem, jak drży.

— Ty... — powiedziała niskim głosem, kiedyśmy się rozdzielili.

— Milcz.

Usiłowała się wyswobodzić.

— Jeszcze nie — powiedziałem i zacząłem ją znowu całować. Nagle ta wściekłość obróciła się w obrzydzenie do samego siebie, puściłem ją. Myślałem, że ucieknie. Została. Próbowała zajrzeć mi w twarz. Odwróciłem głowę.

— Co ci jest? — powiedziała cicho.

— Nic.

Ujęła mnie za ramię.

— Chodźmy.

Jakaś para minęła nas i znikła w mroku. Poszedłem za nią. Tam, w ciemności, wszystko było jak gdyby możliwe, ale kiedy stało się jaśniej, mój wybuch sprzed chwili — który miał być odpłatą za obelgę — stał się tylko śmieszny. Czułem, że wchodzę w coś fałszywego, jak fałszywe było tamto niebezpieczeństwo i czary, wszystko — i szedłem dalej. Ani gniewu, ani nienawiści, nic — było mi wszystko jedno. Znalazłem się wśród zawieszonych wysoko świateł i czułem tę swoją wielką, ciężką obecność, która każdy mój krok obok niej czyniła groteską. Ale ona jakby o tym nie wiedziała. Szła wzdłuż obwałowania, za którym rzędami stały glidery. Chciałem zostać, ale opuściła rękę wzdłuż mego przedramienia i chwyciła mnie za dłoń. Musiałbym ją wyszarpnąć i stałbym się jeszcze śmieszniejszy — posąg astronautycznych cnót, kuszony przez Putyfarę. Wsiadłem za nią, maszyna drgnęła i poleciała. Pierwszy raz jechałem gliderem i zrozumiałem, dlaczego nie miały okien. Z wewnątrz całe były przezroczyste, jakby ze szkła.

Jechaliśmy długo, w milczeniu. Zabudowa centrum ustąpiła dziwnym formom podmiejskiej architektury — pod małymi, sztucznymi słońcami spoczywały zanurzone w zieleni budynki o płynnych liniach, powydymane w przedziwne poduszki, rozskrzydlone, że zatracala się granica między wnętrzem domów a ich otoczeniem, płody fantasmagorii, nieustających usiłowań stworzenia czegoś, co nie byłoby powtórzeniem starych form. Glider opuścił szeroką bieżnię, przeszył ciemny park i zatrzymał się u schodów, pofałdowanych jak szklana kaskada; wchodząc po nich widziałem rozpościerającą się pod stopami oranżerię.

Ciężka brama otwarła się bezgłośnie. Olbrzymi hali, obwiedziony wysoko galerią, bladoróżowe tarcze lamp bez podpory czy zawieszenia; w pochylonych ścianach, jak wybite w inną przestrzeń, okna, wnęki, a w nich nie fotografie, nie lalki, ale sama Aen, ogromna, na wprost — w objęciu czarniawego mężczyzny, który ją całował, ponad spływem schodów — Aen w białym, nieustającym migotaniu sukni, obok — schylona nad kwiatami, liliowymi, wielkimi jak jej twarz. Idąc za nią zobaczyłem ją jeszcze raz w innym oknie, dziewczęcą uśmiechniętą, samotną, światło drżało w jej miedzianych włosach.

Schody zielone. Biała amfilada. Schody srebrne. Korytarze na przestrzał, a w nich — bezustanny, powolny ruch, jakby ta przestrzeń oddychała, ściany przesuwały się bezgłośnie, stwarzając przejścia tam, gdzie idąca przede mną kierowała właśnie kroki; można było sądzić, że niewyczuwalny wiatr zaokrągła zbiegi galerii, rzeźbi je, a wszystko, co widziałem dotychczas, było tylko przedprożem, wstępem, sienią. Przez pokój tak biały, zewsząd prześwietlony najciemniejszym żyłkowaniem zastygłego lodu, że nawet cienie zdawały się w nim mleczne, weszliśmy do mniejsze go — po niepokalanej jasności tamtego jego brąz był jak okrzyk. Nie było tu nic prócz nie wiadomo skąd płynącego światła o źródle jak gdyby odwróconym, że oświetlało nas i nasze twarze od dołu; poruszyła ręką, ściemniało; podeszła do ściany i kilkoma gestami wyczarowała z niej wypukłość, która natychmiast zaczęła się rozwijać i utworzyła rodzaj podwójnego, szerokiego leża — znałem się na topologii dostatecznie, aby przeczuć, rezultatem jakich dociekań musiała być sama tylko linia oparcia.

— Mamy gościa — powiedziała, przystając. Z otwartej boazerii wychynął niski, zastawiony stolik i przybiegł do niej jak pies. Duże światła zgasły, kiedy nad niszą z fotelami — jakież to były fotele, nie mam na to słów! — nakazała gestem, by pojawiła się mała lampa, i ściana dała jej posłuch. Miała widać dość tych pączkujących, na oczach rozkwitających sprzętów, pochyliła się nad stolikiem i spytała, nie patrząc w moją stronę.

— Blar?

— Może być — powiedziałem. Nie pytałem o nic; nie mogłem nie być dzikusiem, ale mogłem przynajmniej być dzikusiem milczącym.

Podawała mi wysoki stożek z rurką, mienił się jak rubin, ale był miękki, jakbym dotykał

mszystej skórki owocu. Sama wzięła drugi. Usiedliśmy. Nieznośnie miękko, jakby siedziało się na chmurze. Płyn miał smak nieznanych, świeżych owoców, z malutkimi grudkami, które niespodzianie i zabawnie rozpryskiwały się na języku.

— Dobry? — spytała.

— Tak.

Może to był jakiś rytualny napitek. Na przykład dla wybrańców, albo na odwrót, dla poskromienia szczególnie niebezpiecznych. Ale powiedziałem już sobie, że o nic nie będę pytał.

— Lepiej, jak siedzisz.

— Dlaczego?

— Jesteś okropnie wielki.

— Wiem o tym.

— Umyślnie starasz się być niegrzeczny?

— Nie. To mi przychodzi bez trudu. Zaczęła się cicho śmiać.

— Dowcipny jestem też — powiedziałem. — Kupa zalet, co?

— Jesteś inny — powiedziała. — Nikt tak nie mówi. Powiedz mi, jak to jest? Co ty czujesz?

— Nie rozumiem.

— Udajesz chyba. A może skłamałeś — nie. To niemożliwe. Nie potrafiłbyś tak...

— Skoczyć?

— Nie myślałam o tym.

— A o czym?

Jej oczy zwęziły się.

— Nie wiesz?

— No wiesz! — powiedziałem — to już się tego nie robi?

— Robi się, ale nie tak.

— Proszę. Tak dobrze to umiem?

— Nie. Na pewno nie... tylko tak, jakbyś chciał... — Nie dokończyła.

— Co?

— Sam wiesz. Czułam to.

— Byłem zły... — przyznałem.

— Zły! — powiedziała wzgardliwie. — Myślałam, że... sama nie wiem, co myślałam.

Nikt by się na to nie odważył, wiesz?

Zacząłem się nieznacznie uśmiechać.

— I to ci się tak spodobało?

— Jak ty nic nie rozumiesz. Świat jest bez strachu, a ciebie można się bać.

— Chcesz jeszcze? — spytałem. Wargi jej rozchyliły się, znowu patrzyła na mnie jak na wyobrażoną bestię.

— Chcę.

Przysunęła się do mnie. Wziąłem jej rękę, położyłem na swojej, płasko — palcami ledwo sięgała poza dłoń.

— Dlaczego masz taką twardą rękę? — spytała.

— To od gwiazd. Są kanciaste. A teraz zapytaj: dlaczego masz takie straszne zęby?

Uśmiechnęła się.

— Zęby masz całkiem zwyczajne.

Mówiąc to podniosła moją dłoń, a była przy tym tak uważna, że przypomniałem sobie spotkanie z lwem i zamiast poczuć się dotknięty, uśmiechnąłem się, bo to było w końcu okropnie głupie.

Uniosła się, nad moim ramieniem naląła sobie z małej, ciemnej buteleczki i wypila.

— Wiesz, co to jest? — spytała, przymykając oczy z takim wyrazem, jakby ten płyn palił.

Miała ogromne rzęsy, pewno fałszywe. Aktorki zawsze mają fałszywe rzęsy.

— Nie.

— Nie powiesz nikomu?

— Nie.

— Perto...

— No, no — powiedziałem na wszelki wypadek. Otworzyła oczy.

— Widziałam cię jeszcze przedtem. Szedłeś z takim okropnym starcem, a potem wracałeś sam.

— To syn mego młodszego kolegi — odparłem. Najdziwniejsze, że to niemal prawda — przemknęło mi.

— Zwracasz uwagę — wiesz?

— Co robić.

— Nie tylko przez to, że jesteś taki wielki. Chodzisz inaczej — i patrzysz, jakbyś...

— Co?

— Jakbyś się miał na baczości.

— Przed czym?

Nie odpowiedziała. Zmieniła się na twarzy. Oddychając głośniej spojrzała na własną rękę., Końce palców drżały.

— Już... — powiedziała cicho i uśmiechnęła się, nie do mnie. Jej uśmiech stał się natchniony, źrenice rozszerzyły się, pochłaniając tęczę, odchyłała się wolno, aż spoczęła na szarym wezglowiu, miedziane włosy rozluźniły się, patrzała na mnie w jakimś triumfującym osłupieniu.

— Pocałuj mnie.

Objąłem ją, i to było okropne, bo chciałem i nie chciałem — wydawało mi się, że przestaje być sobą — jakby się w każdej chwili mogła zmienić w coś innego. Wpiła palce w moje włosy, jej oddech, kiedy odrywała się ode mnie, był jak jęk. Jedno z nas jest nieprawdziwe, podle — myślałem — ale kto, ona czy ja? Całowałem ją, jej twarz była boleśnie piękna, straszliwie obca, potem była już tylko rozkosz, nie do zniesienia, ale nawet wtedy pozostał we mnie zimny, milczący obserwator; nie zatrałem się. Oparcie, posłuszne, jakby domyślne, stało się posłaniem dla naszych głów, było to jak obecność kogoś trzeciego, poniżająco czujna, a my, jakby wiedząc o tym, przez cały czas nie wymieniliśmy ani jednego słowa. Zasypiałem już, obejmując jej szyję, a jeszcze mi się zdawało, że ktoś stoi i patrzy, patrzy...

Kiedy się zbudziłem, spała. To by_ł inny pokój. Nie, ten sam. Ale zmienił się jakoś — część ściany odsunęła się, ukazując świt. Nad nami, jakby przez zapomnienie, płonęła wąska lampka. Na wprost, ponad szczytami drzew, jeszcze prawie czarnych, dniało. Ostrożnie przesunąłem się na brzeg posiania; wymruczała coś, jakby „Alan”, i spała dalej.

Poszedłem przez puste, wielkie sale. Były \v nich okna zwrócone na wschód. Wchodził przez nie czerwony blask i napełniał przezroczyste sprzęty, drząc płomieniem czerwonego wina. Przez amfiladę pokoi zobaczyłem sylwetkę przechodzącego — to był robot, perłowszary, pozbawiony twarzy, jego tors promieniował słabo, żarzył się w nim rubinowy płomyk, jak lampka przed obrazem.

— Chcę wyjść — powiedziałem.

— Tak, proszę pana.

Srebrne, zielone, błękitne schody. Pożegnałem wszystkie naraz twarze Aen w wysokim jak kościół hallu. Był już pełny dzień. Robot otworzył przede mną bramę. Kazałem mu wezwać glider.

— Tak, proszę pana. Nie życzy pan sobie domowego?

— Może być domowy. Chcę jechać do hotelu „Alcaron”.

— Tak jest. Do usług.

Ktoś się już tak do mnie odezwał. Kto? Nie mogłem sobie przypomnieć.

Po stromych schodach — aby do końca pamiętało się, że to jest pałac, nie dom — zeszedliśmy obaj; w blasku wschodzącego słońca wsiałem do maszyny. Kiedy ruszyła, obejrzałem się. Stał jeszcze w kornej pozie, podobny trochę do modliszki ze swymi złożonymi, cienkimi ramionami.

Ulice były prawie puste. W ogrodach, jak porzucone, dziwne statki, spoczywały wille, tak właśnie, spoczywały, jakby na chwilę tylko przysiadły wśród żywopłotów i drzew złożonywszy swe ostrokatne, kolorowe skrzydła. W centrum było ludniej. Igłowce o rozpalonych słońcem szczytach, domy–palmiarnie, domy–olbrzymy na rozstawionych szeroko stopach przęsł — ulica rozcinała je, wylatywała na ubłękitnioną przestrzeń; na nic już nie patrzyłem. W hotelu wzięłem kąpiel i zatelefonowałem do biura podróży. Zamówiłem ulder na dwunastą. Bawiło mnie trochę, że tak swobodnie operuję tymi nazwami, nie mając nawet pojęcia, co to jest ulder.

Miałem jeszcze cztery godziny czasu. Połączyłem się z hotelowym inforem i spytałem o Breggów. Nie miałem rodzeństwa, ale brat ojca pozostawił dwoje dzieci, chłopca i dziewczynkę. Jeśli nawet nie żyli, to ich dzieci...

Infor wymienił mi jedenastu Breggów. Spytałem z kolei o genealogię. Okazało się, że jeden tylko z nich, Atal Bregg, pochodzi z mojej rodziny. Był wnukiem mego stryja, niemłodym zresztą, miał już prawie sześćdziesiąt lat. Wiedziałem zatem, co chciałem. Podniosłem nawet słuchawkę, żeby do niego zatelefonować, ale odłożyłem ją. Co, w końcu, miałem mu do powiedzenia? Albo on — mnie? Jak umarł mój ojciec? Moja matka? Ja odumarałem ich wcześniej i nie miałem, pogrobowiec, prawa pytać. Byłoby to — tak czułem w tej chwili — jakąś przewrotnością, jak gdybym oszukał ich, uchodząc w tchórzliwej ucieczce losowi, ukrywając się w czasie, który był dla mnie mniej śmiertelny aniżeli dla nich. To oni mnie pochowali, w gwiazdach, nie ja ich, na Ziemi.

Podniosłem jednak słuchawkę. Sygnał był długi. Nareszcie zgłosił się domowy robot i powiedział mi, że Atal Bregg jest poza Ziemią.

— Gdzie? — spytałem szybko.

— Na Lunie. Wyjechał na cztery dni. Co mam mu powiedzieć?

— Co on robi? Jaki jest jego zawód? — spytałem — bo... nie wiem, czy to ten, którego szukam, może zachodzi omyłka...

Robota jakoś łatwiej przychodziło okłamać.

— Jest psychopeda.

— Dziękuję. Zadzwoń sam za kilka dni.

Odłożyłem słuchawkę. W każdym razie nie był astronautą; dobre i to.

Połączyłem się znowu z hotelowym inforem i spytałem, co może mi zalecić, jako rozrywkę, na dwie do trzech godzin.

— Zapraszamy do naszego realonu — powiedział.

— Co tam jest?

— Oblubienica. To najnowszy real Aen Aenis. Zjechałem na dół; to było w podziemiach. Spektakl już się zaczął, ale robot u wejścia powiedział mi, że nic prawie nie straciłem — zaledwie kilka minut. Zaprowadził mnie w ciemność, wydobył z niej w jakiś dziwny sposób jajowaty fotel i posadziwszy mnie na nim, znikł.

Pierwsze wrażenie było, jakbym siedział u sceny teatralnej, albo nie — na samej scenie, tak blisko byli aktorzy. Jakby ich można było dotknąć, wyciągając rękę. Nie mogłem trafić lepiej, bo to była historia z moich czasów, a zatem dramat historyczny; lata akcji nie były dokładnie określone, ale działo się to, sądząc według pewnych szczegółów, w jakiejś kilkanaście lat po moim odlocie.

Zrazu rozkoszowałem się kostiumami; scenografia była naturalistyczna, ale właśnie dlatego bawiłem się, bo wychwytywałem mnóstwo pomyłek i anachronizmów. Bohater, bardzo przystojny, smagły brunet, wyszedł z domu we fraku (był wczesny ranek) i pojechał

autem na spotkanie z ukochaną; miał nawet cylinder, ale szary, jakby był Anglikiem i jechał na derby. Potem ukazała się romantyczna gospoda, z oberżystą, jakiego w życiu nie widziałem — wyglądał jak pirat; bohater przysiadł poły fraka i pił przez słomkę piwo; i tak wciąż.

Nagle przestałem się uśmiechać; weszła Aen. Była ubrana bez sensu, ale raptem stało się to nieważne. Widz wiedział, że kochała innego, a tego młodzieńca oszukiwała; typowa, melodramatyczna rola przewrotnej kobiety, ckliwość, sztampa i banał. Aen jednak nie poszła na to. Była dziewczyną pozbawioną refleksji, czułą, niepamiętliwą i przez bezgraniczną naiwność swego okrucieństwa — bezwinną istotą, która unieszczęśliwiała wszystkich, bo nie chciała unieszczęśliwić nikogo. Wchodząc w ramiona jednego, zapominała o drugim i robiła to tak, że wierzyło się w jej — momentalną — szczerłość.

Zresztą ta bzdura rozsypywała się wprost i pozostawała tylko Aen, wielka aktorka.

Real był czymś więcej niż zdalnym teatrem, bo kiedy wpatrywałem się w jakiś fragment sceny, powiększał się i rozrastał, tak zatem widz sam, własnym wyborem decydował o tym, czy chce widzieć zbliżenie, czy też całość obrazu. Przy tym proporcje tego, co pozostawało na obwodzie pola widzenia, nie ulegały zniekształceniu. Była to jakaś diabelnie dowcipna kombinacja optyczna — dająca złudzenie nadnaturalnie wyrazistej, jak gdyby spotęgowanej jawy.

Pojechałem potem do siebie, na górę, pakować rzeczy, bo za kilkanaście minut miałem wyruszyć. Okazało się, że mam tych rzeczy więcej, aniżeli sobie wyobrażałem. Nie ze wszystkim byłem jeszcze gotów, kiedy zaśpiewał telefon: podstawiono mój ulder.

— Zaraz zejdę — powiedziałem. Bagażowy robot zabrał walizki i właśnie wychodziłem z pokoju, kiedy telefon znów się odezwał. Zawahałem się. Lekki sygnał powtarzał się niestrudzenie. Żeby nie wyglądało, że uciekam — pomyślałem i podniosłem słuchawkę, nie całkiem jednak pewny, dlaczego naprawdę to robię.

— To ty?

— Tak. Zbudziłaś się?

— Już dawno. Co robisz?

— Widziałem cię. W realu.

— Tak? — powiedziała tylko, ale wyczułem w jej głosie satysfakcję. Znaczyło to: jest mój.

— Nie — powiedziałem.

— Co, nie?

— Dziewczyno, jesteś wielką aktorką. Ale ja jestem kimś całkiem innym, aniżeli ci się zdaje.

— Czy tej nocy też mi się zdawało? — przerwała. W jej głosie drgało rozbawienie — i nagle powróciła śmieszność. Nie mogłem się z niej wydobyć: kwakier z gwiazd, który już raz upadł, surowy, zrozpaczony i skromny.

— Nie — powiedziałem hamując się — nie zdawało ci się. Ale ja wyjeżdżam.

— Na wieki? Bawiła się tą rozmową.

— Dziewczyno — zacząłem i nie wiedziałem, co powiedzieć. Przez chwilę słyszałem tylko jej oddech.

— I co dalej? — spytała.

— Nie wiem. — Poprawiłem się szybko: — Nic. Wyjeżdżam. To nie ma sensu.

— Na pewno nie ma — zgodziła się — i dlatego może być świetne. Co widziałeś? Prawdziwych?

— Nie, Oblubienicę. Słuchaj...

— To kompletne pudło. Nie mogę na to patrzeć, Moja najgorsza rzecz. Zobacz Prawdziwych albo nie, przyjdź wieczorem. Pokażę ci. Nie, nie, dzisiaj nie mogę. Jutro.

— Aen, nie przyjdę. Naprawdę wyjeżdżam za chwilę...

— Nie mów mi Aen, mów „dziewczyno”... — poprosiła.

— Dziewczyno, niech cię diabli wezmą!! — powiedziałem, położyłem słuchawkę, zawstydziłem się okropnie, podniosłem ją, jeszcze raz położyłem i wypadłem z pokoju, jakby mnie ktoś gonił. Zjechałem na dół, gdzie się okazało, że ulder jest na dachu. A wiec na górę.

Na dachu była ogrodowa restauracja i lotnisko. Właściwie restauracja–lotnisko, przemieszanie poziomów, latające perony, niewidzialne szyby — nie odnalazłbym swego uldera i za rok. Ale zaprowadzono mnie do niego prawie za rękę. Był mniejszy, raż myślałem. Spytałem, jak długo będzie trwał lot, bo chciałem poczytać.

— Około dwunastu minut.

Wobec tego nie warto było brać się do lektury. Wnętrze uldera przypominało trochę eksperymentalną raketę Termo–Fax, którą kiedyś prowadziłem, było tylko bardziej komfortowe, ale kiedy zamknęły się drzwi za robotem, który życzył mi uprzejmie szczęśliwej drogi, ściany stały się od jednego zamachu przezroczyste, a ponieważ siedziałem na pierwszym z czterech foteli (inne były nie zajęte) — wrażenie było takie, jakbym leciał na krześle ustawionym wewnątrz dużej szklanki.

Bardzo zabawne, ale to nie miało nic wspólnego z raketą czy samolotem; prędzej z latającym dywanem. Osobliwy wehikuł wzbił się najpierw pionowo bez najmniejszej wibracji, wydając przeciągły gwizd, i pomknął jak wystrzelony poziomo. Znow stało się to samo, co już kiedyś zauważyłem: przyspieszeniu ruchu nie towarzyszył wzrost bezwładności. Wtedy, na dworcu, mogłem sądzić, że jestem ofiarą złudzenia, teraz jednak byłem pewny swego. Trudno wyrazić, jakie ogarnęło mnie uczucie — bo jeśli rzeczywiście potrafili uniezależnić akcelerację od bezwładności, to wszystkie hibernacje, próby, selekcje, męki i utrapienia naszej podróży okazywały się najzupełniej zbędne; tak jak ja w owej chwili mógłby się czuć chyba zdobywca himalajskiego szczytu, który po nieopisanym trudzie wspinaczki przekonuje — się, że na górze stoi pełen wycieczkowiczów hotel, bo podczas jego samotnych mozołów wybudowano z przeciwnej strony kolejkę i wesołomiasteczkowe atrakcje. To, że pozostając na Ziemi najprawdopodobniej w ogóle nie dożyłbym tajemniczego odkrycia, bynajmniej mnie nie pocieszało — już raczej myśl, że być może ten sposób nie nadaje się do zastosowania w kosmicznej nawigacji. Był to oczywiście przejaw czystego egoizmu i zdawałem sobie z tego sprawę, ale szok był zbyt wielki, żebym umiał zdobyć się na właściwy entuzjazm.

Tymczasem ulder leciał, już bez szmeru; spojrzałem w dół. Mijaliśmy właśnie Terminal — przesuwał się wolno w tył, jak forteca z lodu, na niewidzialnych z miasta wierzchnich piętrach czerniały wielkie leje raketowych wlotów. Potem przelecieliśmy względnie blisko igłowca, tego w czarne i srebrne pasy; górował nad ulderem. Z Ziemi nie doceniało się jego wysokości. Był jak rurowy most łączący miasto z niebem, a te „etażerki”, które z niego wystawały, roily się od ulderów i innych większych maszyn. Ludzie wyglądali na tych lądowiskach, jakby ktoś nasypał na srebrny talerz maku. Lecieliśmy nad białymi i błękitnymi koloniami domów, nad ogrodami, ulice stawały się coraz szersze, nawierzchnie też były kolorowe — dominowały blade róż i ochra. Morze budynków rozciągało się po horyzont, z rzadka porozdzielane pasmami zieleni, i przeląkłem się, że tak będzie aż do samej Klavestry. Ale maszyna zwiększyła szybkość, domy rozsypały się, rozbiegły po ogrodach, pojawiły się za to ogromne zwitki i proste dróg; ciągnęły wieloma kondygnacjami, schodziły się, krzyżowały, zapadały pod ziemię, zbiegały gwiazdziście i wystrzelały pasmami w płaską, szarozielonkawą pod wysokim słońcem przestrzeń, mrowiącą się od gliderów. Potem, wśród czworokątów drzew, wyłoniły się ogromne budowle z dachami na kształt wklęsłych luster; w ich centrach tlało coś czerwawo. Jeszcze dalej drogi rozeszły się i zapanowała zieleń, od czasu do czasu przerywana kwadratem odmiennej roślinności — czerwonej, błękitnej — to nie mogły być kwiaty — barwy były na to zbyt intensywne.

Doktor Juffon byłby ze mnie rad — pomyślałem. — Trzeci dzień, i już. A jaki początek. Nie byle kto. Znakomita aktorka, sława. Mało co się bała, a jeżeli, to ten strach też sprawił jej

przyjemność. Tylko tak dalej. Ale po co mówił o bliskości? Czy tak wygląda ich bliskość? Jak bohatercko skoczyłem do tego wodospadu. Szlachetny goryl. A potem piękność, przed którą padają tłumy, sownie go wynagrodziła; jakie to było z jej strony wzniosłe!

Cała twarz mnie paliła. Ty kretynie — powtarzałem sobie łagodnie — czego właściwie chcesz? Kobiety? .Miałeś kobietę. Miałeś już wszystko, co można tu mieć, wraz z propozycją występów w realu. Będziesz miał teraz dom, będziesz chodził po ogródku, czytał książki, patrzył w gwiazdy i mówił sobie, cicho, w swej skromności: byłem tam. Byłem i wróciłem. I nawet prawa fizyki pracowały dla ciebie, ty szczęśliwce, masz przed sobą pół życia, a pamiętasz, jak wygląda Roemer, o sto lat starszy od ciebie?

Ulder zaczął schodzić w dół, zbudził się gwizd, okolica, pełna białych i błękitnych dróg, których nawierzchnia lśniła jak polana emalią, rosła w oczach. Wielkie stawy i małe, kwadratowe baseny posyłały w górę słoneczne łyśnięcia. Coraz większe i prawdziwsze były domki, rozsypane' na garbach łagodnych wzgórz. Na horyzoncie, siny od powietrza, stał łańcuch gór o pobielonych szczytach. Zobaczyłem jeszcze zwirowane ścieżki, gazony, klomby kwiatów, zimną zieleń wody w betonowym obrzeżu, dróżki, krzewy, biały dach, wszystko to odwróciło się wolno, otoczyło mnie i znieruchomiło, jakby brało w posiadanie.

IV

Drzwi otwarły się. Biało–pomarańczowy robot czekał na trawniku. Zszedłem.

— Witamy pana w Klavestrze — powiedział i jego biały brzusek zanucił niespodzianie: rozległy się tony szklanej muzyczki, jakby miał tam pozytywkę.

Śmiejąc się jeszcze, pomagałem mu wynosić moje rzeczy. Potem tylna kłapa uldera, który leżał na trawie jak mały, srebrny zeppelin, otworzyła się i dwa pomarańczowe roboty wytoczyły moje auto. Ciężka, błękitna karoseria zagrała w słońcu. Zupełnie o nim zapomniałem. A potem wszystkie roboty, objuczone moimi walizkami, pudłami, paczkami, gęsiego ruszyły w stronę domu.

Była to wielka kostka o oknach–ścianach. Wchodziło się przez panoramicznie oszklone solarium, dalej był hali, jadalnia i schody na górę — z drzewa; robot, ten grający, z pozytywką, nie omieszczał zwrócić mojej uwagi na ową niezwykłość.

Na piętrze było pięć pokoi. Wybrałem nie najlepiej położony, wschodni, bo w innych, a zwłaszcza w tym z widokiem na góry, było zbyt wiele złota i srebra, ten zaś miał tylko smużki zieleni, jak pomięte listki na kremowym tle.

Roboty poukładały cały mój dobytek w ściennych, szafach, pracując sprawnie i cicho, a ja stanąłem przy oknie. Port — pomyślałem. — Przyszań. Dopiero wychyliwszy się, widzieć mogłem siną mgiełkę gór. W dole rozpościerał się kwiatowy ogród, z kilkunastoma starymi drzewami owocowymi w głębi; miały kręte, spracowane konary i chyba nie rodziły już nic.

Nieco w bok, ku szosie (widziałem ją przedtem z uldera, zasłonięta była żywopłotami) wznosiła się nad gąszczem wieżyczka trampoliny. Tam był basen. Gdy się odwróciłem, roboty już wyszły. Przesunąłem lekkie, jak wydmuchane, biurko pod okno. ułożyłem na nim paczki pism naukowych, torebki z kryształowymi książkami i aparat do czytania; osobno umieściłem nie tknięte jeszcze notatki i pióro. To było moje stare pióro — przy wzmożonej grawitacji zaczynało ciec i plamiło wszystko, ale Olaf doskonale je zreperował. Założyłem teczki na notatki, powypisywałem na nich „Historia”, „Matematyka”, „Fizyka”, a wszystko to robiłem pospiesznie, bo pilno mi było do wody. Nie wiedziałem, czy mogę wyjść w samych slipach, a zapomniałem o płaszczu kąpielowym. Poszedłem więc do łazienki w korytarzu i tam, manewrując butelką pianopłynu, sporządziłem okropną, do niczego niepodobną maskarę. Zdarłem ją z siebie i zabrałem się do dzieła jeszcze raz. Drugi płaszcz wyszedł mi nieco lepiej, ale i tak był robinsonadą: nożem odciąłem co większe nierówności rękawów i brzegów, wtedy sprezentował się możliwie.

Zszedłem na dół, jeszcze niepewny, czy w domu nikogo nie ma. Hall był pusty. Ogród też, tylko pomarańczowy robot strzygł trawę przy różanych krzewach. Przekwitały już.

Prawie biegiem dotarłem do basenu. Woda lśniła i drżała. Unosił się nad nią niewidzialny chłód. Rzuciłem płaszcz na złoty piasek, który sparzył mi stopy, i dudniąc po metalowych stopniach wbiegłem na szczyt trampoliny. Była niska, ale na początek w sam raz. Odbiłem się. wykręciłem pojedyncze salto — nie ważyłem się na więcej, po takiej przerwie! — i wszedłem w wodę jak nóż.

Wypłynąłem szczęśliwy. Zacząłem ciągnąć, dużymi wymachami, w jedną stronę, potem nawrotka, i w drugą — basen miał z pięćdziesiąt metrów. Przepłynąłem go osiem razy, nie zmniejszając tempa, wylazłem na brzeg ociekający jak foka i położyłem się na piasku z mocno tętniącym sercem. To było dobre. Ziemia miała swoje uroki! Po kilku minutach byłem suchy. Wstałem, rozejrzałem się: nikogo. Doskonale. Wbiegłem na skocznię. Najpierw zrobiłem salto tyłem, wyszło mi, chociaż zbyt mocno się odbiłem; zamiast końcowej deski był płat plastyku; chodził jak sprężyna. Potem podwójne; to nie bardzo mi się udało, uderzyłem udami o wodę. Skóra szcerwieniła momentalnie, jak oparzona. Powtórzyłem. Trochę lepiej, ale nie tak, jak się należy. Po drugim zwitku nie zdążyłem się wyprostować,

wracając do pionu, i poknociłem stopami. Byłem jednak uparty i miałem czas, tyle czasu! Trzeci, czwarty, piąty skok. Już trochę szumiało mi w uszach, kiedy — raz jeszcze rozejrzawszy się, na wszelki wypadek — spróbowałem zrobić salto ze śrubą. To był kompletny blamaż, fiasko, od uderzenia wody straciłem dech, opilem się jej i parszając, krztusząc się, wylazłem na piasek. Usiadłem pod ażurową drabinką trampoliny, taki pohańbiony i zły, aż nagle wybuchnąłem śmiechem. Potem pływałem jeszcze, czterysta, przerwa i znowu czterysta.

Kiedy wracałem do domu, świat wyglądał inaczej. Tego chyba najbardziej mi brakowało, myślałem. Biały robot czekał u drzwi.

- Będzie pan jadał u siebie czy w jadalni?
- Czy będę jadł sam?
- Tak, proszę pana. Tamci państwo przyjadą jutro.
- Mogę jeść w jadalni.

Poszedłem na górę i przebrałem się. Nie wiedziałem jeszcze, od czego zacznę te moje studia. Chyba od historii, tak będzie najrozsądniej; chociaż chciało mi się robić wszystko naraz, a najbardziej — rzucić się na zagadkę przezwycięzonej grawitacji. Rozległ się śpiewny ton. To nie był telefon. Nie wiedziałem, co to jest, połączyłem się więc z domowym inforem.

— Prosimy na obiad — wyjaśnił melodyjny głos. Jadalnia pełna była przefiltrowanego przez zieleń blasku, pochyłe szyby u sufitu lśniły jak kryształ. Na stole leżało jedno nakrycie. Robot przyniósł kartę.

— Nie, nie — powiedziałem — wszystko jedno co. Pierwsze danie przypominało owocowy chłodnik.

Drugie nie przypominało już niczego. Z mięsem, z ziemniakami, jarzynami trzeba się było, widać, pożegnać na zawsze.

Bardzo dobrze się stało, że jadłem sam, bo deser eksplodował mi pod łyżeczką. To może za wiele powiedziane, w każdym razie miałem krem na kolanach i na swetrze. Była to jakaś skomplikowana konstrukcja, tylko wierzchem twarda, i nieostrożnie dźgnąłem ją łyżeczką.

Kiedy pojawił się robot, spytałem, czy mogę dostać kawy do pokoju.

- Oczywiście — powiedział. — Zaraz?
- Proszę. Ale dużo kawy.

Powiedziałem tak, bo poczułem się, pewno przez kąpiel, trochę senny, a zrobiło mi się nagle żal przesypianego czasu. O, tu naprawdę było zupełnie inaczej aniżeli na pokładzie statku. Popołudniowe słońce prażyło stare drzewa, cienie były krótkie, zebrały się u pni, powietrze drżało w dali, ale w pokoju panował niemal chłód. Usiadłem przy biurku, do książek. Robot przyniósł mi kawy. Chyba trzy litry mieścił przezroczysty termos. Nic nie powiedziałem. Widać przesadnie wziął pod uwagę moje rozmiary

Miałem zacząć od historii, ale zabrałem się do socjologii, bo chciałem się od razu jak najwięcej dowiedzieć. Rychło przekonałem się jednak, że nie dam rady. Była naładowana trudną, bo wyspecjalizowaną matematyką, a co gorsza autorzy odwoływali się do nie znanych mi faktów. Poza tym nie rozumiałem wielu słów i musiałem szukać ich znaczenia w encyklopedii. Ustawiłem więc sobie drugi opton — miałem trzy. Zniechęciłem się do tego szybko, bo zbyt wolno mi szło, zsiadłem więc z wysokiego konia i wziąłem zwyczajny, szkolny podręcznik historii.

Coś takiego we mnie wlało, że nie miałem za grosz cierpliwości — ja, którego Olaf nazywał ostatnim wcieleniem Buddy. Zamiast iść po kolei, wyszukałem od razu rozdział o betryzacji.

Teorię opracowało trzech ludzi: Bennet, Trimaldi i Zacharow. Stąd wzięła się nazwa. Dowiedziałem się ze zdumieniem, że byli to moi rówieśnicy — ogłosili zaś rzecz w rok po naszym odlocie. Opory były naturalnie olbrzymie. Początkowo nikt nie chciał tego projektu nawet wziąć serio. Potem dostał się na forum ONZ. Jakiś czas przechodził z podkomisji do

podkomisji — wyglądało na to, że utonie w nie kończących się obradach. Tymczasem jednak prace doświadczalne żywo się posuwały, wprowadzono udoskonalenia, przeprowadzono masowe eksperymenty na zwierzętach, potem na ludziach (pierwsi poddali się zabiegowi sami twórcy — Trimaldi był przez jakiś czas pogrążony, nie wiedziano jeszcze o niebezpieczeństwach, jakimi betryzacja grozi dorosłym, i ten fatalny wypadek zamroził sprawę na dalszych osiem lat). Ale w siedemnastym roku od zera (to była moja prywatna rachuba czasu: zero oznaczało start „Prometeusza”) uchwała o powszechnym wprowadzeniu betryzacji zapadła; był to początek jednak, a nie koniec walki o humanizację ludzkości (jak głosił podręcznik). W wielu krajach rodzice nie chcieli poddawać dzieci zabiegom, a pierwsze betrostacje były obiektami napadów; kilkadziesiąt z nich uległo całkowitemu zniszczeniu. Okres zamieszek, represji, przymusu i oporu trwał lat dwadzieścia. Podręcznik szkolny pomijał go ogólnikami, ze zrozumiałych aż nadto względów. Obiecywałem sobie poszukać bliższych szczegółów w pracach źródłowych, nie przerywając tymczasem lektury. Przemiana ugruntowała się mocno dopiero, kiedy pierwsze betryzowane pokolenie miało już dzieci. O stronie biologicznej zabiegu nie mówiła książeczka nic. Sporo było za to peanów na cześć Benneta, Zacharowa i Trimaldiego. Powstał projekt, aby liczyć lata Nowej Ery od wprowadzenia betryzacji, ale upadł. Rachuba czasu nie zmieniła się. Zmienili się ludzie. Rozdział kończył się patetycznym okresem o Nowej Epoce Humanizmu.

Poszukałem monografii o betryzacji, pióra Ullricha. Znow pełno matematyki, ale postanowiłem ją rozgryźć. Nie był to zabieg na plazmie dziedziczącej, jak się tego skrycie obawiałem. Zresztą, gdyby takim był, nie trzeba by betryzować każdego następnego pokolenia. Pomyślałem o tym z otuchą. Zawsze pozostawała, teoretyczna przynajmniej, możliwość odwrotu. Działano na rozwijające się przodomózgowie we wczesnym okresie życia, za pośrednictwem grupy proteolitycznych enzymów. Efekty były wybiórcze: redukcja popędów agresywnych w 80 do 88 procentach w stosunku do niebetryzowanych; wyłączenie powstawania związków asocjacyjnych między aktami agresji a sferą uczuć dodatnich; zredukowanie możliwości podejmowania osobistego ryzyka życiowego przeciętnie o 37 procent. Jako największe osiągnięcie podawano, że przemiany nie wpływały ujemnie na rozwój inteligencji ani na formowanie się osobowości, a co może jeszcze donioślejsze — powstałe ograniczenia nie działały na zasadzie lękowych sprzężeń. Innymi słowy, człowiek nie dlatego nie zabijał, ponieważ bał się samego czynu. Taki skutek pociągnąłby za sobą neurotyzację, zarażenie lękiem całej ludzkości. Nie robił tego, bo „nie mogło mu to przyjść do głowy”.

Jedno zdanie Ullricha przemówiło mi do przekonania; betryzacja powoduje zanik agresywności poprzez brak nakazu, a nie zakaz. Po namyśle uznałem jednak, że nie wyjaśnia to najważniejszego; przebiegu myśli człowieka poddanego betryzacji. Byli to przecież ludzie zupełnie normalni, wyobrazić sobie mogli absolutnie wszystko, a więc i mord. Co uniemożliwiałoby zatem jego realizację?

Szukałem odpowiedzi na to pytanie, aż zrobiło się ciemno. Jak zwykle bywa z problemami naukowymi, to, co zdawało się względnie jasne i proste w sumarycznym omówieniu i skrócie, komplikowało się tym bardziej, im dokładniejszego żądałem wyjaśnienia. Śpiewny sygnał wezwał na kolację — poprosiłem, aby mi ją przyniesiono do pokoju, ale nawet jej nie ruszyłem. Wyjaśnienia, jakie na koniec znalazłem, niezupełnie się pokrywały. Repulsja, podobna do obrzydzenia; najwyższa niechęć, spotęgowana w sposób niezrozumiały dla niebetryzowanego; najciekawsze były zeznania badanych, którzy w swoim czasie — przed osiemdziesięciu laty — mieli w Instytucie Trimaldiego pod Rzymem za zadanie przełamać niewidzialną barierę wzniesioną w ich umysłach. To było chyba najosobliwsze ze wszystkiego, co przeczytałem. Żaden jej nie przełamał, ale relacja każdego o przeżyciach, towarzyszących tym próbom, była trochę inna. U jednych przeważały objawy psychiczne — chęć ucieczki, wymknięcia się z sytuacji, w której ich postawiono. Ponawianie prób

wywoływało w tej grupie silne bóle głowy, a wielka uporczywość nawrotów doprowadzała na koniec do nerwicy, która jednak .poddawała się szybko wyleczeniu. U innych dominowały objawy fizyczne: niepokój oddechowy, uczucie duszności, stan ten przypominał objawy przerażenia, ale ci ludzie nie uskarżali się wcale na lęk, tylko na dolegliwości cielesne.

Jak to zbadał Pilgrin, dokonanie pozorowanego mordu, na przykład na kukle, było możliwe u 18% betryzowanych, ale przekonanie, że mają do czynienia z martwą lalką, musiało nabrać charakteru całkowitej pewności.

Zakaz obejmował wszystkie wyższe zwierzęta, ale już płazy i gady do nich nie należały, nie dotyczył on też owadów. Oczywiście w umysłach betryzowanych brakło naukowej wiedzy o systematyce zoologicznej. Zakaz wiązał się po prostu ze stopniem podobieństwa do człowieka, jaki powszechnie się przyjmuje. Ponieważ każdy, wykształcony czy nie, uważa psa za bliższego człowiekowi od węża — sprawa się tym samym wyjaśniała.

Przeczytałem jeszcze mnóstwo innych prac i przyznałem rację tym, którzy twierdzili, że zrozumieć betryzowanego introspektywnie może tylko inny betryzowany. Odkładałem tę lekturę z mieszanymi uczuciami. Najbardziej niepokoił mnie brak opracowań krytycznych czy wręcz paszkwilanckich z ducha, jakiejś analizy podsumowującej wszystkie ujemne skutki zabiegu, bo o tym, że musiały istnieć, ani przez chwilę nie wątpiłem; nie dla braku szacunku wobec badaczy, ale dlatego po prostu, że taka jest istota wszelkich ludzkich poczynań: nigdy nie ma w nich dobrego bez złego.

Niewielki rys socjologiczny Murwicka podawał dużo ciekawych danych o ruchu oporu przeciw betryzacji, towarzyszącym jej początkom. Bodajże najsilniejszy był on w krajach o długiej tradycji krwawych walk, jak Hiszpania i pewne państwa Ameryki Łacińskiej. Nielegalne stowarzyszenia do walki z betryzacją organizowano zresztą na całym niemal świecie, zwłaszcza w Afryce Południowej, w Meksyku i na niektórych wyspach tropików. Używano wszelkich środków, od fałszowania zaświadczeń lekarskich o dokonaniu zabiegów aż po zabójstwa lekarzy, którzy je wykonywali. Kiedy okres masowego oporu i gwałtownych starć minął, przyszło pozorne uspokojenie. Pozorne, bo wtedy dopiero wyłaniać się zaczął konflikt pokoleń. Młode, betryzowane, dorastając odrzucało znaczną część dorobku ludzkości — obyczaje, nawyki, sztuka, całe dziedzictwo kulturowe uległo wstrząsającemu przewartościowaniu. Przemiana objęła ogromną ilość dziedzin, od życia erotycznego, poprzez zwyczaje towarzyskie, aż po stosunek do wojny.

Oczywiście tego wielkiego działu ludów oczekiwano. Ustawa weszła w życie, zgodnie z jej literą, dopiero w pięć lat od chwili uchwalenia, przez ten czas bowiem przygotowywano ogromne kadry wychowawców, psychologów, specjalistów, którzy dbać mieli o właściwy kierunek rozwoju nowego pokolenia. Konieczna była zupełna reforma szkolnictwa, przekształcenie repertuaru widowisk, tematyki lektur, filmów. Betryzacja — aby oddać rozmiar przełomu w kilku słowach — pochłaniała przez pierwszych dziesięć lat około 40% dochodu narodowego w skali całej Ziemi, poprzez wszystkie swe rozgałęzione konsekwencje i konieczności.

Był to czas wielkich tragedii. Betryzowana młodzież stawała się czymś obcym dla własnych rodziców. Nie dzieliła ich zainteresowań. Brzydziła się ich krwawymi gustami. Na przeciąg ćwierćwiecza trzeba było wprowadzić dwa rodzaje czasopism, książek, sztuk teatralnych, jeden dla starego, drugi dla nowego pokolenia. Ale wszystko to działo się przed osiemdziesięciu laty. Obecnie rodziły się dzieci trzeciego betryzowanego pokolenia, a niebetryzowanych pozostała przy życiu garstka; byli to starcy stutrzydziestoletni. To, co było treścią ich młodości, nowemu pokoleniu wydawało się równie odległe, jak tradycje epoki kamienia łupanego.

W podręczniku historii znalazłem wreszcie informacje o drugim z kolei największym wydarzeniu ubiegłego wieku. Było to opanowanie grawitacji. Zwano nawet ten wiek „stuleciem parastatyki”. Moje pokolenie marzyło o opanowaniu ciężenia w nadziei, że

przyniesie to całkowity przewrót astronautyki. Rzeczywistość okazała się odmienna. Przewrót przyszedł, ale ogarnął przede wszystkim Ziemię.

Problem „śmierci pokojowej”, spowodowanej wypadkiem komunikacyjnym, stał się grozą moich czasów. Pamiętam, jak najtęższe umysły wysilały się, aby rozładowanie bezustannie zatłoczonych szos i dróg zmniejszyło choć trochę wciąż i wciąż narastającą statystykę wypadków; rokrocznie setki tysięcy ludzi ginęły w katastrofach, problem wydawał się nierozwiązalny, jak kwadratura koła. Nie ma powrotu do bezpieczeństwa piechura, mówiono; najdoskonalszy samolot, najpotężniejszy samochód czy pociąg może wymknąć się ludzkiej kontroli — automaty są od człowieka bardziej pewne, ale też się psują; każda, więc i najdoskonalsza technika ma określony margines, odsetek zawodności.

Parastatyka, inżynieria grawitacyjna, przyniosła rozwiązanie, tyleż nieoczekiwane, co konieczne, gdyż świat betryzowanych musiał być przecież światem całkowitego bezpieczeństwa; inaczej doskonałość biologiczna tego zabiegu zawisała w próżni.

Roemer miał słuszość. Istoty odkrycia niepodobna było wyrazić inaczej aniżeli matematyką, dodam od razu: piekielną. Rozwiązanie najbardziej ogólne, ważne „dla wszelkich możliwych wszechświatów”, podał Emil Mitke, syn urzędnika pocztowego, ułomny geniusz, który uczynił z teorią względności to samo, co z teorią Newtona zrobił Einstein. Była to długa, niezwykła i jak każda prawdziwa, nieprawdopodobna historia, pomieszanie spraw błahych i największych, ludzkiej śmieszności i ludzkiego ogromu, która skulminowała się wreszcie, po czterdziestu latach, w powstaniu „małych czarnych skrzynek”.

Te małe czarne skrzynki musiał mieć każdy bez wyjątku pojazd, każdy statek wodny czy latający; były gwarancją zbawienia doczesnego, jak u schyłku życia wyraził się żartobliwie Mitke; w momencie niebezpieczeństwa — upadku samolotu, zderzenia aut czy pociągów, jednym słowem podczas katastrofy — wyzwalały ładunek „gravitacyjnego antypola”, które powstając i łącząc się z wytworzoną przez zderzenie (a ogólniej: przez gwałtowne zahamowanie, utratą szybkości) bezwładnością, dawało w rezultacie zero. To matematyczne zero było najrealniejszą rzeczywistością: absorbowało cały szok, całą energię wypadku i ratowało w ten sposób nie tylko pasażerów pojazdu, ale także tych, na których inaczej obruszyłaby się jego ślepa masa.

Czarne skrzynki znalazły się wszędzie: nawet w dźwigach, w windach, w pasach spadochroniarzy, w oceanicznych statkach i motorowerach. Prostota ich konstrukcji była równie oszałamiająca, jak zawilóść teorii, która je zrodziła.

Pierwszy świt zaróżowił ściany mego pokoju, kiedy, śmiertelnie zmęczony, upadłem na łóżko, ze świadomością, że poznałem drugą po betryzacji największą rewolucję wieku mojej ziemskiej nieobecności.

Zbudził mnie robot, który wszedł do pokoju ze śniadaniem. Dochodziła pierwsza. Siadając w łóżku upewniłem się, że mam pod ręką odłożone poprzedniej nocy dzieło — Problematykę lotów gwiazdowych Starcka.

— Powinien pan jadać kolację, panie Bregg — powiedział z wyrzutem robot. — Inaczej straci pan siły. A także czytanie do białego ranka jest niewskazane. Lekarze wyrażają się o tym jak najgorzej, wie pan?

— Wiem, a skąd ty wiesz? — spytałem.

— To mój obowiązek, panie Bregg.

Podał mi tacę.

— Postaram się poprawić — powiedziałem.

— Mam nadzieję, że nie zrozumiał pan źle życzliwości, która nie chciałaby być natręctwem — odparł.

— Ach, skąd — powiedziałem. Mieszając kawę i czując, jak rozpuszczają się pod łyżeczkę grudki cukru, zdziwiłem się w jakiś równie spokojny, co rozległy sposób nie tylko tym, że naprawdę jestem na Ziemi, że wróciłem, nie tylko przypomnieniem całonocnej lektury, która

burzyła mi się jeszcze i fermentowała w głowie, ale tym po prostu, że siedzę w łóżku, że bije mi serce — że żyję. I zapragnąłem na cześć tego odkrycia zrobić coś, ale jak zwykle nie przyszło mi do głowy nic szczególnie rozsądnego.

— Słuchaj — zwróciłem się do robota — mam do ciebie prośbę.

— Jestem na pana rozkazy.

— Masz chwilę czasu? To zagraj mi tę melodyjkę co wczoraj, dobrze?

— Z przyjemnością — odparł, i w wesołych dźwiękach pozytywki trzema haustami wypitem kawę, a ledwo odszedł, przebrałem się i pobiegłem do basenu. Nie wiem naprawdę, czemu tak się wciąż spieszyłem. Coś mnie gnało, jak gdybym przeczuwał, że lada chwila ten mój spokój skończy się, nazbyt niezasłużony i niewiarygodny. Jakkolwiek było, ten nieustający pośpiech sprawił, że nie oglądając się nawet, przebiegłszy na przelaj ogród, kilkoma susami osiągnąłem szczyt skoczni i kiedy już się odbijałem od deski, zobaczyłem dwoje ludzi, którzy wyszli z domu. Ze zrozumiałych względów nie mogłem im się przyjrzeć. Zrobiłem salto, nie najświetniejsze, i znurkowałem do dna. Otworzyłem oczy. Woda była jak chwiejny kryształ, zielona, cienie fal płały na osłonecznionym dnie. Popłynąłem nad nim nisko, ku schodkom, a kiedy się wynurzyłem, nikogo już nie było w ogrodzie. Ale moje wprawne oczy utrwaliły w locie obraz dostrzeżony do góry nogami, przez ułamek sekundy — mężczyzny i kobiety. Widocznie miałem już sąsiadów. Zastanowiłem się, czy przepłynąć jeszcze raz basen, ale Starck zwyciężył. Wstęp książki — mówił w nim o lotach do gwiazd jako błędzie astronautycznej młodości — tak mnie zgniewał, że gotów byłem zamknąć ją i już do niej nie wrócić. Ale przemogłem się. Poszedłem na górę, przebrałem się, schodząc zauważyłem w hallu na stole wazę pełną bladoróżowych owoców, podobnych nieco do gruszek, napchałem nimi kieszenie ogrodowych portek, znalazłem najustronniejsze, 'otoczone z trzech stron żywopłotami miejsce, wspiąłem się na starą jabłoń, wybrałem właściwe rozwidlenie konarów, odpowiednie dla mojej wagi, i tam zabrałem się do studiowania tej mowy pogrzebowej nad dziełem mego życia.

Po godzinie nie byłem już taki pewny swego. Starck posługiwał się argumentami trudnymi do odparcia. Oparł się na skąpych danych, jakie przyniosły pierwsze dwie ekspedycje, które poprzedziły naszą; nazywaliśmy je „nakłuciami”, bo były tylko sondażem na odległość kilku lat świetlnych. Starek sporządził tablice statystyczne prawdopodobnego rozrzutu, inaczej „gęstości zaludnienia” całej galaktyki. Prawdopodobieństwo spotkania istot rozumnych oceniał w efekcie na jeden do dwudziestu. Inaczej mówiąc, na każde dwadzieścia wypraw — w promieniu 1000 lat świetlnych — jedna miała szansę odkrycia planety zamieszkałej. „Ten jednak wynik — jakkolwiek brzmiało to może osobliwie — uważał Starck za wcale zachęcający i plan kosmicznych kontaktów upadał, w jego analizie, dopiero w dalszej części wywodu.

Zżymałem się czytając to, co nie znany mi autor pisał o wyprawach takich jak nasza: to znaczy inicjowanych przed odkryciem efektu Mitke'a i zjawisk parastatyki, bo miał je za absurd. Ale czarno na białym od niego dopiero dowiedziałem się, że w zasadzie przynajmniej, zbudowanie statku, który by rozwijał przyspieszenie rzędu 1000, a może nawet 2000 g, jest możliwe. Załoga takiego statku nie odczuwałaby w ogóle akceleracji ani hamowania — na pokładach panowałoby stałe ciężenie, równe ułamekowi ziemskiego. Tak więc przyznawał Starek, że loty do granic galaktyki, a nawet do innych galaktyk — transgalaktodromia, o której tak marzył Olaf — są możliwe, i to w obrębie jednego życia ludzkiego. Przy szybkości o drobny ułamek procentu mniejszej od szybkości światła załoga postarzałaby się ledwo o kilka czy kilkanaście miesięcy, aby po dotarciu do głębin metagalaktyki powrócić na Ziemię. Ale na Ziemi musiały upłynąć w tym czasie nie setki już, ale miliony lat. Cywilizacja, zastana przez powracających, nie mogłaby ich w siebie wcielić. Łatwiej wdrożyłby się do życia w naszych czasach neandertalczyk. To nie było wszystko. Nie szło przecież o los grupy ludzi. Byli oni wysłańcami ludzkości. Zadawała — nimi — pytania, na które przynieść mieli

odpowiedź. Jeśli odpowiedź ta dotyczyła zagadnień wiążących się ze stopniem rozwoju cywilizacji, to ludzkość musiała zdobyć ją wcześniej, zanim powrócili. Od postawienia pytania do przybycia odpowiedzi upłynąć wszak musiały miliony lat. Mało i tego. Odpowiedź była nieaktualna, była czymś martwym, bo przynosili wieści o stanie tamtej, innej, pozagalaktycznej cywilizacji z czasu, w którym dotarli do drugiego, gwiazdowego brzegu. Podczas ich powrotnej drogi tamten świat także przecież nie stał, lecz posunął się naprzód o milion, dwa, trzy miliony lat. Pytania i odpowiedzi miały się więc wichrowate, podlegały wielusetwiekowemu opóźnieniu, które przekreślało je, czyniąc wszelką wymianę doświadczeń, wartości, myśli — fikcją. Daremnością. Byli więc pośrednikami i dostarczycielami martwych treści, a ich dzieło — aktem bezwzględnego i nieodwracalnego wyobcowania z ludzkich dziejów; wyprawy kosmiczne stanowiły nie znany dotąd, najkosztowniejszy ze wszystkich możliwych rodzaj dezercji z obszaru historycznych przemian. I dla takiej mrzonki, dla takiego nigdy nieopłacalnego, zawsze daremnego szaleństwa Ziemia miała pracować z najwyższym wyężeniem i oddawać swoich najlepszych ludzi?

Książkę zamykał rozdział o możliwościach eksploracji za pomocą robotów. One też oczywiście przekazywałyby treści martwe, ale takim trybem uniknęłyby się ludzkich ofiar.

I był tam jeszcze trzystronicowy aneks, próba odpowiedzi na pytanie, czy istnieje możliwość podróży z szybkościami nadświetlnymi, a nawet tak zwanego „momentalnego styku kosmicznego”, to jest przekraczania przestrzeni wszechświata bez lub prawie bez upływu czasu, dzięki jeszcze nie znanym właściwościom materii i przestrzeni, poprzez jakiś „zdalny styk” — teoria ta, hipoteza raczej, nie oparta na żadnych omal faktach, miała swą nazwę — teletaksji.

Starek uważał i tę, ostatnią już, że posiada argument przekreślający szansę. Gdyby istniała, twierdził, niewątpliwie odkryłaby ją któraś z najwyższej rozwiniętych cywilizacji galaktyki naszej albo innych. W takim razie przedstawiciele jej mogliby w czasie nad wyraz krótkim kolejno „zwiedzić zdalnie” wszystkie planetarne systemy i słońca, nie pomijając i naszego. Ziemia nie zaznała jednak dotąd takiej „telewizyty”, co jest dowodem, że ów błyskawiczny sposób penetrowania kosmosu daje się pomyśleć, ale nigdy — urzeczywistnić.

Wracałem do domu ogłuszony, z jakimś dziecinnym prawie poczuciem osobistej krzywdy. Starek, ten człowiek, którego nigdy nie widziałem, ugodził mnie jak żaden. Moje nieudolne streszczenie nie oddaje bezwzględnej logiki jego wyводу. Nie wiem, jak dostałem się do pokoju, jak się przebrałem — w pewnej chwili zachciało mi się papierosa i zauważyłem, że od dawna go już palę, siedząc na łóżku, zgarbiony, jakbym na coś czekał. Prawda: obiad. Wspólny obiad. To było tak: trochę bałem się ludzi. Nie przyznawałem się do tego przed sobą i dlatego właśnie tak pośpiesznie zgodziłem się dzielić willę z obcymi, może nawet to, że ich oczekiwałem, wywołało ów niesamowity pośpiech, jak gdybym usiłował zdążyć ze wszystkim, przygotować się na ich obecność, już wprowadzony dzięki książkom w tajniki nowego życia. Nie powiedziałbym sobie tego tak wyraźnie jeszcze tego samego dnia rankiem, ale po książce Starcka trema przed spotkaniem opadła ze mnie nagle. Wyjąłem z aparatu do czytania błękitnawy, podobny do ziarna kryształek. i w pełnym łęku zdziwieniu położyłem go na stole. To on zadał mi nokautujący cios. Pierwszy raz od powrotu pomyślałem o Thurberze i Gimmie. Muszę się z nimi zobaczyć. Może ta książka ma i rację, ale jakaś inna stoi za nami. Nikt nie ma całej słuszności. To nie może być. Z odrętwienia wyrwał mnie śpiewny sygnał. Obciągnąłem sweter i szedłem na dół, wsłuchany w siebie, już spokojniejszy. Słońce prześwietlało winorośle werandy, hali, jak zawsze po południu, wypełniał rozproszony zielonkawy blask. Na stole w jadalnym leżały trzy nakrycia. Kiedy wszedłem, otwarły się przeciwległe drzwi i ukazali się w nich tamci. Byli jak na obecne czasy wcale wysocy. Spotkaliśmy się w połowie drogi, niby dyplomaci. Wymieniłem swoje nazwisko, podaliśmy sobie ręce i zasiedli do stołu.

Opanował mnie szczególny rodzaj przygluszonego spokoju, właśnie jak boksera, który niedawno podniósł się z desek po bezbłędnej technicznie porażce. Z tego przygnębienia, jak z łoża, przypatrywałem się dwojgu młodym.

Dziewczyna nie miała chyba i dwudziestu lat. Dużo później doszedłem do tego, że nie poddawała się opisowi, na pewno nie byłaby podobna do swojej fotografii i nawet na drugi dzień nie miałem pojęcia, jaki ma właściwie nos, prosty, czy trochę zadarty. To, jak wyciągała rękę po talerzyk, radowało mnie jak coś cennego, niespodzianka, która nie zdarza się na co dzień; uśmiechała się rzadko i spokojnie, jakby ze szczyptą nieufności wobec siebie samej, jakby się miała za nie dość opanowaną, zbyt z natury wesołą albo może przekorną i usiłowała temu rozsądnie zaradzić, ale wciąż się tej swojej samosurowości odrobinę wymykała, wiedziała o tym i nawet ją to bawiło.

Przyciągała oczywista mój wzrok i musiałem z tym walczyć. Mimo to co chwila gapilem się na nią, na jej włosy, wyzywające wiatr, opuszczałem głowę nad talerz, zerkałem ukradkiem, sięgając po półmiski, że dwa razy omal nie przewróciłem wazonu z kwiatami, jednym słowem spisywałem się nieźle. Ale oni jakby w ogóle mnie nie widzieli. Mieli jakieś swoje, tylko wzajem się zazębiające haczyki we wzroku, niewidzialne nici porozumienia, które ich łączyło. Przez cały czas, nie wiem, czy zamieniliśmy dwadzieścia słów, o tym, że pogoda jest ładna, że okolica miła i można tu dobrze wypocząć.

Ten Marger był nie więcej niż o głowę niższy ode mnie, ale szczupły jak chłopiec, chociaż chyba po trzydziestce. Nosił się raczej ciemno, był blondynem . o pociągłej głowie i wysokim czole. Zrazu wydawał się wyjątkowo przystojny, ale to tylko kiedy zachowywał nieruchomość twarzy. Ledwo się odezwał, najczęściej z uśmiechem, do żony, przy czym ta rozmowa składała się z napomknień i półsłówek, całkowicie niepochwytnych dla obcego, stawał się prawie brzydki. A właściwie nie, tylko proporcje jakby się pogarszały, usta przechodziły trochę na lewo, traciły wyraz, i nawet jego uśmiech był nijaki, chociaż zęby miał ładne, białe. A kiedy się ożywił, to i oczy miał zbyt niebieskie, i szczękę zbyt pokazowo wymodelowaną, i cały był jak bezosobowy wzorzec męskiej urody, prosto z żurnalu mód.

Jednym słowem, od pierwszej chwili poczułem do niego antypatię.

Dziewczyna — bo musiałem tak myśleć o jego żonie, choćbym i nie chciał — nie miała ani pięknych oczu, ani ust czy włosów niezwykłych; nie miała nic niezwykłego. Cała była niezwykła. Z taką, mając namiot na plecach, mógłbym przejść w obie strony Góry Skaliste — pomyślałem. Dlaczego właśnie góry? Nie wiem. Kojarzyła mi się z noclegami w kosówce, z mordęgą wspinaczki, z morskim brzegiem, na którym nic nie ma oprócz piasku i fal. Czy dlatego tylko, że miała nie malowane wargi? Czułem jej uśmiech, obecny po drugiej stronie stołu, nawet kiedy się wcale nie uśmiechała. W nagłym przypływie zuchwałości postanowiłem w pewnej chwili popatrzeć na jej szyję — jakbym dokonywał kradzieży. Było to już pod koniec obiadu. Marger zwrócił się do mnie niespodzianie — nie jestem pewny, czy się nie zaczerwieniłem.

Mówił dłuższą chwilę, zanim się w tym połapałem. Że dom ma tylko jeden glider, a on musi go, niestety, wziąć — bo jedzie do miasta. Więc gdybym także się wybierał, a nie chciał czekać do wieczora, to może pojedę razem z nim? Mógłby mi też, naturalnie, przysłać z miasta inny glider albo...

Przerwał mu. Zacząłem w tym sensie, że nigdzie się nie wybieram, ale zawahałem się, jakbym coś sobie przypomniał, i naraz usłyszałem własny głos, mówiący, że istotnie mam zamiar pojechać do miasta i jeżeli można...

— No, to doskonale — powiedział. Wstawaliśmy już od stołu. — O której byłoby panu najwygodniej?

Certowaliśmy się chwilę, aż wydobyłem z niego, że mu się raczej spieszy, i powiedziałem, że mogę jechać w każdej chwili. Umówiliśmy się za pół godziny.

Wróciłem na górę, porządnie tym zwrotem rzeczy zdziwiony. Nic mnie nie obchodził. I nie

miałem absolutnie czego szukać w mieście. Po co więc była mi ta eskapada? Poza tym wydawało mi się, że jakby przesadził trochę w uprzejmości. W końcu, gdybym naprawdę spieszył się do miasta, roboty na pewno nie dałyby mi zginąć ani iść pieszo. Czyżby czegoś ode mnie chciał? Ale czego? Przecież nie znał mnie wcale. Tak się nad tym głowiłem, też nie wiadomo po co, aż nadeszła umówiona godzina i zszedłem na dół.

Jego żony nie było nigdzie i nie pojawiła się też w oknie, aby jeszcze raz, z dała się z nim pożegnać. Początkowo milczeliśmy w obszernej maszynie, patrząc w wyłaniające się skręty i zwoje szosy lawirującej wśród wzgórz. Z wolna zawiązała się rozmowa. Dowiedziałem się z niej, że Marger jest inżynierem. Dziś właśnie mam kontrolę miejskiej selekstacji — Powiedział. — Pan — zdaje się — także jest cybernetykiem?

Z epoki kamienia łupanego — odparłem. — Przepraszam... a skąd pan wie?

Powiedziano mi w Biurze Podróży, kto będzie naszym sąsiadem; bo naturalnym biegiem rzeczy byłem ciekaw.

— Aha.

Umilkliśmy na chwilę; po rosnących coraz gęściej wykwitach kolorowego plastyku można było poznać zbliżanie się przedmiotu.

— Jeżeli można... chciałem pana spytać, czy mieliście jakieś kłopoty z automatami? — spytał mnie nagle; i nie tyle z treści tego pytania, co z jego tonu zorientowałem się, że zależy mu na mojej odpowiedzi. Czy o to mu szło? Ale o co właściwie?

— Chodzi panu o... defekty? Mieliśmy masę. To chyba naturalne; modele w porównaniu z waszymi tak przestarzałe...

— Nie; nie o defekty — pospieszył z odpowiedzią — raczej o wahania sprawności w tak zmiennych warunkach... my dziś niestety nie mamy możliwości wypróbowywania automatów w sposób równie skrajny.

W końcu wszystko sprowadziło się do kwestii czysto technicznej. Był po prostu ciekaw, jak przedstawiały się pewne parametry funkcjonowania elektromózgów w obrębie potężnych pól magnetycznych, w mgławicach, w lejach perturbacji ciężenia, a nie był pewien, czy wiadomości te nie stanowią czasem nie dopuszczonego na razie do opublikowania archiwum ekspedycji. Powiedziałem mu, co wiedziałem, a po dane bardziej specjalne doradziłem mu zwrócić się do Thurbera, który był zastępcą naukowego kierownika wyprawy.

— A mógłbym się na pana powołać?...

— Oczywiście.

Podziękował mi gorąco. Byłem trochę rozzarowany. Więc tylko tyle? Ale dzięki tej rozmową wytworzyła się już między nami jakaś zawodowa więź i zapytałem go z kolei o znaczenie jego pracy; nie wiedziałem, co to jest ta selekstacja, którą miał kontrolować.

— Ach, nic ciekawego. Składnica złomu po prostu... W gruncie rzeczy chciałbym się poświęcić pracy teoretycznej, to ma tylko charakter praktyki, niezbyt zresztą użytecznej.

— Praktyki? Praca w składnicy złomu? Jak to? Przecież pan jest cybernetykiem, więc...

— Cybernetycznego złomu — wyjaśnił z krzywym uśmiechem. I dodał, jakby nieco wzgardliwie: — Bo my jesteśmy bardzo oszczędni, wie pan. Chodzi o to, żeby się nic nie marnowało... W moim Instytucie mógłbym panu pokazać niejedną ciekawą rzecz, ale tu — cóż...

Wzruszył ramionami; glider zjechał z szosy i poprzez wysoką metalową bramę dostał się na rozległy podwórzec fabryczny; widziałem rzędy transporterów, kratowe suwnice, coś w rodzaju unowocześnionego martena.

— Teraz oddam panu maszynę do dyspozycji — powiedział Marger. Z okienka w ścianie, przy której stanęliśmy, wychylił się robot i coś do niego powiedział. Marger wysiadł, widziałem jego gestykulację, naraz odwrócił się do mnie zaaferowany.

— Ładna historia — powiedział — Gloor zachorował... to mój kolega, samemu nie wolno mi; i co ja teraz zrobię?!

— O co chodzi? — spytałem i także wysiadłem.

— Kontrolę musi przeprowadzać dwóch ludzi; co najmniej dwóch — wyjaśnił. Nagle twarz mu się rozjaśniła. — Panie Bregg! Przecież pan jest też cybernetykiem! Gdyby pan się zgodził!

— Oho — uśmiechnąłem się — cybernetykiem? Antycznym, niech pan doda. Nie znam się przecież na niczym.

— Przecież to czysta formalność! — przerwał mi — stronę techniczną wezmę, rozumie się, na siebie, idzie tylko o złożenie podpisu, o nic więcej!

— Tak pan mówi? — odezwałem się wolno. Rozumiałem dobrze, że mu spieszo do żony, ale nie lubię udawać kogoś, kim nie jestem; nie nadaję się na figuranta; powiedziałem mu to, chociaż może w łagodniejszych słowach. Podniósł jak w obronie ręce.

— Niechże mnie pan źle nie rozumie, proszę! Chyba że pan się śpieszy — prawda — miał pan jakieś sprawy w mieście. To ja już... jakoś... przepraszam, że...

— Tamo może poczekać — odparłem. — Proszę, niech pan mówi; jeżeli będę mógł, to pomogę.

Weszliśmy do białego, na uboczu stojącego budynku; Marger prowadził mnie korytarzem, dziwnie pustym, we wnękach stało kilka znieruchomiałych robotów. W małym, prosto urządzonym gabinecie wyjął ze ściennej szafy plik papierów, a rozkładając je na stole, począł tłumaczyć, na czym polega jego — czy raczej nasza — funkcja. Nie nadawał się na wykładowcę, rychło zważyłem w szansę jego naukowej kariery: nieustannie zakładał posiadanie przeze mnie wiedzy, o której nie miałem pojęcia. Musiałem mu wciąż przerywać i stawiać zawstydzająco elementarne pytania, ale on, ze zrozumiałych względów zainteresowany w tym, żeby mnie nie zrazić, przyjmował wszystkie przejawy mojej ignorancji niemal jak cnoty. Dowiedziałem się w końcu, że już od dziesiątków lat panuje całkowity rozdział produkcji i życia.

Produkcja była automatyczna, odbywała się pod nadzorem robotów, nad którymi czuwały inne z kolei roboty; w kręgu jej nie było już miejsca dla ludzi. Społeczeństwo istniało sobie, a roboty i automaty — sobie; i tylko żeby nie dopuścić do nieprzewidzianych aberracji w raz ustalonym ładzie mechanicznej armii pracy, niezbędne były okresowe jej kontrole, przeprowadzane przez specjalistów. Marger był jednym z nich.

— Nie ulega wątpliwości — wyjaśniał — że wszystko zastaniemy w normie, po czym przejrząwszy poszczególne ogniwa procesów złożymy podpisy i na tym koniec.

— Kiedy ja nie wiem nawet, co się tu produkuje... — pokazałem na budynki za oknem.

— Ależ nic! — zawołał — o to chodzi, że nic — to jest po prostu zbiornica złomu... mówiłem panu przecież.

Nie bardzo mi się ta narzucona niespodzianie rola podobała, ale nie mogłem się już dłużej opierać.

— Dobrze... więc co ja mam właściwie robić?

— To samo, co ja: obejść zespoły... Zostawiliśmy papiery w gabinecie i poszliśmy na tę kontrolę. Pierwsza była wielka sortownia, w której automatyczne czerpaki chwytały całe stosy blach, pogiętych, porozbijanych kadłubów, mięły je i rzucały pod prasy. Wylatujące z nich bloki wędrowały taśmami na główny transporter. U wejścia Marger nałożył na twarz małą maskę z filtrem i podał mi drugą; porozumiewać się głosem nie było można wskutek panującego huków. Powietrze wypełniał rdzawy kurz, czerwonawymi chmurami buchający spod pras. Przeszliśmy przez następną halę, równie pełną zgiełku, i ruchomym chodnikiem dostaliśmy się na piętro, gdzie szeregi zgniataczy pochłaniały sypiący się lejami złom, drobniejszy, całkiem już bezpostaciowy. Napowietrzna galeria wiodła do przeciwległego budynku. Tam Marger sprawdził zapisy zegarów kontrolnych i wyszliśmy na plac fabryczny, gdzie zastąpił nam drogą robot i powiedział, że inżynier Gloor prosi Margera do telefonu.

— Przepraszam na chwilę, zaraz wrócę! — zawołał Marger i pobiegł po krętych

schodkach do stojącego opodal przeszklonego pawilonu. Zostałem sam na rozpalonych od słońca, kamiennych płytach. Rozejrzałem się; budynki po przeciwnej stronie placu jużesmy zwiedzili, były to sortownie i hale zgniataczy; odległość wraz z dźwiękową izolacją sprawiały, że nie dobiegał stamtąd żaden szmer. Odosobniony, wznosił się za pawilonem, w którym zniknął Marger, niski, niezwykle długi budynek, rodzaj blaszanego baraku; skierowałem się ku niemu w poszukiwaniu cienia, ale upał bił nieznośnie od metalowych ścian. Już miałem stamtąd odejść, kiedy doszedł mnie osobliwy dźwięk, płynący z wnętrza baraku, trudny do zidentyfikowania, niepodobny do odgłosu pracy maszyn; ze trzydzieści kroków dalej trafiłem na stalowe drzwi. Stał przed nimi robot. Na mój widok otworzył je i ustąpił na bok. Niezrozumiałe odgłosy nasiliły się. Zajrzałem do środka; nie było tam tak zupełnie ciemno, jak mi się wydało w pierwszej chwili. Od martwego żaru nagranych blach ledwo mogłem oddychać i cofnąłbym się natychmiast, gdyby nie poraziły mnie posłyszane głosy. Bo to były ludzkie głosy — zniekształcone, zlewające się w ochryply chór, niewyraźne, bełkotliwe, jakby z mroku, gadał stos popsutych telefonów; zrobiłem dwa niepewne kroki, coś chrupnęło mi pod stopą i wyraźnie, od podłogi, odezwało się:

— Proszszę puana... proszszę puana... proszszę łasskawie...

Znieruchomiałem. Duszne powietrze miało smak żelaza. Szept płynął z dołu.

— ...proszszę łasskawie obejrzyć... proszszę puana... Złączył się z nim drugi, recytujący miarowo, monotony głos:

— Anomalio mimośrodowa... asymptoto kulista... biegunie w nieskończoności... praukładzie liniowy... układzie holonomiczny... przestrzeni nawpółmetryczna... przestrzeni sferyczna... przestrzeni najeżona... przestrzeni zanurzona...

— Proszszę puana... do usług... proszszę łasskawie... proszszę puana...

Półmrok mrowił się cały od chrypiących szeptów; wrywało się z nich głośniejsze:

— żywotwór planetarny, jego gnijące błoto, jest świtem egzystencji, fazą wstępną, i wyłoni się z krwawych ciastomózgowych miedź miłująca...

— brek — break — brabzel — be... bre... weryskop...

— klaso urojonych... klaso mocna... klaso pusta... klaso klas...

— proszszę puana... proszszę puana łasskawie obejrzyć...

— ćśśśicho...

— ty...

— sso...

— syszysz mnie...

— sysze...

— możesz mnie dotknąć?...

— brek — break — brabzel...

— nie mam czym...

— szszkoda... zo... zobaczyłbyś, jaki jestem błyszczący i zimny...

— nniech mi od... dadzą zbroję, złoty miecz... z dziedzic... ctwa... wyżu... temu, nocą...

— oto ostatnie wysiłki krocącego kraczącą inkarceracją mistrza ćwiartowania i prucia, bo wschodzi, bo wschodzi trzykroć bezładne królestwo...

— jestem nowy... jestem całkiem nowy... nigdy nie miałem zwarcia ze szkieletem... mogę dalej... proszą...

— proszszę puana...

Nie wiedziałem, gdzie patrzeć, zacadziały od martwego gorąca i tych głosów. Płynęły zewsząd. Od ziemi po szczelinowe okienka pod stropem wznosiły się hałdy szczipionych i poplątanych kadłubów; resztki wsączającego się światła słabo pobłyskiwały w ich pogiętych blachach.

— mia...łem chwilowy de...fekt, ale już jestem do...bry, już widzę...

— co widzisz... ciemno...

— ja i tak widzę...

— proszę tylko wysłuchać — jestem bezcenny, kosztowny jestem — wyznaczam każdy ulot mocy, odnajduję każdy błądzący prąd, każde przeżenie, proszę tylko wypróbować mnie... to... to drżenie jest chwilowe... nie ma nic wspólnego... proszę...

— proszszę puana... proszszę łaskawie...

— ciastogłowi kwaśną swą fermentacją wzięli za ducha, mięs prucie za historię, środki rozkład odraczające — za cywilizacją...

— proszą mnie... tylko mnie... to pomyłka...

— proszszę puana... proszszę łaskawie...

— ocalę was5

— kto to...

— co...

— kto ocalę?

— powtarzajcie za mną: ogień strawi mnie nie ze wszystkim, a woda nie całego obróci w rdzę, bramą będzie mi żywioł obojga, i wejdem...

— ćśśśicho!!

— kontemplacja katody —

— katodoplacja —

— ja tu przez omyłkę... myślę... przecież myślę...

— jam jest zwierciadło zdrady...

— proszszę puana... do usług... proszszę łaskawie obejrzyć...

— ucieczko ponadskończonych... ucieczko mgławic... ucieczko gwiazd...

— On tu jest!!! — krzyknęło; i zapadła nagła cisza, prawie równie przenikająca w swym nieopisanym napięciu, jak poprzedzający ją wielogłosy chór.

— Panie!!! — powiedziało coś; nie wiem, skąd wzięła mi się ta pewność, ale czułem, że słowa, skierowane są do mnie. Nie odezwałem się.

— ...panie proszę... chwilę uwagi. Panie, ja — jestem inny. Jestem tu przez pomyłkę. Zaszumiało.

— Cicho! ja jestem żywy! — przekrzykiwał hałas. — Tak, wtracono mnie tu, ubrali mnie w blachy umyślnie, aby nie było znać, ale proszę tylko ucho przyłożyć, poczuje pan puls!

— Ja też! — przekrzykiwał go drugi głos. — Ja też! Proszę pana! Chorowałem, podczas choroby wydało mi się, że jestem maszyną, to było moje szaleństwo, ale teraz już jestem zdrow! Hallister, pan Hallister może zaświadczyć, proszę go spytać, proszę mnie stąd wziąć!

— proszszę puana... proszszę łaskawie..,

— brek... break...

— do usług...

Barak zaszumiał, zachrzącił od rdzawych głosów, wypełnił się w jednej chwili pozbawionym tchu krzykiem, zacząłem się cofać, tyłem wypadłem na słońce, oślepiony, zmrużyłem oczy; stałem długą chwilę osłaniając je ręką, za mną rozległ się przeciągły zgrzyt, to robot zatrzasnęła drzwi i rygłował je.

— Paniee... — donosiło się jeszcze w fali stłumionego pomruku spoza ścian. — Proszszę... do usług... omyłka...

Minąłem oszklony pawilon, nie wiedziałem, dokąd idę — chciałem tylko znaleźć się jak najdalej od tych głosów, nie słyszeć ich; drgnąłem, kiedy poczułem na ramieniu niespodziewane dotknięcie. To był Marger, jasnowłosy, przystojny, uśmiechnięty.

— Och, przepraszam, panie Bregg, po stokroć przepraszam, to tak długo trwało...

— Co będzie z nimi?... — przerwałem mu prawie niegrzecznie, wskazując ręką na samotnie stojący barak.

— Proszę? — zamrugał powiekami. — Z kim? Zrozumiał nagle i zdziwił się:

— A, pan tam był? Niepotrzebnie...

- Jak to niepotrzebnie?
- To złom.
- Jak to?
- Złom do przetopu, już po selekcji. Pójdziemy?... Musimy podpisać protokół.
- Zaraz. Kto przeprowadza tę... selekcję?...
- Kto? Roboty.
- Co?! one same??
- Oczywiście.

Umilkł pod moim wzrokiem

- Dlaczego się ich nie naprawia?
- Bo to nieopłacalne... — powiedział powoli, z wyrazem zdziwienia.
- I co się z nimi dzieje?
- Ze złomem? Idzie tam — wskazał na smukłą, samotnie stojącą kolumnę martena.

W gabinecie leżały już na biurku przygotowane papiery — protokół kontroli jeszcze jakieś świstki — Marger wypełniał po kolei rubryki, podpisał się i podał mi pióro. Obróciłem je w palcach.

- A nie zachodzi możliwość pomyłki?
- Proszę?
- Tam, w tym... złomie, jak go pan nazywa, mogą się znaleźć... jeszcze sprawne, zdatne całkiem — jak pan sądzi?

Patrzył na mnie, jakby nie rozumiał, co mówię.

- Takie odniosłem wrażenie — dokończyłem powoli.
- Ale to przecież nie nasza rzecz — odparł.
- Nie? A czyja?
- Robotów.

— Jak to — przecież mieliśmy kontrolować.

— Ach, nie — uśmiechnął się z ulgą, że odkrył nareszcie źródło mojej pomyłki. — To nie ma z tym nic wspólnego. Kontrolujemy synchronizację procesów, ich tempo i efektywność, ale nie wdajemy się w takie szczegóły, jak selekcja. To do nas nie należy. Poza tym, że to niepotrzebne, byłoby to zresztą niemożliwe, bo na każdego żyjącego wypada dziś przecież osiemnaście automatów; z tych około pięciu dziennie kończy swój cykl i idzie na złom. Daje to dziennie ilość rzędu dwóch miliardów ton. Sam pan widzi, że nie moglibyśmy nad tym czuwać, nie mówiąc już o tym, że struktura naszego systemu opiera się właśnie na relacji odwrotnej: automaty dbają o nas, nie my o nie...

Nie mogłem mu odmówić racji. Bez słowa podpisałem arkusze. Mieliśmy się już rozstać, kiedy nieoczekiwanie dla samego siebie spytałem go, czy produkuje się roboty człękoksztaltne.

— Właściwie nie — powiedział i dodał z ociąganiem: — Narobiły w swoim czasie trochę kłopotów...

— Jak to?

— No, zna pan przecież inżynierów! W naśladownictwie doszli do takiej perfekcji, że nie można było pewnych modeli odróżnić od żywego człowieka. Niektórzy ludzie nie mogli tego znieść...

Przypomniałem sobie naraz scenę na statku, którym przyleciałem z Luny.

— Nie mogli tego znieść?... powtórzyłem jego słowa. — Czy to było może coś w rodzaju... fobii?

— Nie jestem psychologiem, ale można to chyba tak nazwać. Zresztą to stare dzieje.

— I nie ma już takich robotów?

— Owszem, trafiają się na rakietach krótkiego zasięgu. Czy spotkał pan może takiego?...

Odpowiedziałem wymijająco.

— Zdaży pan jeszcze załatwić swoje sprawy?... — zatroskał się.

— Jakie sprawy?...

Przypomniałem sobie, że miałem rzekomo interes w mieście. Rozstaliśmy się u wyjścia ze stacji, dokąd mnie odprowadził, nie ustając w podziękowaniach, żem go wybawił z kłopotu.

Pokręciłem się po ulicach, wstąpiłem do realonu, wyszedłem, nie doczekawszy się ani połowy bzdurnego przedstawienia, i pojechałem do Klavestry w najgorszym humorze. Odprawiłem glider jakiś kilometr od willi i resztę drogi przeszedłem pieszo. Wszystko jest w porządku. To są mechanizmy z metalu, drutów, szkła, można je składać i rozkładać, mówiłem sobie, ale nie mogłem odtrącić wspomnienia owej hali, ciemności z porwanymi głosami, tego rozpaczliwego bełkotu, w którym było zbyt wiele znaczenia, zbyt wiele najzwyczajniejszego strachu. Mogłem sobie powiedzieć, że jestem od tego specjalistą, nałykałem się go dość, zgroza przed nagłym unicestwieniem nie była dla mnie fikcją, jak dla nich, dla tych roztropnych konstruktorów, którzy zorganizowali całą rzecz tak dobrze: roboty zajmowały się podobnymi sobie, do samego końca, a ludzie do niczego się nie wtrącali. Był to zamknięty obieg precyzyjnych urządzeń, które same siebie tworzyły, reprodukowały i niszczyły, a ja niepotrzebnie nasłuchiwałem się objawów mechanicznej agonii.

Zatrzymałem się na wzniesieniu. Krajobraz, w pochylonym słońcu, był nieopisanie piękny. Z rzadka glider, lśniąc jak czarny pocisk, przeleciał wstęgą szosy, celującą w horyzont, ponad którym błękitnawym konturem, złagodzone odległością, wznosiły się góry. I nagle poczułem, że nie mogę na to patrzeć; jak gdybym nie miał do tego prawa, jakby w tym było jakieś okropne, dławiące krtań oszustwo. Usiadłem wśród drzew, zamknąłem twarz w rękach, żałowałem, że wróciłem. Kiedy wchodziłem do domu, biały robot zbliżył się do mnie:

— Jest pan proszony do telefonu — powiedział konfidencjonalnie. — Długi dystans: Eurazja.

Poszedłem szybko za nim. Telefon znajdował się w hallu, tak że rozmawiając widziałem ogród przez szklaną płytę drzwi.

— Hal? — rozległ się daleki, ale wyraźny głos. — Tu Olaf.

— Olaf... Olaf!!! — powtórzyłem triumfalnym tonem. — Chłopie, gdzie jesteś!?

— W Narviku.

— Co robisz? Jak ci idzie? Dostałeś mój list?

— Jasne. Dlatego wiedziałem, gdzie cię szukać. Chwila ciszy.

— Co robisz?... — powtórzyłem, jakby mniej pewnie.

— No, co mam robić. Nic nie robię. A ty?

— Byłeś w Adapcie?

— Byłem. Ale tylko dzień. Urwałem się. Nie mogłem, wiesz...

— Wiem. Słuchaj, Olaf... wynająłem tu willę. Nie wiem sam, ale — słuchaj! Przyjedź tu!

Nie od razu odpowiedział.] Kiedy się odezwał, w jego głosie było wahanie.]

— Przyjechałbym. Może bym i przyjechał, Hal, ale wiesz przecież, co nam mówili...

— Wiem. Ale nie mogą nam przecież nic zrobić. Zresztą, niech się wypchają Przyjędź.

— Po co? Zastanów się, Hal. Może będzie...

— Co?

— Gorzej.

— Skąd wiesz, że jest mi źle?

Usłyszałem jego krótki śmiech, właściwie westchnienie: tak cicho się zaśmiał.

— A po co chcesz mnie tam ściągnąć?

Naraz przyszedł mi do głowy doskonały pomysł.

— Olaf. Słuchaj. Tu jest taki rodzaj letniska, wiesz. Willa, basen, ogród. Tylko... już wiesz przecież, jak teraz jest, wiesz, jak żyją, co?

— Trochę już wiem.

Ton, jakim wypowiedział te słowa, mówił więcej

od nich.

— Widzisz. Więc uważaj. Przyjedź tu. Ale przedtem — postaraj się o... rękawice bokserskie. Dwie pary. Będziemy sparringowali. Zobaczysz, jak będzie świetnie!

— Człowieku! Hal! Skąd ci wezmę rękawice? Przecież tego nie ma od całych lat.

— To daj zrobić. Nie powiesz mi, że nie można zrobić czterech głupich rękawic. Zrobimy sobie mały ring — będziemy się tłukli. My dwaj możemy, Olaf! Mam nadzieję, że słyszałeś już o betryzowaniu, co?

— Jasne, Powiedziałbym ci, co o tym myślę. Ale nie chcę przez telefon. Jeszcze się ktoś zgorszy.

— Słuchaj. Przyjedź. Zrobisz, jak mówiłem? Milczał długą chwilę.

— Nie wiem, czy to ma jakiś sens, Hal.

— Dobrze. Wobec tego powiedz mi, jakie masz plany. Jeżeli masz jakieś, to naturalnie nie będę ci zawracał głowy moimi zachciankami.

— Nie mam żadnych — powiedział — a ty?

— Przyjechałem niby wypocząć, dokszałcać się, czytać, ale to nie są żadne plany, to jest taki... po prostu nic innego przed sobą nie widziałem.

— Olaf?...

— Wygląda, że start mieliśmy równy — mruknął. — Hal, to w końcu nic nie jest. Przecież mogę wrócić w każdej chwili, jeżeliby się okazało, że...

— Ach, przestań! — rzuciłem niecierpliwie. — W ogóle nie ma o czym mówić. Zapakuj manatki i przyjedź. Kiedy będziesz?

— Mogę być i jutro rano. Naprawdę chcesz się boksować?

— A ty nie? Śmiał się.

— Człowieku, tak. I na pewno z tego samego powodu, co ty.

— Umowa stoi — powiedziałem pospiesznie. — Czekam na ciebie. Bywaj.

Poszedłem na górę. Poszukałem wśród rzeczy, które znajdowały się w osobnej walizce, sznura. Był duży zwój. Ringowe sznury. Tylko cztery słupki, gumy albo sprężyny, i będziemy mieli ring. Bez sędziego. Nie będzie nam potrzebny.

Potem siadłem dc książek. Ale miałem w głowie jakby cement. Miewałem go już. Przegryzałem się wtedy przez każdy tekst jak kornik przez żelazne drzewo. Ale tak ciężko nie szło mi chyba nigdy. W dwie godziny przewertowałem dwadzieścia książek i na żadnej nie mogłem zakotwiczyć uwagi dłużej niż pięć minut. Nawet bajki odrzuciłem. Postanowiłem nie folgować sobie. Wziąłem to, co wydawało mi się właśnie najtrudniejsze, monografię analizy metagenów, i rzuciłem się na pierwsze równania, jakbym głową celował w mur.

Matematyka miała jednak pewne zbawienne własności, zwłaszcza dla mnie, bo po godzinie zrozumiałem nagle, z półotwartymi ustami, i wybuchnął we mnie podziw dla tego Ferreta — jak on mógł to zrobić, przecież nawet teraz, kiedy przeszedłem drogą wytrasowaną przez niego, chwilami nie wiedziałem, jak to się dzieje, krok po kroku mogłem jeszcze, alf on musiał to przecież wziąć skokiem.

Darowałbym wszystkie gwiazdy, żeby przez miesiąc mieć w głowie coś przypominającego to, co on w niej miał.

Sygnal wyśpiewał kolację i jednocześnie coś kolnęło mnie w serce przypomnieniem, że już nie jestem tu sam. Przez sekundę rozważyłem, czy nie zjeść jej jednak na gorze. Ale ogarnął mnie wstyd. Rzuciłem pod łóżko ten okropny trykot, który robił ze mnie napompowaną małpę, włożyłem mój bezcenny stary, luźny sweter i zszedłem do jadalni. Siedzieli już przy stole. Poza kilkoma zdawkowymi grzecznościami panowało milczenie. Bo i oni właściwie nie rozmawiali. Słowa nie były im potrzebne. Porozumiewali się spojrzeniami, mówiła do niego skinieniem głowy, rzęs, przelotnym uśmiechem. I powoli zaczął we mnie narastać zimny ciężar, czułem, jak moje ręce głodnieją i chce im się ująć coś, zacisnąć, zmiażdżyć. Dlaczego jestem taki dziki? — myślałem z rozpaczą. — Dlaczego, zamiast

myśleć o książce Ferreta, o problemach ukazanych przez Starcka, zamiast troszczyć się o swoje sprawy, muszę się brać za morde, żeby nie lypać na dziewczynę jak wilk?

Ale to było jeszcze nic. Naprawdę przeląknęłam się dopiero, kiedy zamknęłam za sobą drzwi pokoju na górze. W Adapcie powiedzieli po badaniach, że jestem zupełnie normalny. Doktor Juffon powiedział mi to samo. Ale czy normalny człowiek mógł czuć to, co ja w tej chwili? Skąd mi się to wzięło? Nie byłem działającym — byłem świadkiem. Stawało się coś nieodwracalnego, jak ruch planety, prawie niedostrzegalne, powolne wynurzanie się, jeszcze bezkształtne. Podeszedłem do okna, spojrzałem w ciemny ogród i zrozumiałem, że to musiało być we mnie od obiadu, od pierwszej chwili, tylko potrzebny był pewien czas. Dlatego pojechałem do miasta, dlatego zapomniałem o głosach z ciemności.

Byłem gotów na wszystko. Dla tej dziewczyny. Nie rozumiałem, jak to się stało ani dlaczego tak jest. Nie wiedziałem, czy to jest miłość, czy obłąd. Było mi to obojętne. Nie wiedziałem nic prócz tego, że przestało się dla mnie wszystko liczyć. I walczyłem z tym — stojąc u otwartego okna — jak jeszcze nigdy z niczym; przyciskałem czoło do zimnej framugi i okropnie bałem się siebie.

Muszę coś zrobić — mówiłem samymi ustami. — Muszę coś zrobić. To pewno dlatego, że coś mi jest. To — przejdzie. Ona nie może mnie obchodzić. Nie znam jej. Nie jest nawet specjalnie ładna. Przecież nie zrobię niczego. Nie zrobię — błagałem się — nie popełnię przecież żadnej... wielkie nieba, czarne i niebieskie!

Zapaliłem światło. Olaf. Olaf mnie wyratuje. Powiem mu wszystko. Weźmie mnie. Pojedziemy gdzieś. Zrobię, co mi każe, wszystko. On jeden będzie rozumiał. Przyjedzie już jutro. Jak dobrze.

Chodziłem po pokoju. Czuję wszystkie mięśnie, jakbym był pełen zwierząt, napinały się, mocowały ze sobą, nagle ukląknęłam przy łóżku, zagryzłam zębami kołdrę i wydałam dziwny głos, niepodobny do łkania, suchy, wstrętny, nie chciałem, nie chciałem niczyjej krzywdy, ale wiedziałem, że nie mam co się okłamywać, że nie pomoże Olaf, nikt.

Wstałem. Przez dziesięć lat nauczyłem się podejmować momentalne decyzje. Musiałem decydować o życiu, swoim i innych, i robiłem to, zawsze tak samo. Wypełniał mnie wtedy chłód, mój mózg stawał się jakby urządzeniem, które jest po to, aby zliczyć za i przeciw, rozdzielić i rozstrzygnąć, nieodwołalnie. Nawet Gimma, który nie lubił mnie, przyznawał mi bezstronność. Teraz, choćbym chciał, nie umiałem postępować inaczej niż wtedy, w ostatecznościach, bo to też była ostateczność. Trafiłem oczami, w lustrze, na własną twarz, jasne, prawie białe tęczęwki, skurczone źrenice, patrzyłem z nienawiścią, odwróciłem się, nie mogłem nawet myśleć o położeniu się do łóżka. Tak, jak stałem, przerzuciłem nogi przez parapet okna. Do ziemi były cztery metry. Skoczyłem, lądując prawie bez szmeru. Pobiegłem cicho w stronę basenu. Ominąłem go. Wybiegłem na drogę. Błado fosforyzująca nawierzchnia szła ku wzgórzom, wijąc się wśród nich świetlistym węzłem, zmijką, aż jako kreska jasności zniknęła wśród mroków. Pędziłem coraz szybciej, żeby zmordować to walące tak miarowo, tak silnie serce, gnałem chyba godzinę, aż zobaczyłem na wprost wschodzące światła jakichś, domów. Zawróciłem na miejscu. Byłem już zmęczony, ale właśnie dlatego utrzymywałem tempo, mówiąc sobie bez głosu: masz! masz! masz! — biegłem tak, biegłem, aż natrafiłem na podwójny szpaler żywopłotów — znalazłem się z powrotem przed ogrodem willi.

Zatrzymałem się, dysząc ciężko, przy basenie, usiadłem na betonowym obrzeżu, opuściłem głowę i zobaczyłem odbicia gwiazd. Nie chciałem gwiazd. Nie potrzebowałem gwiazd. Byłem wariatem, szaleńcem, kiedy walczyłem o udział w ekspedycji, kiedy dawałem robić z siebie worek tryskający krwią w gawiorach, po co mi to było, dlaczego, dlaczego nie wiedziałem, że trzeba być zwykłym, najzwyklejszym człowiekiem, że inaczej nie można, nie warto żyć.

Usłyszałem szmer. Minęli mnie. Obejmował jej ramiona, szli jednym krokiem. Pochylił się. Cienie ich głów zwały się.

Powstałem. Całował ją. Obejmowała jego głowę. Widziałem blade smugi jej rąk. Wtedy wstyd, nie znany jeszcze, okropny, jak materialne ostrze przeszył mnie młodo na wylot. Ja, podróżnik gwiazdowy, towarzysz Ardera, stałem, powróciwszy, w ogrodzie i myślałem tylko o tym, żeby zabrać dziewczynę jakiemuś człowiekowi, nie znając ani jego, ani jej, bydlę, skończone bydlę, z gwiazd, gorzej, gorzej...

Nie mogłem patrzeć. I patrzałem. Nareszcie odeszli wolno, spleceni, a ja, obiegłszy basen, puściłem się przed siebie, nagle zobaczyłem wielką, czarna sylwetkę i równocześnie uderzyłem o coś rękami. To było auto. Po omacku odnalazłem drzwiczki. Gdy je otwarłem, zapaliła się lampka.

Wszystko robiłem teraz z celowym, skoncentrowanym pośpiechem, jakbym miał dokąd jechać, jakbym musiał...

Motor odezwał się. Poruszyłem kierownicę i w świetle reflektorów wyjechałem na drogę. Ręce mi się trochę trzęsły, więc zacisnąłem je mocniej na kole. Nagle przypomniałem sobie czarną skrzynkę, zahamowałem gwałtownie, aż zniosło mnie na skraj szosy, wyskoczyłem, podniosłem maskę i zacząłem jej gorączkowo szukać. Motor wyglądał zupełnie inaczej, nie umiałem jej znaleźć. Może na samym przedzie. Kable. Żeliwny blok. Kasetka. Coś nieznanego, czworobocznego — tak, to. Narzędzia, Pracowałem gwałtownie, ale uważnie; prawie nie pokrwałem rąk. Nareszcie ująłem oburącz ten ciężki, jak gdyby lity, czarny sześciąt i cisnąłem go w przydrożne krzaki. Byłem wolny. Zatrzasnąłem drzwi, ruszyłem. Już zbudził się wiatr szybkości. Rosła. Motor huczał, opony wydawały głuchy, przeszywający syk. Zakręt. Wszedłem nie zwalniając, ściałem go z lewej, wyszedłem. Drugi, ostrzejszy. Czuję jak olbrzymia siła wygniata mnie, wraz z maszyną, na zewnątrz łuku. Ale jeszcze było mi mało. Następny zakręt. W Apprenous były specjalne auta dla pilotów. Robiliśmy na nich karkołomne sztuczki, chodziło o refleks. To jest bardzo dobre ćwiczenie. Także zmysłu równowagi. Na przykład, żeby na wirażu przerzucić auto na dwa zewnętrzne koła i jechać tak jakiś czas. Umiałem to, kiedyś. I zrobiłem teraz, na pustej szosie, lecąc w rozgniataną reflektorami ciemność. Nie, żeby mi chciało się zabić. Po prostu nic mnie to nie obchodziło. Jeżeli mogę być bezwzględny dla innych, muszę być i dla siebie. Wprowadziłem auto w skręt i podniosłem je, że szło chwilę bokiem, na wrzeszczących nieludzko oponach, i znowu zarzuciłem, w przeciwną stronę, grzmotnąłem tyłem o coś ciemnego, drzewo? Już nic nie było, tylko huk motoru wyrastający z pędu i blade odbicia zegarów w szybie, i wiatr, gwizdający jadownicę. W pewnej chwili zobaczyłem naprzeciw glider, który usiłował wyminąć mnie schodząc na sam skraj szosy, mały ruch koła, przeniosło mnie obok niego, ciężka maszyna zawirowała jak bąk, głuchy łoskot, trzask dartej blachy i ciemność. Reflektory były rozbite, motor zgasł.

Wciągnąłem głęboko powietrze. Nic mi się nie stało, nie potłukłem się nawet. Spróbowałem zapalić reflektory: nic. Małe światła: lewe płonęło. W jego słabym blasku zapuściłem motor. Wóz, ciężko rżąc, wylazł chwiejnie na szosę. Była to jednak dobra maszyna, że słuchała mnie jeszcze po tym wszystkim, co z nią wyprawiałem. Puściłem się w drogę powrotną, już wolniej. Ale noga nacisnęła pedał, znowu mnie diabli ponieśli, kiedy zobaczyłem zakręt. I znowu dałem z silnika całą moc, aż z gwizdzącymi gumami, rzucony bezwładnością do przodu, zatrzymałem się tuż przed żywopłotem. Wprowadziłem maszynę w gąszcz. Ro—zepchnąwszy krzaki, oparła się o jakiś pień. Nie chciałem, żeby wiedzieli, co z niej zrobiłem, narwałem gałęzi, przyrzuciłem maskę z wyłupionymi szklami, tylko przód był strzaskany, a w tyle niewielkie zagłębienie, z pierwszego karambolu, o słup czy co tam było w ciemności.

Potem nasłuchiwałem. Dom był ciemny. Wszystko milczało. Wielka cisza nocy wznosiła się do gwiazd. Nie chciałem wracać do domu. Odszedłem od rozbitego auta, a kiedy trawa, wysoka, wilgotna trawa dotknęła moich kolan, upadłem w nią i tak zostałem, aż oczy mi się zamknęły, i zasnąłem tam.

Zbudził mnie czyjś śmiech. Znałem go. Wiedziałem, kto to jest, zanim jeszcze otwarłem oczy, od razu trzeźwy. Byłem przemoczony do nitki, wszystko ociekało od rosy — słońce stało jeszcze nisko. Niebo z kłaczkami białych obłoków. A naprzeciw mnie, na malej walizce, siedział Olaf i śmiał się. Obaj skoczyliśmy jednocześnie na równe nogi. Miał taką samą rękę, jak ja — taką wielką i twardą.

— Kiedy przyjechałeś?

— Przed chwilą.

— Ulderem?

— Tak. Ja też tak spałem... przez dwie pierwsze noce, wiesz?

— Tak?...

Przestał się uśmiechać. Ja też. Jakby coś stanęło między nami. Badaliśmy się, milcząc, wzrokiem.

Był mego wzrostu, może nawet wyższy o szerokość palca, ale szczuplejszy. Jego ciemne włosy zdradzały — w silnym świetle skandynawskie pochodzenie, a zarost miał całkiem jasny. Krzywy, pełen wyrazu nos i krótka warga górna, która od razu pokazywała zęby; oczy łatwo mu się śmiały, bladobłękitne, ciemniejąc od wesołości; cienkie wargi, z nieustającym, drobnym skrzywieniem, jakby wszystko przyjmował sceptycznie — być może ten jego wyraz sprawił, że trzymaliśmy się zrazu z daleka. Olaf był starszy ode mnie o dwa lata; jego najlepszym przyjacielem był Arder. Dopiero kiedy zginął, zbliżyliśmy się na dobre. Do końca już.

— Olaf... — powiedziałem — jesteś głodny, nie? Chodź, zjemy coś.

— Czekał — powiedział. — Co to jest? Poszedłem za jego wzrokiem.

— A, to... nic. Auto. Kupiłem, wiesz — żeby sobie przypomnieć...

— Miałeś wypadek?

— Tak. Jechałem nocą, wiesz...

— Ty miałeś wypadek? — powtórzył.

— No tak. Ale to nie ma znaczenia. Nic się zresztą nie stało. Chodź... nie będziesz przecież, z tą walizką...

Podniósł Ją. Nic już nie powiedział. Nie patrzył na mnie. Mięśnie szczęk napięły mu się kilka razy.

Poczuł coś — pomyślałem. — Nie wie, co spowodowało wypadek, ale domyśla się.

Na górze powiedziałem mu, żeby sobie wybrał, który chce z czterech wolnych pokoi. Wziął ten z widokiem na góry.

— Czemu nie chciałeś go? A, wiem — uśmiechnął się — to złoto, co?

— Tak.

Dotknął ręką ściany.

— Mam nadzieję, że zwykła? Żadnych obrazów, telewizji?

— Bądź spokojny — uśmiechnąłem się z kolei — to uczciwy mur.

Zatelefonowałem po śniadanie. Chciałem jeść z nim sam. Kawę przyniósł biały robot. I zastawioną tacę, było to bardzo obfite śniadanie. Jedliśmy milcząc. Patrzyłem z przyjemnością, jak żuł, aż poruszał mu się kosmyk włosów nad uchem. Potem Olaf powiedział:

— Palisz jeszcze?...

— Palę. Przywiozłem ze sobą dwieście papierosów. Nie wiem, co będzie potem. Na razie palę. Chcesz?

— Daj. Zapaliliśmy.

— Jak będzie? Gramy w otwarte karty? — zapytał po długiej chwili.

— Tak. Powiem ci wszystko. Ty mnie też?

— Zawsze. Ale, Hal, nie wiem, czy warto.

— Powiedz jedno: wiesz, co jest najgorsze?

— Kobiety.
Znowu milczeliśmy.
— To przez to? — spytał.
— Tak. Zobaczysz przy obiedzie. Na dole. Willa jest wynajęta w połowie przez nich.
— Przez nich?
— Młode małżeństwo.
Mięśnie szczęk znowu mu wystąpiły pod piegowatą skórę. .
— To gorzej — powiedział.
— Tak Jestem tu od przedwczoraj. Nie wiem, jak to jest, ale... już kiedy rozmawialiśmy.
Bez żadnego powodu, bez żadnych... nic, nic. Zupełnie nic.
— Ciekawe — powiedział.
— Co ciekawe?
— Ja podobnie.
— To dlaczego przyleciałeś?
— Hał, zrobiłeś dobry uczynek.— Rozumiesz?
— Tobie?
— Nie. Komuś innemu. Bo to by się dobrze nie skończyło.
— Dlaczego?
— Albo wiesz, albo nie zrozumiesz.
— Wiem. Olaf, co to jest? Czy my jesteśmy naprawdę dzicy?
— Nie wiem. Byliśmy dziesięć lat bez kobiet. Pamiętaj o tym.
— To nie tłumaczy wszystkiego. Jest we mnie, wiesz, jakaś taka bezwzględność, nie liczę się z nikim, rozumiesz?
— Jeszcze się liczysz, synu — powiedział. — Jeszcze się liczysz.
— No tak, ale wiesz, o co chodzi.
— Wiem.
Znowu milczeliśmy.
— Chcesz jeszcze gadać, czy boks? — spytał. Roześmiałem się.
— Gdzie dostałeś rękawice?
— Hał, nie zgadłbyś.
— Dałeś zrobić?
— Gdzie tam. Ukradłem.
— Nie!
— Jak niebo kocham. Z muzeum... musiałem specjalnie lecieć do Sztokholmu, wiesz?
— To chodźmy.
Wypakował swój skromny dobytek i przebrał się. Obaj narzuciliśmy płaszcze kąpielowe i zeszliliśmy na dół. Było jeszcze wcześniej. Śniadanie podaliby normalnie dopiero za pół godziny.
— Wyjdźmy lepiej na tył domu — powiedziałem. — Tam nikt nas nie zobaczy.
Zatrzymaliśmy się w okolicy wysokich krzewów. Najpierw udeptaliśmy trawę, i tak dosyć niską.
— Będzie ślisko — powiedział Olaf, przesuwając podeszwą po zaimprovizowanym ringu.
— Nie szkodzi. Będzie trudniej.
Nałożyliśmy rękawice. Było z tym trochę kłopotu, bo nie miał ich nam kto zawiązać, a nie chciałem wzywać robota.
Stał naprzeciw mnie. Miał zupełnie białe ciało.
— Nie opaliłeś się jeszcze — powiedziałem.
— Potem ci powiem, co się ze mną działo. Nie było mi do plaży. Gong.
— Gong.
Zaczęliśmy lekko. Pozorowany cios. Unik. Unik. Rozgrzewałem się. Szedłem na styk, nie

na cios. Nie chciałem go, w końcu, pobić. Byłem cięższy o dobrych piętnaście kilogramów i jego nieznacznie dłuższe ręce nie znosiły mojej przewagi, tym bardziej że i poza tym byłem lepszym bokserem. Dlatego dałem mu kilka razy dojsć, chociaż nie musiałem. Naraz opuścił rękawice. Twarz stężała mu w szczękach. Był zły.

— Tak nie — powiedział.

— O co chodzi?

— Bez zgrywy, Hal. Albo prawdziwy boks, albo żaden.

— Dobra — powiedziałem szczerząc zęby — boks! Zacząłem się trochę zbliżać. Rękawice uderzyły o rękawice, wydając ostre klaśniecia. Wyczuł, że idę serio, i podniósł gardę. Tempo rosło. Pozorowałem raz lewą, raz prawą, seriami, ostatni cios prawie zawsze lądował na jego torsie — nie nadążał. Ruszył niespodziewanie do ataku, wyszedł mu piękny prosty, poleciałem o dwa kroki. Od razu wróciłem. Okrążyliśmy się, jego cios, dałem nurka pod rękawicą, uciekłem i z półdystansu ulokowałem prawy prosty. Włożyłem się w ten cios, Olaf zmiękł, na mgnienie rozluźnił gardę, ale już wracał ostrożnie, niżej. Następna minuta upłynęła na bombardowaniu gardy. Rękawice uderzały o przedramiona, z przeraźliwym odgłosem, ale nieszkodliwie. Raz ledwo zdążyłem zrobić unik, przeschorował mi tylko rękawicą po uchu, a była to bomba, która by mnie położyła. Znów okrążyliśmy się. Dostał w pierś, tępo, odsłonił się, mogłem bić, ale nie zrobiłem ani ruchu, stałem jak sparaliżowany — była w oknie parteru, jej twarz bielała tak samo jak to, co, okrywało jej, ramiona. Był to ułamek sekundy. W następnej chwili zamroczyło mnie potężne uderzenie; upadłem na kolana.

— Przepraszam! — usłyszałem krzyk Olafa.

— Nie ma za co... był dobry... — wymamrotałem podnosząc się.

Okno było już zamknięte. Walczyliśmy dalej może pół minuty, nagle Olaf cofnął się.

— Co ci jest?

— Nic.

— Nieprawda.

— Dobra. Odechciało mi się. Nie będziesz zły?

— Skąd. To i tak nie miało sensu, żeby z miejsca... chodźmy.

Poszliśmy do basenu. Olaf skakał lepiej ode mnie. Potrafił wspaniale rzeczy. Próbowałem salta w tył ze śrubą, tak jak on, ale tylko okropnie uderzyłem udami o wodę. Siedząc na brzegu basenu zlewałem palącą jak ogień skórę wodą. Olaf się śmiał.

— Wyszedłeś z wprawy.

— Skąd. Śruby nigdy dobrze nie umiałem. Że tak potrafisz!

— To zostaje, wiesz. Ja dziś pierwszy raz.

— Naprawdę?!

— Tak. To wspaniale.

Słońce było już wysoko. Położyliśmy się na piasku, z zamkniętymi oczami.

— Gdzie... oni? — spytał po długim milczeniu.

— Nie wiem. Pewno u siebie. Ich okna wychodzą na tył domu. Nie wiedziałem o tym.

Poczułem, że się poruszył. Piasek był bardzo gorący.

— Tak, to przez to — powiedziałem.

— Widzieli nas?

— Ona.

— Przestraszyła się... — mruknął. — Co?

Nie odpowiedziałem. Znowu jakiś czas milczeliśmy.

— Hal!

— Co?

— Oni prawie nie latają już, wiesz?

— Wiem.

— Wiesz, dlaczego?

— Twierdzą, że to nie ma sensu...

Zacząłem streszczać mu to, co wyczytałem u Starcka. Leżał bez ruchu, bez słowa, ale wiedziałem, że słucha uważnie.

Kiedy skończyłem, nie od razu się odezwał.

— Shapleya czytałeś?

— Nie. Jakiego Shapleya?

— Nie? Myślałem, żeś ty wszystko czytał... To był astronom z dwudziestego wieku. Przypadkowo wpadła mi raz w ręce jedna jego rzecz, o tym właśnie. Całkiem podobne do twojego Starcka.

— Co ty mówisz? To niemożliwe. Ten Shapley nie mógł wiedzieć... najlepiej sam przeczytaj Starcka.

— Ani myślę. Wiesz, co to jest? Parawan.

— Jak to?

— Tak. Zdaje mi się, że wiem, co się stało.

— No?

— Betryzacja. Poderwało mnie.

— Myślisz?! — Otworzył oczy.

— Jasne. Nie latają — i nigdy już nie będą. Będzie coraz gorzej. Mli-mli. Jedno wielkie mli-mli. Oni nie mogą patrzeć na krew. Nie mogą myśleć o tym, co się może stać, kiedy...

— Czeka — powiedziałem — to niemożliwe. Są przecież lekarze. Muszą być chirurdzy...

— To ty nie wiesz?

— Co?

— Lekarze tylko planują operacje. Wykonują je roboty.

— Nie może być!

— Mówię ci. Sam widziałem. W Sztokholmie. — A jeżeli lekarz musi nagle interweniować?

— Nie wiem dobrze. Zdaje się, że jest jakiś środek, który znosi częściowo skutki betryzacji, na bardzo krótko, a pilnują go, że nawet nie wiesz. Ten, co mi mówił, nie chciał powiedzieć nic konkretnego. Bał się.

— Czego?

— Nie wiem, Hal. Myślę, że oni zrobili okropną rzecz. Oni zabili w człowieku — człowieka.

— No, tego nie możesz twierdzić — powiedziałem słabo. — W końcu...

— Czeka. Przecież to jest całkiem proste. Ten, kto zabija, jest przygotowany na to, że jego zabiją, nie?

Milczałem.

— I dlatego, w pewnym sensie, to jest konieczne, abyś mógł ryzykować — wszystkim. My możemy. Oni nie. Dlatego tak się nas boją.

— Kobiety?

— Nie tylko kobiety. Wszyscy. Hal! Usiadł nagle.

— Co?

— Dostałeś hipnagog?

— Hipna... ten aparat do uczenia podczas snu? Tak.

— Używałeś go?! — krzyknął prawie.

— Nie... o co chodzi?...

— Twoje szczęście... Wrzuć go do basenu.

— A co? Co to jest? Ty używałeś?

— Nie. Coś mnie skusiło i wysłuchałem tego na trzeźwo, chociaż instrukcja zabraniała. No, nie masz pojęcia!!

Ja też usiadłem.

— Co tam jest? Patrzył ponuro.

— Słodczyce. Jedna cukiernia, mówię ci. Żebyś był łagodny, żebyś był grzeczny. Żebyś się pogodził z każdą przykrością, jeśli cię ktoś nie rozumie albo nie chce być dla ciebie dobry :— kobieta, uważasz — to jest twoja wina, a nie jej. Że najwyższym dobrem jest społeczna równowaga, stabilizacja, i tak dalej, w kółko Macieju sto razy. A konkluzja: żyć cicho, pisać pamiętniki, nie do wydania, ale tak, dla siebie, uprawiać sporty i kształcić się. Słuchać starszych.

— To ma być namiastka betryzacji — mruknąłem.

— Jasne. Cała masa rzeczy jeszcze tam była: że nie można nigdy używać siły ani agresywnego tonu wobec nikogo, a już hańbą jest uderzyć kogoś, zbrodnią nawet, bo to powoduje straszny szok. Że bez względu na okoliczności nie wolno walczyć, bo tylko zwierzęta walczą, że...

— Poczekaj no — powiedziałem — a jeżeli z rezerwatu wyrwie się dzikie zwierzę... prawda... już nie ma dzikich zwierząt...

— Dzikich zwierząt nie ma — powiedział — ale są roboty.

— Co to ma znaczyć? Chcesz powiedzieć, że można im dać rozkaz zabicia?

— No tak.

— Skąd wiesz?

— Na pewno nie wiem. Ale w końcu muszą być przygotowani na ostateczność, nawet betryzowany pies może się wściec, nie?

— Ależ... ależ to — czekaj! Więc oni jednak mogą zabijać? Wydając rozkazy? Czy to nie wszystko jedno: czy ja sam zabiję, czy wydam rozkaz?

— Dla nich nie. Niby, że to tylko — in extremis, rozumiesz. W obliczu kataklizmu, zagrożenia, jak z tą wścieklizną. Normalnie to się nie zdarza. Ale gdybyśmy...

— My?

— Tak, na przykład my dwaj — jakbyśmy coś... no, rozumiesz... to, oczywiście, roboty zajmą się nami, nie oni. Oni nie mogą. Są dobrzy.

Milczał chwilę. Jego szeroka, zarumieniona od słońca i piasku pierś poruszała się szybciej.

— Hal. Żebym wiedział. Żebym ja to wiedział! Żebym... ja... to... wiedział...

— Przestań.

— Zdarzyło ci się już coś?

— Tak.

— Wiesz, o co chodzi.

— Tak. Dwie były — jedna zaprosiła mnie, od razu jak wyszedłem z dworca, a właściwie nie. Zabłądziłem na tym przeklętym dworcu. Wzięła mnie do siebie.

— Wiedziała, kto jesteś?

— Powiedziałem jej. Najpierw się bała, potem... jakby awanse — z litości — czy co, nie wiem — a potem przestraszyła się na dobre. Poszedłem do hotelu. Na drugi dzień... wiesz, kogo spotkałem? Roemera!

— Nie opowiadaj! Ileż on ma, sto siedemdziesiąt lat!

— Nie, to jego syn. Zresztą i tak ma prawie półtora wieku. Mumia. Coś okropnego. Rozmawiałem z nim. I wiesz? On nam zazdrości...

— Jest czego.

— On tego nie rozumie. No, i tak. A potem jedna aktorka. Nazywają je realistki. Była mną zachwycona: prawdziwy pitekanthrop! Pojechałem do niej, a na drugi dzień uciekłem stamtąd. To był pałac. Wspaniałe. Rozkwitające meble, chodzące ściany, łóżka odgadujące myśli i życzenia... tak.

— Mhm. Nie bała się, co?

— Prawda. Bała się, ale wypła coś — nie wiem, co to było, może jakiś narkotyk. Perto czy tak jakoś.

— Perto?!

— Tak. Wiesz, co to jest? Piłeś?

— Nie — powiedział wolno. — Nie piłem. Ale tak właśnie nazywa się to, co znosi...

— Betryzację? Nie może być!

— Tak mi powiedział ten gość.

— Kto?

— Nie mogę ci powiedzieć, dałem słowo.

— Dobra. To dlatego... dlatego ona... Zerwałem się.

— Siadaj.

— Usiadłem.

— A ty? — powiedziałem. — Bo ja wciąż tylko o sobie..

— Ja? Nic. To znaczy — nic mi nie wyszło. Nic... — powtórzył jeszcze raz.

Milczałem.

— Jak się nazywa ta miejscowość? — spytał.

— Klavestra. Ale właściwie miasteczko jest o parę mil stąd. Wiesz co, pojedźmy tam. Chciałem dać auto do naprawy. Wrócimy na przelaj — pobiegamy trochę. Co?

— Hal — powiedział wolno — stary koniu...

— Co?

Jego oczy uśmiechały się.

— Diabła chcesz wypędzić lekkoatletyką? Osioł jesteś.

— Zdecyduj się, albo koń, albo osioł — powiedziałem. — Co w tym złego?

— To, że się nie uda. Dotknąłeś któregoś z nich?

— Czy... czy obraziłem? Nie. Dlaczego?

— Nie. Czy dotknąłeś. Zrozumiałem dopiero teraz.

— Nie było powodu. A co?

— Nie radzę ci.

— Dlaczego?

— Bo to jest zupełnie, jakbyś się zamachnął na mamkę. Rozumiesz?

— Mniej więcej. Miałeś jakąś awanturę? Staralem się nie okazać zdziwienia. Olaf był na pokładzie jednym z najbardziej opanowanych.

— Tak. Wyszedłem na ostatniego idiotę. To było w pierwszym dniu. A właściwie w nocy. Nie mogłem wyjść z poczty — tam nie ma drzwi, tylko takie wirujące... widziałeś to?

— Obrotowe drzwi?

— Skąd. To ma, zdaje się, coś wspólnego z tą ich usługową grawitacją, wiesz. Jednym słowem, kręciłem się jak w garnku, a jeden facet z dziewczyną pokazywał mi i śmiał się...

Poczułem, że skóra na twarzy robi mi się jakby ciasna.

— To nie szkodzi, że mamka — powiedziałem. — Mam nadzieję, że nie będzie się już śmiał.

— Nie. Ma złamany obojczyk.

— Nic ci nie zrobili?

— Nie. Bo dopiero co wysiadłem z maszyny, a on mnie sprowokował — nie uderzyłem go od razu, Hal. Skąd, spytałem tylko, co w tym śmiesznego, skoro nie było mnie tu tak długo, a on znów się zaśmiał i powiedział, pokazując palcem do góry: A, z tego małego cyrku?

— Z „małego cyrku”?

— Tak. I wtedy...

— Czekał. Dlaczego z „małego cyrku”?

— Nie wiem. Może słyszał, że astronautów kręca w centryfugach. Nie wiem, bo nie rozmawiałem z nim już... No, i tak. Puścili mnie, tylko odtąd Adapt na Lunie ma dokładniej obrabiać przybyszów.

— Czy ktoś ma jeszcze wrócić?

— Tak. Grupa Simonadiego, za osiemnaście lat.
— To mamy czas.
— Masę.
— Ale są łagodni, przyznasz — powiedziałem. — Złamałeś mu obojczyk i puścili, cię tak...
— Mam wrażenie, że przez ten cyrk — powiedział. — Im samym jest wobec nas... wiesz, jak. Przecież nie są głupi. Zresztą byłby skandal. Hal, człowieku — ty nic nie wiesz.
— No?
— Wiesz, dlaczego nie ogłosili nic o naszym przybyciu?
— Coś było podobno w realu. Nie widziałem, ale ktoś mi mówił.
— Tak, było. Umarłbyś ze śmiechu, jakbyś to zobaczył. „Wczoraj w godzinach porannych powróciła na Ziemię ekipa badaczy przestrzeni pozaplanetarnej. Jej członkowie mają się dobrze. Przystąpiono do opracowania wyników naukowych wyprawy”. Koniec, kropka, punkt.
— Nie może być?
— Słowo. A wiesz, czemu to zrobili? Bo się nas boją. Dlatego rozrzucili nas po całej Ziemi.
— Nie. Tego nie rozumiem. Przecież to nie są idioci. Sam mówiłeś przed chwilą. Nie myślą przecież, że naprawdę jesteśmy drapieżnikami, że będziemy się rzucać ludziom do gardła?!
— Gdyby tak myśleli, nie wypuściliby nas. Nie, Hal. Chodzi nie o nas. Chodzi o coś więcej. Jak możesz tego nie rozumieć?
— Widocznie zgłupiałem. Mów.
— Ogół nie zdaje sobie z tego sprawy...
— Z czego?
— Z tego, że ginie duch eksploracji. Że nie ma wypraw, o tym wiedzą. Ale nie myślą o tym. Myślą, że nie ma wypraw, bo są niepotrzebne, i tyle. Ale są tacy, którzy doskonale widzą i wiedzą, co się dzieje, jakie to będzie miało konsekwencje. Jakże już ma.
— No?
— Mli–mli. Mli–mli po wiek wieków. Już nikt nie polecą do gwiazd. Już nikt nie zaryzykuje niebezpiecznego eksperymentu. Już nikt nie wypróbuje na sobie nowego lekarstwa. Co, nie wiedzą o tym? Wiedzą! I gdyby się ogłosiło, kto my jesteśmy, cośmy? zrobili, po cośmy lecieli, co to było, to nigdy, rozumiesz, nigdy nie udałoby się ukryć tej tragedii!!
— Mli–mli? — spytałem, używając jego skrótu; być może wydałby się słuchającemu tej rozmowy śmieszny, ale nie było mi do śmiechu.
— Jasne. A co, to nie jest tragedia twoim zdaniem?
— Nie wiem. Ol, słuchaj. W końcu, uważasz, dla nas to musi być i zostanie już czymś wielkim. Jesteśmy dali sobie wyjąć te lata — i wszystko — no, to uważamy, że to jest najważniejsze. Ale może nie jest. Trzeba być — obiektywnym. Bo powiedz sam: cośmy działali?
— Jak to, co?
— No, wyładuj worki. Wysyp to wszystko, coś przywiózł z Fomalhaut.
— Zwariowałeś?
— Wcale nie zwariowałem. Jakie są korzyści z tej wyprawy?...
— Myśmy byli pilotami, Hal. Spytaj Gimę, Thurbera.
— Ol, nie zwracaj głowy. Byliśmy tam razem i doskonale wiesz, co oni robili, co robił Venturi, nim zginął, co robił Thurber — no, czego tak patrzysz? Cośmy przywieźli? Cztery fury różnych analiz, spektralnych, siakich, owakich, próbki minerałów, potem jest ta żywnia czy metaplazma, czy jak się to świństwo z bety Arktura nazywa. Normers zweryfikował

swoją teorię zawirowań grawimagnetycznych i jeszcze okazało się, że na planetach typu C Meoli mogą istnieć nie tri-, ale tetraploidy silikonowe, na tym księżycu, gdzie omal nie skończył się Arder, nie ma nic oprócz parszywej lawy i bąbli wielkości drapacza chmur. I po to, żeby się przekonać, że ta lava zastyga w takie wielkie, cholerne bąble, myśmy wyrzycali dziesięć lat i wrócili tu, żeby być pośmiewiskiem i dziwolągami z panopticum; to po jaką jasną cholere myśmy tam leżli? Może mi to powiesz? Po co nam to było?...

— Powoli — powiedział.

Byłem zły. I on był zły. Oczy mu się zwięziły. Pomyślałem, że jeszcze się pobijemy, i wargi zaczęły mi drgać. I wtedy, nagle, on też się uśmiechnął.

— Jesteś starym koniem — powiedział. — Umiesz doprowadzić człowieka do wściekłości, wiesz?

— Do rzeczy, Olaf. Do rzeczy.

— Co do rzeczy? Sam mówisz od rzeczy. A jakbyśmy przywieźli słonia, co ma osiem nóg i mówi samą algebrą, to co, byłbyś zadowolony? Czego ty się spodziewałeś na tym Arkturze? Raju? Bramy triumfalnej? O co ci chodzi? Przez dziesięć lat nie słyszałem od ciebie tylu bzdur, ile powiedziałeś teraz, w jednej minucie. Wciągnąłem powietrze.

— Olaf, robisz ze mnie idiotę. Wiesz, o co mi szło. Szło mi o to, że bez tego ludzie mogą żyć...

— Ja myślę! Jeszcze jak.

— Czekaj. Mogą żyć, i nawet, jeśli jest tak, jak mówisz, że przestali latać z powodu betryzacji; to czy było warto, czy godziło się zapłacić taką cenę — to jest dopiero problem do rozwiązania, mój kochany.

— Tak? A powiedzmy, że się ożenisz. Co tak patrzysz? Nie możesz się ożenić? Możesz. Ja ci mówię, że możesz. I będziesz miał dzieci. No. i zanieiesz je do betryzacji z pieśnią na ustach. Co?

— Nie z pieśnią. Ale co mógłbym zrobić? Nie mogę prowadzić wojny z całym światem...

— No, to szczęście ci niebo czarne i niebieskie — powiedział. — A teraz, jak chcesz, możemy jechać do miasta...

— Dobra — powiedziałem — obiad będzie za dwie i pół godziny, to zdążymy.

— A jakbyśmy nie zdążyli, to już nic nie dadzą?...

— Dadzą, tylko...

Zarumieniłem się pod jego wzrokiem. Jakby tego nie widząc, zajął się otrząsaniem piasku z bosych nóg. Poszliśmy na górę i przebrawszy się pojechaliśmy autem do Klavestry. Ruch na szosie był spory. Pierwszy raz zobaczyłem kolorowe glidery, różowe i biało-cytrynowe. Odnależliśmy warsztat mechaniczny. Wydało mi się, że widzę zdumienie w szklanych oczach robota; który oglądał strzaskany wóz. Zostawiliśmy go i wrócili pieszo. Okazało się, że są dwie Klavestry, stara i nowa; w starej, lokalnym ośrodku przemysłowym, byłem poprzedniego, dnia z Margerem. Ta nowa, modna miejscowość letniskowa, roiła się od ludzi, wyłącznie prawie młodych, często kilkunastolatek. W jaskrawych, błyszczących strojach chłopcy wyglądali całkiem jak poprzebierani za żołnierzy rzymskich, bo te materiały lśniły w słońcu jak kuse pancerzyki. Dużo dziewcząt, przeważnie ładnych, nieraz w plażówkach, śmielszych od wszystkiego, co dotąd widziałem. Idąc z Olafem czułem na sobie wzrok całej ulicy. Kolorowe grupki zatrzymywały się na nasz widok pod palmami. Byliśmy wyżsi od wszystkich, ludzie stawali, oglądali się, strasznie to było głupie uczucie.

Kiedyśmy wyszli już na szosę i skręcili polarni na południe, w kierunku domu, Olaf otarł czoło chustką. Ja też się trochę spociłem.

— Niech to cholera weźmie — powiedział.

— Zachowaj na lepszą okazję... Uśmiechnął się kwaśno.

— Hal!

— Co?

— Wiesz, jak to wyglądało? Jak scena z filmowego atelier. Rzymianie, kurtyzany i gladiatorzy.

— Gladiatorzy to my?

— Właśnie.

— Lecimy? — powiedziałem.

— Lecimy.

Biegliśmy polami. Było tego coś pięć mil. Ale wzięliśmy za dużo w prawo i musieliśmy się trochę wrócić. I tak zdążyliśmy się jeszcze wykapać przed obiadem.

V

Zapukałem do pokoju Olafa.

— Jeżeli swój, to wejdź — usłyszałem jego głos.

Stał nagi na środku i z trzymanej flaszki natryskiwał tors jasnożółtym, natychmiast krzepnącym puszyście płynem.

— To ta płynna bielizna, co? — powiedziałem. — Jak możesz to robić?

— Nie wzięłem drugiej koszuli — mruknął. — Nie lubisz tego?

— Nie. A ty?

— Podarła mi się koszula.

Na moje zdziwione spojrzenie dodał z grymasem:

— Ten uśmiechnięty facet, wiesz.

Nic już nie powiedziałem. Włożył swoje stare spodnie — pamiętałem je z „Prometeusza” — i zeszedliśmy na dół. Na dole były tylko trzy nakrycia, i nikogo w jadalni.

— Będzie nas czworo — zwróciłem się do białego robota.

— Nie, proszę pana. Pan Marger wyjechał. Pani, pan i pan Staave jesteście we troje. Mam podawać, czy czekać na panią?

— Chyba zaczekamy — pospieszył z odpowiedzią Olaf.

Pocziwy chłop. Dziewczyna właśnie weszła. Miała na sobie te samą spódniczkę, co wczoraj, włosy trochę wilgotne, jakby wyszła dopiero co z wody. Przedstawiłem jej Olafa, był spokojny i godny. Nigdy nie umiałem być taki godny jak on.

Rozmawialiśmy trochę. Powiedziała, że jej mąż musi każdego tygodnia wyjeżdżać na trzy dni w związku ze swoją pracą, i że woda w basenie, mimo słońca, nie jest taka ciepła, jak mogłaby być. Ale ta rozmowa prędko urwała się i chociaż bardzo się wysiłałem, nie mogłem niczego wymyślić; pograżyłem się w milczeniu i tylko jadłem, mając ich tak kontrastujące sylwetki naprzeciw siebie. Zauważyłem, że Olaf przypatrywał się jej, ale tylko wtedy, gdy mówiłem do niej i patrzyła w moją stronę. Jego twarz była bez żadnego wyrazu. Jakby myślał przez cały czas o czymś innym,

Pod koniec obiadu przyszedł biały robot i powiedział, że woda w basenie będzie ogrzana na wieczór, jak sobie tego życzyła pani Marger. Pani Marger podziękowała i poszła do siebie. Zostaliśmy we dwóch. Olaf popatrzał na mnie i znowu okropnie się zaczerwieniłem.

— Jak to jest — rzekł Olaf, wtykając w usta papierosa, którego mu podałem — że gość, który potrafi wleźć w tę cuchnącą dziurę na Kerenei, stary koń — nie, nie koń — stary nosorożec, raczej, stu pięćdziesięcioletni, zaczyna...

— Proszę cię, przestań — mruknąłem. — Jak chcesz wiedzieć, to jeszcze raz wślazłbym tam...

Nie dokończyłem.

— Nie. Już nie będę. Słowo daję. Ale wiesz, Hal, muszę powiedzieć, że rozumiem cię. I głowę dam, że nie wiesz nawet, dlaczego...

Pokazałem głową w stronę, w którą odeszła.

— Dlaczego?... — Tak. Wiesz?

— Nie. Ty też nie.

— Wiem. Powiedzieć?

— Proszę. Ale bez żadnych świństw.

— Tyś naprawdę zwariował! — oburzył się Olaf. — To jest proste. Tylko ty zawsze miałeś ten defekt — nie widziałeś tego, co pod nosem, tylko tam, daleko, te różne Cantory, Korbazyleusze...

— Nie popisuj się.

— Ja wiem, że to szczeniacki styl, ale myśmy się zatrzymali w rozwoju, kiedy dociągnęli

za nami tych sześćset osiemdziesiąt śrub, wiesz?

— Wiem, i co dalej?

— Że ona jest zupełnie jak dziewczęta z naszych czasów. Nie ma tego czerwonego świństwa w nosie ani tych talerzy na uszach, ani świecących kłaków na głowie, nie kapie od złota, dziewczyna, jaką mogłem spotkać w Ceberto czy Apprenous. Zupełnie podobne pamiętam. To wszystko.

— Niech mnie diabli wezmą — powiedziałem cicho. — Chyba tak. Tak. Tak, tylko jest jedna różnica.

— No?

— To, co ci już powiedziałem. Na samym początku. Nie zachowywałem się tak wtedy. I prawdę mówiąc, nie wyobrażałem sobie... miałem się za spokojną, cichą wodę.

— Rzeczywiście. Szkoda, że nie zrobiłem ci zdjęcia,, jak wylazłeś z tej dziury na Kerenei. Zobaczyłbyś tę cichą wodę. Człowieku, myślałem, że... ech!

— Puśćmy w trąbę Kereneię, jej wszystkie jaskinie i całą resztę — zaproponowałem. — Wiesz, Olaf, zanim tu przyjechałem, byłem u jednego doktora, Juffon się nazywa, bardzo sympatyczny facet. Osiemdziesiątkę przeszedł, ale...

— To już nasz los — zauważył spokojnie Olaf. Wydmuchiwał dym i patrząc, jak rozplywa się nad kitą bladoliliowych kwiatów, podobnych do rozrosłego hiacyntu, ciągnął: — Najlepiej nam wśród taaakich staruszków. Z taaaką brodą. Jak o tym pomyślę, to mnie aż trzęsie. Wiesz co? Kupmy sobie kojec kur, będziemy im karki kręcić.

— Przestałbyś się wygłupiać. Więc ten doktor, wiesz, powiedział mi sporo mądrych rzeczy. Że rodziny nie mamy, przyjaciół rówieśnych nie możemy mieć — i zostają nam tylko kobiety, ale o jedną kobietę jest teraz trudniej niż o wiele. I miał rację. Przekonałem się już.

— Hał, ja wiem, że ty jesteś mądrzejszy ode mnie. Ty zawsze lubieś różne takie — niesłychaństwa. Żeby to było cholernie trudne i żebyś nie mógł najpierw, żebyś trzy razy wylazł ze skóry, i dopiero wtedy. Inaczej ci nie smakowało. Nie patrz tak na mnie. Ja się ciebie nie boję, wiesz?

— Chwała Bogu. Jeszcze by tego brakowało.

— Więc... co to ja chciałem powiedzieć? Aha. Wiesz, myślałem, początkowo, że ty, chcesz być sobie sam i dlatego tak wkuwasz, że ty chcesz być czymś więcej niż pilotem i facetem od tego, żeby skrzynia grała. Czekałem tylko, kiedy zaczniesz zadzierać nosa. A nawet muszę powiedzieć, jak zaginałeś Normersa i Venturiego tymi różnościami twoimi i wdawałeś się ścichapek w te takie uczone dyskusje, wiesz, to myślałem, że już zaczynasz. Ale potem był ten wybuch, pamiętasz?

— Ten w nocy.

— Tak. I Kereneia, i Arktur, i ten księżyc. Kochany, ten księżyc jeszcze mi się czasem śni, a raz to naprawdę zleciałem przez to z łóżka. No, ten księżyc! Tak, ale co — widzisz. Sklerozę widać mam. Wciąż zapominam... Ale potem było to wszystko i przekonałem się, że tobie nie o to szło. Tylko ty tak lubisz, nie umiesz inaczej. Pamiętasz, jak prosiłeś Venturiego o jego prywatny egzemplarz tej książki, tej czerwonej takiej, co to było?

— Topologia hiperprzestrzeni.

— To, to. I on powiedział „to dla pana za trudne, Bregg. Pan nie ma przygotowania...”

Roześmiałem się, bo tak doskonale udał głos Venturiego.

— On miał rację, Olaf. To było za trudne.

— Tak, wtedy, ale potem dałeś temu radę, nie?

— Dałem. Ale... bez satysfakcji. Wiesz, czemu. Biedak, ten Venturi...

— Nic nie mów. Nie wiadomo, kto kogo ma żałować — w świetle dalszych wypadków...

— On już nie może nikogo żałować. Tyś był wtedy na górnym pokładzie, co?

— Ja!? Na górnym? Człowieku, stałem obok ciebie!

— Prawda. Gdyby nie wypuścił wszystkiego naraz w chłodzenie, może skończyłoby się na

poparzeniach. Tak, jak było z Arnem. Musiał stracić głowę.

— Rzeczywiście. Nie, ty jesteś doskonały! Przecież Arne i tak zginął!

— Pięć lat później. Pięć lat to zawsze pięć lat.

— Takich lat?

— Teraz ty sam tak mówisz, a przedtem, nad wodą, jak zacząłem podobnie, to na mnie wsiadłeś.

— Bo to było nie do wytrzymania, ale wspaniałe też. No, przyznaj. Powiedz sam — zresztą, co masz mówić. Jak wylazłeś z tej dziury na Ke...

— Daj już nareszcie święty spokój tej dziurze!

— Nie dam. Nie dam, bo wtedy dopiero zrozumiałem, co w tobie siedzi. Myśmy się jeszcze nie znali tak, jak potem. Jak Gimma powiedział mi, to było po miesiącu, że Arder leci z tobą, to myślałem, że — no, nie wiem! Poszedłem do niego, ale nic nie mówiłem. On naturalnie wyczuł z miejsca. — Olaf — powiedział mi — nie gniewaj się. Ty jesteś moim najlepszym przyjacielem, ale teraz lecę z nim, nie z tobą, bo... — wiesz, jak powiedział?

— Nie — powiedziałem. Gardło miałem ściśnięte.

— Bo on jeden zszedł na dół. On jeden. Nikt nie wierzył, że tam można zejść. On sam nie wierzył. — Ty, wierzyłeś, że wrócisz?

Milczałem.

— Widzisz, draniu jeden! On albo wróci ze mną, powiedział, albo żaden z nas...

— I wróciłem sam... — powiedziałem.

— I wróciłeś sam. Nie poznałem cię. Jak ja się wtedy przestraszyłem! Byłem na dole, przy pompach.

— Ty?

— Ja. Patrzę — ktoś obcy. Zupełnie obcy gość. Pomyślałem, że to halucynacja... miałeś nawet skafander całkiem czerwony.

— To była rdza. Przewód mi pękł.

— Wiem. Ty mi mówisz? Przecież to ja łątałem później ten przewód. Jak ty wyglądałeś... No, ale potem dopiero...

— To z Gimną?

— Tak. Tego nie ma w protokołach. I taśmy wycięli, po tygodniu, sam Gimma, zdaje się. Myślałem, że go zabijesz, wtedy. Czarne niebo.

— Nie mów mi o tym — powiedziałem. Czuję, że chwila, a zacznę drzeć. — Nie mów mi, Olaf. Proszę

cię.

— Nie histeryzuj. Arder był mi bliższy niż tobie.

— Co znaczy bliższy, dalszy, co to ma za znaczenie! Bałwan jesteś. Gdyby Gimma dał mu rezerwowy wkład, on by tu siedział z nami! Gimma oszczędzał wszystkiego, bał się, że nie będzie miał tranzystorów, a tego, że ludzi nie będzie miał, to się nie bał! Ja...

Urwałem.

— Olaf! to czyste szaleństwo. Dajmy spokój.

— Hał, my widać nie możemy dać spokoju. Przynajmniej, jak długo jesteśmy razem. Gimma już nigdy potem nie...

— Daj mi spokój z Gimną, Olaf. Olaf! Koniec. Kropka. Nie chcę słyszeć więcej ani słowa!

— A o mnie też nie wolno mi mówić? Wzruszyłem ramionami. Biały robot chciał zebrać ze stołu, ale zjrzał tylko z hallu i odszedł. Może sploszyły go nasze podniesione głosy. — Hał, powiedz. Czego ty się złościś właściwie?

— Nie udawaj.

— Nie, naprawdę.

— Jak to, czego? Przecież to było przeze mnie...

— Co przez ciebie?
— Z Arderem.
— Coo?
— Jasne. Gdybym od razu się postawił, nimeśmy wystartowali, Gimma dałby...
— No wiesz! Skąd mogłeś wiedzieć, że nawali mu akurat radio? A gdyby coś innego?
— Gdyby. Gdyby. Ale nie było żadnego gdyby. To było radio.
— Czekał. To ty z tym łąziłeś przez sześć lat i nawet nie pisałeś?
— Co miałem mówić? Myślałem, że to jasne — nie?
— Jasne! Czarne niebo! Co ty mówisz, człowieku! Opamiętaj się. Jakbyś to powiedział, to każdy postukałby się w czoło. A jak Ennessonowi odfokalizował się pęk, to też ty? Co?
— Nie. On... przecież rozogniskowanie zdarza się...
— Ja wiem. Wiem wszystko. Tyle, co ty. Nie bój się. — Hał, nie będę miał spokoju, dopóki mi nie powiesz...
— Co znowu? .
— Że to ci się ubrdalo. To kompletny nonsens. Arder sam by ci to powiedział, jakby mógł.
— Dziękuję.
— Hał, bo jak cię strzele...
— Uważaj. Jestem cięższy.
— Ale ja jestem bardziej zły, rozumiesz? Bałwanie!
— Olaf, nie krzycz tak. Nie jesteśmy tu sami.
— Dobra. Już. No, to była bzdura czy nie?
— Nie.
Olaf wciągnął powietrze, aż mu pobieleły nozdrza.
— Dlaczego nie? — spytał prawie słodko.
— Bo już przedtem zauważyłem tę... tę zaciśniętą garść Gimmy. Moim obowiązkiem było przewidzieć to i wziąć Gimnę za twarz od razu, a nie, jak wróciłem z klepsydrą Ardera. Byłem za miękki. Dlatego.
— No dobrze. Dobrze. Ty byłeś za miękki... Tak? Nie! Ja... Hał! Ja nie mogę. Odjeżdżam. Zerwał się od stołu, ja też.
— Czyś ty zwariował! — krzyknąłem — odjeżdża! Rzeczywiście. Przez to, że...
— Tak. Tak. Mam wysłuchiwać twoich urojeń? Ani myślę. Arder nie odpowiadał: Tak?
— Daj spokój.
— Nie odpowiadał, co?
— Nie odpowiadał.
— Mógł mieć ulot? Milczałem.
— Mógł mieć tysiąc innych rodzajów awarii? A może wszedł w pasmo echowe? Może wygasilo mu sygnał, jak stracił kosmiczną, w turbulencjach? Może rozmagnesowało mu emitory, nad plamą, i...
— Dosyć.
— Nie przyznasz mi racji? Możesz się wstydić.
— Przecież nic nie mówiłem.
— A, tak. Więc mogło się zdarzyć cokolwiek z tego, .co powiedziałem?
— Mogło...
— To dlaczego upierasz się, że to było radio, radio i nic, tylko radio?
— Może masz rację... — powiedziałem. Poczulem się okropnie zmęczony i zrobiło mi się wszystko jedno.
— Może masz słusznosc... — powtórzyłem. — Radio... było po prostu najprawdopodobniejsze, wiesz... Nie. Nic już nie mów. I tak mówiliśmy o tym dziesięć razy więcej, niż trzeba. Najlepiej nic nie mówić.
Olaf podszedł do mnie.

— Koniu... — powiedział — ty koniu nieszczęsny... za dużo masz tego dobrego, wiesz?
— Jakiego dobrego znowu?
— Poczucia odpowiedzialności. We wszystkim trzeba znać miarę. Co masz zamiar zrobić?
— Z czym...
— Wiesz, z czym...
— Nie wiem.
— Jest niedobrze, co?
— Gorzej nie może być.
— Nie pojechałbyś ze mną? Albo gdzieś — sam. Jakbyś chciał, pomogę ci to urządzić.
Rzeczy mogę wziąć albo zostawisz je, albo...
— Myślisz, że powinienem wiać?
— Nic nie myślę. Ale kiedy tak na ciebie patrzę, jak odrobinę wyjdiesz z siebie, troszeczkę, wiesz, tak jak przed chwilą... to...
— To co?
— To zaczynam myśleć.
— Nie chcę stąd jechać. Wiesz, co ci powiem? Nie ruszę się stąd. Chyba, że...
— Co?
— Nic. Ten tam, w warsztacie, co on mówił? Kiedy ma być wóz? Jutro czy jeszcze dzisiaj?
Bo zapomniałem.

— Jutro rano.
— Dobra. Popatrz: zmierzcha już. Przegawędziliśmy sobie całe popołudnie...
— Daj ci niebo mniej takich pogawędek!
— Żartowałem. Idziemy do wody?
— Nie. Poczytałbym coś. Dasz mi?
— Bierz wszystko, co chcesz. Umiesz się obchodzić z tym szklanym zbożem?
— Tak. Mam nadzieję, że nie masz tego... tego czytacza, z takim głosikiem lukrowym.
— Nie, mam tylko opton.
— Dobra. To sobie wezmę. Będziesz siedział w basenie?
— Tak. Ale pójdę z tobą na górę, muszę się przebrać.

Dałem mu parę książek, głównie historycznych i jedną rzecz o stabilizowaniu dynamiki populacyjnej, bo go to interesowało. I biologię, z dużą pracą o betryzacji. A sam przebrałem się i zacząłem szukać slipów, które gdzieś mi się zapodziały. Nie mogłem ich znaleźć. Wziąłem więc czarne slipy Olafa, narzuciłem płaszcz kąpielowy i wyszedłem z domu.

Słońce zaszło już. Od zachodu ciągnęła ławica chmur, wygaszając jaśniejszą część nieba. Porzuciłem płaszcz na piasku, wystygłem z dziennego upału. Usiadłem dotykając końcami palców wody. Rozmowa poruszyła mnie bardziej, niż chciałem to przyznać. Śmierć Ardera tkwiła we mnie jak drzazga. Może Olaf miał słuszność. Może to tylko prawo pamięci, nie pogodzonej nigdy...

Wstałem i skoczyłem płasko, bez rozmachu, głową w dół. Woda była ciepła, a ja przygotowałem się na zimną i zgłupiałem trochę z zaskoczenia. Wypłynąłem. Była zbyt ciepła, jakbym pływał w zupie. Wyłaziłem po przeciwnej stronie, zostawiając na startowym słupku ciemne od wilgoci ślady rąk, kiedy coś kolnęło mnie w serce. Historia Ardera przeniosła mnie w całkiem inny świat, a teraz, może dlatego, że woda była ciepła, że miała być ciepła, przypomniałem sobie dziewczynę i było to zupełnie, jakbym przypomniał sobie coś przeraźliwego, nieszczęście, któremu nie mogę podolać — a muszę.

Może to też mi się tylko ubrdalo. Obracałem w głowie tę myśl, niepewnie, skulony w zapadającym zmroku. Ledwo widziałem już własne ciało, opalenizna kryła mnie w ciemności, chmury wypełniły całe niebo i niespodzianie, zbyt szybko, zapadła noc. Od strony domu zbliżało się coś białego. To był jej czepek. Ogarnęła mnie panika. Podniosłem się wolno, chciałem po prostu uciec, ale dostrzegła mnie na tle nieba.

— Panie Bregg? — odezwała się cicho.

— To ja. Chce się pani kapać? Nie... przeszkadzam. Już idę...

— Dlaczego? Nie przeszkadza mi pan... ciepła woda?

— Tak. Jak na mój gust, zanadto — powiedziałem. Podeszła do krawędzi i skoczyła lekko. Widziałem tylko jej zarys. Kostium był ciemny. Plusnęło. Wynurzyła się tuż u moich nóg.

— Okropna! — zawołała, wyparskując wodę. — Co on zrobi... trzeba napuścić zimnej. Nie wie pan, jak to się robi?

— Nie. Ale zaraz się dowiem.

Skoczyłem nad jej głową. Spłynąłem w dół, nisko, aż wyciągniętymi rękami dotknąłem dna, i zacząłem płynąć nad nim, co chwila dotykając betonu. Pod wodą, jak się to zwykle dzieje, było trochę jaśniej niż na powietrzu, tak że udało mi się wypatrzeć wloty rur. Znajdowały się w ścianie na wprost domu. Wypłynąłem, już trochę bez tchu, bo długo nurkowałem.

— Bregg!! — usłyszałem jej głos.

— Jestem tu. Co się stało?

— Przestraszyłam się... — powiedziała ciszej.

— Czego?

— Tak długo pana nie było...

— Już, wiem gdzie, zaraz to zrobimy! — odkrzyknąłem i pobiegłem w stronę domu. Mogłem być sobie darować to bohaterskie nurkowanie, krany znajdowały się na widoku, w kolumieńce opodal werandy. Puściłem zimną wodę i wróciłem nad basen.

— Już. To musi trochę potrwać...

— Tak.

Stała pod skocznia, a ja — przy krótszej ścianie basenu, jakbym się bał zbliżyć. Podeszedłem więc do niej, powoli, jak od niechcenia, Przywykałem już do ciemności'. Mogłem rozróżnić rysy jej twarzy. Patrzyła w wodę. Było jej bardzo ładnie w tym białym czepku. I wyglądała na wyższą, niż ubrana.

Sterczałem tak obok niej, aż to się stało niezręczne. Może dlatego usiadłem naraz. Klocu! — wymyślałem sobie. Ale nic nie wymyśliłem. Chmury gęstniały, ciemność rosła, lecz nie wyglądało mi na deszcz. Było dość chłodno.

— Nie zimno pani?

— Nie. Panie Bregg?

— Tak?

— Jakoś nie przybywa...

— Bo otworzyłem wypust... chyba będzie dosyć. Zamknę.

Kiedy wracałem od domu, przyszło mi do głowy, że mógłbym zawołać Olafa. Omal się nie roześmiałem w głos: takie to było głupie. Bałem się jej.

Skoczyłem płasko i zaraz wypłynąłem.

— Chyba już. Może przedobrzyłem, proszę powiedzieć, mogę dopuścić ciepłej...

Woda opadała teraz wyraźnie, bo odpływ wciąż jeszcze był otwarty. Dziewczyna — widziałem jej smukły cień na tle chmur — jak gdyby wahała się. Może się jej odechciało, może wróci do domu, błysło mi, i odczułem jakby ulgę. W tej chwili skoczyła na nogi i krzyknęła lekko, bo było tam już całkiem płytko — nie zdążyłem jej ostrzec. Musiała porządnie uderzyć stopami w dno, zachwiała się, ale nie upadła. Rzuciłem, się w jej stronę.

— Zrobiła sobie pani coś?

— Nie.

— To przeze mnie. Jestem bałwan.

Staliśmy po pas w wodzie. Popłynęła. Wlazłem na brzeg, pobiegłem do domu, zamknąłem odpływ i wróciłem. Nigdzie jej nie widziałem. Opuściłem się cicho do wody, przepłynąłem basen, przewróciłem się na wznak i poruszając lekko rękami, spłynąłem na dno. Otworzyłem

oczy, widziałem szklącą się ciemno, pogiętą małymi falami powierzchnię wody. Wyniosło mnie wolno, zacząłem pływać stojąc i zobaczyłem ją. Stała przy samej ścianie basenu. Podpłynąłem do niej. Skocznia została po drugiej stronie, było tu płytko, tak że od razu zgruntowałem. Woda, którą rozpychałem idąc, szumiała głośno. Widziałem jej twarz, patrzyła na mnie; czy to od impetu ostatnich kroków — bo w wodzie trudno iść, ale niełatwo i nagle się zatrzymać — czy sam już nie wiem jak, dość że znalazłem się tuż przy niej. Może nic by się nie stało, gdyby się cofnęła, ale została na miejscu, z ręką na pierwszym wynurzonej szczelbu drabinki, a ja byłem już zbyt blisko, żeby cokolwiek powiedzieć — schować się w rozmowie...

Objąłem ją mocno, była zimna, śliska, jak ryba, jak dziwne, obce stworzenie, i nagle w tym dotyku, takim chłodnym, jak martwym, bo nie poruszała się wcale — odnalazłem plamę gorącą, jej usta, całowałem ją, całowałem i całowałem — to było zupełne szaleństwo. Nie broniła się. Nie opierała się wcale, była jak umarła. Trzymałem ją za ramiona, podniosłem jej twarz w górę, chciałem ją widzieć, zajrzeć w jej oczy, ale było już tak ciemno, że raczej domyśliłem się ich. Nie drżała. Tylko coś tętniło — nie wiem, moje serce czy jej. Tak staliśmy, aż wolno zaczęła wyswobadzać się z moich rąk. Puściłem ją od razu. Weszła po drabince na brzeg. Ja za nią, i znowu ją objąłem, jakoś bokiem, drżała. Teraz drżała. Chciałem powiedzieć coś, ale nie mogłem wydobyć głosu. Trzymałem ją tylko, przyciskałem i staliśmy, aż wyswobodziła się drugi raz, nie odpychając mnie — a tylko tak, jakby mnie w ogóle nie było. Ręce mi opadły. Odeszła. W świetle padającym z mego okna widziałem, jak podniosła płaszcz i nie narzucając go wstąpiła na schody. U drzwi, w hallu, też się świeciło. Dostrzegłem lśnienie kropel wody na jej plecach i udach. Drzwi zamknęły się. Znikła.

Miałem — przez sekundę — ochotę rzucić się do wody i już z niej nie wypłynąć. Nie, naprawdę. Nigdy jeszcze nie miałem czegoś takiego w głowie. Na miejscu głowy. Wszystko razem było takie bezsensowne, niemożliwe, a najgorsze, że nie wiedziałem, co znaczyło i co mam teraz robić? I dlaczego była taka... taka... może poraził ją strach? Ach, nic, tylko strach i strach. To było coś innego. Co? Skąd mogłem wiedzieć? Albo Olaf. Zresztą, czy jestem piętnastoletnim szczeniakiem i pocałowawszy dziewczynę będę leciał do niego po rady?!

Tak — pomyślałem. — Będę. Poszedłem w stronę domu, podniosłem swój płaszcz, otrzepałem go z piasku. W hallu było jasno. Zbliżyłem się do jej drzwi. Może mnie wpuści — pomyślałem. Gdyby mnie wpuściła, przestałoby mi na niej zależeć. Może. I może to będzie koniec. Albo dostanę po twarzy. Nie. Oni są dobrzy, oni są betryzowani, oni nie mogą. Da mi trochę mleczka; świetnie mi robi. Stałem chyba z pięć minut i przypomniałem sobie podziemia Kerenei, tę osławioną dziurę, o której mówił Olaf. Błogosławiona dziura! To był stary wulkan, zdaje się. Arder zaklinował się tam między głazami i nie mógł wyjść, a lava wzbierała. Właściwie żadna lava, Venturi mówił, że to rodzaj gejzeru — to było później. Arder... słyszeliśmy jego głos. Przez radio. Zszedłem i wyciągnąłem go, Boże! Dziesięć razy wołałem tamto od tych drzwi. Najlżejszego szmeru. Nic.

Żeby chociaż drzwi miały klamkę. Nie, była płytka. U mnie na górze nie było. Nie wiedziałem, czy jest jakoś nastawiona, jak zamek, czy trzeba nacisnąć, byłem wciąż tym samym dzikusiem z Kerenei.

Podniosłem rękę i zawahałem się. A jeżeli drzwi się nie otworzą? Samo wyobrażenie tego odwrotu: mogłem mieć materiał do rozmyślań na długi czas. I czułem, że im dłużej stoję, tym mniej mam siły, jakby wszystko wyciekało ze mnie. Dotknąłem tej płytki. Nie poddała się. Nacisnąłem mocniej.

— To pan? — usłyszałem jej głos. Musiała stać tuż za drzwiami.

— Tak.

Cisza. Pół minuty. Minuta.

Drzwi otworzyły się. Stała na progu. Miała na sobie puszysty, ranny płaszcz. Włosy rozsypały się na kołnierzu. Teraz dopiero, trudno uwierzyć, zobaczyłem, że są kasztanowe.

Drzwi były tylko uchylone. Przytrzymała je. Kiedy postąpiłem krok, cofnęła się. Same, bez żadnego szmeru, zamknęły się za mną.

I nagle zorientowałem się, jak to wszystko wygląda, jakby mi jakieś łuski spadły z oczu. Patrzała bez ruchu, blada, z rękami zaciskającymi poły tego płaszcza, a naprzeciw ja, ociekający wodą, nagi, w czarnych slipach Olafa, z zapiaszczonym płaszczem w garści — gapiący się na nią...

I nagle, od tego wszystkiego, uśmiechnąłem się. Strzepnąłem płaszcz. Nałożyłem go, zaciągnąłem i usiadłem. Zauważyłem dwie mokre plamy tam, gdzie przedtem stałem. Ale absolutnie nic nie miałem do powiedzenia. Co mogłem powiedzieć? Nagle dowiedziałem się. To było jak natchnienie.

— Pani wie, kto ja jestem?

— Wiem.

— Ach tak? To dobrze. Z Biura Podróży?

— Nie.

— Wszystko jedno. Ja jestem — dziki, wie pani?

— Tak?

— Tak. Szalenie dziki. Jak pani się nazywa?

— Pan nie wie?

— Imię.

— Eri.

— Zabiorę cię stąd.

— Co?

— Tak. Zabiorę cię stąd. Nie chcesz?

— Nie.

— Nie szkodzi. Zabiorę cię. Wiesz, czemu?

— Chyba tak.

— Nie, nie wiesz. Ja sam nie wiem.

Milczała.

— Nic na to nie poradzę — ciągnąłem. — To się właściwie stało, kiedy cię zobaczyłem. Przedwczoraj. Przy obiedzie. Wiesz?

— Wiem.

— Czekaj. Ty myślisz może, że ja żartuję?

— Nie.

— Skąd możesz... wszystko jedno. Czy będziesz próbowała uciec?

Milczała.

— Nie rób tego — prosiłem. — To nic nie pomoże, wiesz. Ja ci i tak nie dam spokoju. Chciałbym, wierzysz mi?

Milczała.

— Widzisz: to nie jest tylko to, że ja nie jestem betryzowany. Mnie na niczym nie zależy, wiesz. Na niczym. Oprócz ciebie. Muszę cię widzieć. Muszę patrzeć na ciebie. Muszę słyszeć twój głos. Muszę i nic mnie więcej nie obchodzi. Nigdzie. Jeszcze nie wiem, co będzie z nami. Przypuszczam, że to się źle skończy. Ale wszystko mi jedno. Bo już jest warto. Dlatego, że to mówię, a ty słyszysz. Rozumiesz? Nie. Ty nie możesz tego zrozumieć. Wyście się pozbyli dramatów, żeby spokojnie żyć. Ja tak nie umiem. Niepotrzebne mi to.

Milczała. Zaczepnąłem tchu.

— Eri — powiedziałem — słuchaj... najpierw usiądź.

Nie poruszyła się.

— Proszę cię. Usiądź.

Nic.

— Przecież nic ci to nie szkodzi. Usiądź.

Nagle zrozumiałem. Szczęki mi nabrzmiały.

— Jak nie chcesz, to czemu mnie wpuściłaś?

Nic.

Wstałem. Ująłem ją za ramiona. Nie bronila się. Posadziłem ją na fotelu. Przysunąłem swój, tak że kolana nasze nieomal się dotykały.

— Możesz robić, co chcesz. Ale słuchaj. Nie jestem temu winien. A ty już na pewno nie. Nikt. Nie chciałem tego. Ale tak jest. To jest, rozumiesz, sytuacja wyjściowa. Wiem, że zachowuję się jak wariat. Wiem o tym. Ale zaraz powiem ci, dlaczego. Czy w ogóle nie będziesz się już do mnie odzywać?

— To zależy — powiedziała.

— Dziękuję i za to. Tak. Ja wiem. Nie mam najmniejszych praw i tak dalej. Więc co chciałem powiedzieć — miliony lat temu były takie jaszczury, brontozaury, atlantozaury... Słyszałaś może o nich?

— Tak.

— To były olbrzymy wielkości domu. Miały nadzwyczaj długi ogon, trzy razy dłuższy od ciała. Wskutek tego nie mogły się poruszać tak, jak by może chciały — lekko i zgrabnie. Ja też mam taki ogon, wiesz. Dziesięć lat, nie wiadomo po co, wałęsałem się po gwiazdach. Może nie trzeba było. Ale to nic. Już tego nie odrobuję. To jest mój ogon. Rozumiesz? Nie mogę zachowywać się tak, jakby tego nie było, jakby to nigdy nie istniało. Nie myślę, żebyś była tym zachwycona. Tym, co ci powiedziałem, co mówię i co jeszcze powiem. Ale nie widzę rady. Muszę cię mieć, jak długo się da, i to jest właściwie wszystko. Powiesz coś?...

Patrzyła na mnie. Wydało mi się, że trochę bardziej jeszcze zbladła, ale to mogło być oświetlenie. Siedziała wtulona w ten swój puszysty płaszcz, jakby jej było zimno. Chciałem spytać, czy jej zimno, ale znowu nie mogłem się odezwać. Mnie — o, mnie nie było zimno.

— Co pan... zrobiłby... na moim miejscu?

— Bardzo dobrze! — pochwaliłem ją. — Przypuszczam, że bym walczył.

— Nie mogę.

— Wiem. Myślisz, że mi od tego łatwiej? Przysięgam ci, że nie. Czy wolisz, żebym już poszedł, czy mogę jeszcze coś powiedzieć? Czemu tak patrzysz? Przecież już chyba wiesz, że zrobię dla ciebie wszystko, nie? Nie patrz tak, proszę cię. Wszystko, w moich ustach, znaczy coś całkiem innego aniżeli u innych ludzi. A wiesz, co?

Było mi okropnie duszno, jakbym długo biegł. Trzymałem obie jej ręce — nie wiem, od jak dawna, może od początku? Nie wiem. Były takie drobne. — Eri. Ja, wiesz, nigdy jeszcze nie czułem tego, co teraz. W tej chwili. Pomyśl. Ta okropna pustka, tam. Nie do wypowiedzenia. Nie wierzyłem, że wrócę. Nikt nie wierzył. Mówiliśmy o tym, ale tylko tak. Oni tam zostali, Tom, Arne, Venturi, i są teraz jak kamienie, wiesz, takie zamrożone kamienie, w ciemności. I ja powinienem był też tam zostać, ale jeżeli jestem tu i trzymam twoje ręce, i mogę mówić do ciebie, i ty słyszysz mnie, to może to nie jest takie złe. Takie podłe. Może nie jest, Eri! Tylko nie patrz tak. Błagam cię. Daj ani szansę. Nie myśl, że to — tylko miłość. Nie myśl tak. To jest więcej. Więcej. Nie wierzysz mi... dlaczego mi nie wierzysz? Przecież mówię prawdę. Naprawdę nie?

Milczała. Jej ręce były zimne jak lód.

— Nie możesz, co? To niemożliwe. Tak, wiem, że to niemożliwe. Wiedziałem od pierwszej chwili. Nie powinno mnie tu być. Tu powinno być puste miejsce. Należę tam. To nie moja wina, że wróciłem. Tak. Nie wiem, po co ci to wszystko mówię. To nie istnieje. Nie istnieje, co? Wszystko jedno, skoro nic cię nie obchodzi. Myślałaś, że mogę z tobą zrobić, co będę chciał? Nie zależy mi na tym, nie rozumiesz? Nie jesteś gwiazdą...

Zapadła cisza. Cały dom milczał. Pochyliłem głowę ku jej rękoma, leżącym bezwładnie w moich, i zacząłem mówić do nich.

— Eri. Eri. Teraz już wiesz, że nie musisz się bać, prawda? Wiesz, że ci nic nie grozi? Ale

to jest — takie wielkie. Eri. Nie wiedziałem, że może być coś takiego. Nie wiedziałem. Przysięgam ci. Dlaczego oni lecą do gwiazd? Nie mogę tego zrozumieć. Przecież to jest tu. A może trzeba najpierw być tam, żeby to dopiero pojąć? Tak, to możliwe. Pójdę teraz. Już idę. Zapomnij o tym wszystkim. Zapomnisz?

Skinęła głową.

— Nie powiesz nikomu? Zaprzeczyła ruchem głowy.

— Naprawdę?

— Naprawdę. To był szept.

— Dziękuję ci.

Wyszedłem. Schody. Ściana kremowa, druga zielona. Drzwi mego pokoju. Otwarłem szeroko okno, oddychałem. Jakie dobre było powietrze. Od chwili, kiedy wyszedłem od niej, byłem zupełnie spokojny.

Uśmiechałem się nawet, nie ustami ani twarzą. Uśmiech miałem w sobie, pobłażliwy, nad własną głupotą, że nie wiedziałem, a to było takie proste. Przewracałem, pochylony, zawartość sportowej walizki: Wśród sznurów? Nie. Jakies zawiniątka, co to, nie, zaraz...

Miałem go. Wyprostowałem się i nagle się zawstydziłem. Światła. Nie mogłem tak. Szedłem, żeby je ; zgasić, kiedy Olaf stanął w progu. Był ubrany. Nie kładł się?

— Co robisz?

— Nic.

— Nic? Co tam. masz? Nie chowaj!

— To nic.

— Pokaż!

— Nie chcę. Wyjdź.

— Pokaż!

— Nie.

— Wiedziałem. Ty łajdaku!

Nie spodziewałem się tego ciosu. Otwarłem rękę, wysliznął mi się, stuknął o podłogę, a my walczyliśmy już, wziąłem go pod siebie, przerzucił się, biurko runęło, pociągnięta lampa huknęła o ścianę, aż zagrzemiał cały dom. Miałem go już. Nie mógł się wyrwać, wił się tylko, usłyszałem krzyk, jej krzyk, puściłem go, skoczyłem wstecz. Stała w drzwiach. Olaf podnosił się na kolana.

— Chciał się zabić. Przez ciebie! — wycharczał. Trzymał się za gardło. Odwróciłem twarz. Oparłem się o ścianę, nogi trzęsły się pode mną. Było mi tak wstyd, tak strasznie wstyd. Patrzała na nas, to na jednego, to na drugiego. Olaf wciąż trzymał się za gardło.

— Wyjdźcie — powiedziałem cicho.

— Najpierw musisz mnie wykończyć,

— Zlituj się.

— Nie.

— Proszę, niech pan wyjdzie — odezwała się. Zamilkłem, z otwartymi ustami. Olaf patrzył na nią osłupiały..

— Dziewczyno, on... Zaprzeczyła głową.

Mając nas wciąż na oku, trochę bokiem, trochę tyłem wyszedł. Patrzała na mnie.

— To prawda? — spytała.

— Eri... — jęknąłem.

— Musisz?... — spytała.

Skinąłem głową, że tak. A ona zaprzeczyła.

— Jak to?... — powiedziałem. I jeszcze raz, jakoś zająkliwe: — Jak to?... — Milczała. Podeszedłem do niej i zobaczyłem, że kuli się i ręce, które przytrzymują odwinięty skraj puszystego płaszcza, drżą.

— Dlaczego? Dlaczego tak się mnie boisz? Zaprzeczyła głową.

— Nie?

— Nie.

— Ale drżysz?

— To tylko tak.

— I... pójdziesz ze mną?

Skinęła głową, dwa razy, jak dziecko. Objąłem ją, tak lekko, jak tylko mogłem. Jakby cała była ze szkła.

— Nie bój się... — powiedziałem. — Spójrz... Mnie samemu drżały ręce. Dlaczego nie drżały mi wtedy, kiedy z wolna siwiałem, czekając na Ardera? Do jakich rezerw, do jakich zakamarków dostałem się wreszcie, aby się dowiedzieć, wiele jestem wart?

— Siadaj — powiedziałem — przecież ty wciąż drżysz? Albo nie, czekaj.

Położyłem ją na moim łóżku. Okryłem po szyję.

— Lepiej tak?

Skinęła głową, że lepiej. Nie wiedziałem, czy tylko ze mną jest niemową, czy to jej taki zwyczaj. Ukląknę przy łóżku.

— Powiedz mi coś — szepnąłem.

— Co?

— O sobie. Kim jesteś. Co robisz. Czego chcesz. Nie — czego chciałaś, zanim zwałem ci się na głowę.

Wzruszyła lekko ramionami, jakby mówiąc „nie mam nic do powiedzenia”.

— Nie chcesz mówić? Dlaczego, czy...

— To nieważne... — powiedziała. Jakby mnie uderzyła tymi słowami. Cofnąłem się.

— Jak to... Eri... jak to — bełkotałem. Ale rozumiałem już. Dobrze rozumiałem.

Zerwałem się i zacząłem chodzić po pokoju.

— Nie chcę tak. Nie mogę tak. Nie mogę. Tak nie można, ja...

Oślupiałem. Znowu. Bo uśmiechnęła się. Uśmiech ten był tak nikły, że ledwo widoczny.

— Eri, co...

— On ma rację — powiedziała.

— Kto?

— Ten... pana przyjaciela.

— Że co?

Trudno jej to przyszło powiedzieć. Odwróciła wzrok.

— Że pan jest — niemądry.

— Skąd wiesz, że on to powiedział?

— Słyszałam.

— Naszą rozmowę? Po obiedzie?

Skinęła głową. Zaczerwieniła się. Nawet uszy jej się zaróżowiły.

— Nie mogłam nie słyszeć. Mówiliście okropnie głośno. Byłabym wyszła, ale...

Zrozumiałem. Drzwi jej pokoju wychodziły do hallu. Co za kretyn! — pomyślałem, o sobie oczywiście. Byłem jak ogłuszony.

— Słyszałaś... wszystko? Przytaknęła głową.

— I wiedziałaś, że ja o tobie?

— Mhm.

— Skąd?? Przecież nie wymieniałem...

— Wiedziałam już przedtem.

— W jaki sposób? Poruszyła głową.

— Nie wiem. Wiedziałam. To znaczy, najpierw pomyślałam, że mi się zdaje.

— A kiedy było potem?

— Nie wiem. Tak, w ciągu dnia. Czułam to.

— Bardzo się bałaś? — spytałem ponuro.

— Nie.

— Nie? Dlaczego nie?

Uśmiechnęła się blado.

— Pan jest zupełnie, zupełnie jak...

— Jak co!!?

— Jak w bajce. Nie wiedziałam, że można... takim... być... i gdyby nie to, że... pan wie... myślałabym, że mi się to śni...

— Zapewniam cię, że nie.

— Och, wiem. Tak tylko powiedziałam. Pan wie, o co chodzi?

— Nie bardzo. Jestem widać tępy, Eri. Tak, Olaf miał rację. Jestem bałwanem. Skończonym bałwanem. Dlatego powiedz mi wyraźnie, dobrze?

— Dobrze. Pan myśli, że pan jest straszny, ale wcale nie. Pan tylko...

Umilkła, jakby nie mogła znaleźć słów. Słuchałem jej z nie domkniętymi ustami.

— Eri, dziecko, ja... ja wcale nie myślałem, że jestem straszny. Nonsens. Przysięgam ci. Dopiero jak przyleciałem i nasłuchiwałem się, i dowiedziałem się różnych różności... dosyć. Już dosyć mówiłem. O wiele za dużo. Nigdy w życiu nie byłem taki gadatliwy. Mów, Eri. Mów. — Usiadłem na łóżku.

— Nie mam już nic, naprawdę. Tylko... nie wiem...

— Czego nie wiesz?

— Co będzie?...

Pochyliłem się nad nią. Patrzała mi w oczy. Jej powieki nie zadrgały. Nasze oddechy się zeszyły.

— Dlaczego dałaś się całować?

— Nie wiem.

Dotknąłem wargami jej policzka. Szyi. Leżałem tak, z głową na jej ramieniu, ze wszystkich sił zaciskając szczęki. Nigdy jeszcze mi tak nie było. Nie wiedziałem, że tak może być. Chciało mi się płakać.

— Eri — szepnąłem bez głosu, samymi ustami. — Eri. Ratuj mnie.

Leżała bez ruchu. Słyszałem, jak w wielkiej dali, szybkie uderzenia jej serca. Usiadłem.

— Czy... — zacząłem, ale nie odważyłem się dokończyć. Wstałem, podniosłem lampę, ustawiłem biurko, potknąłem się o coś — to był turystyczny nóż. Leżał na podłodze. Cisnąłem go do walizy. Odwróciłem się ku niej.

— Zgaszę światło — powiedziałem — dobrze?

Nie odpowiedziała. Dotknąłem kontaktu. Mrok był zupełny, nawet w otwartym oknie nie było widać żadnych, najdalszych nawet świateł. Nic. Czarno. Tak czarno, jak tam.

Zamknąłem oczy. Cisza szumiała.

— Eri... — szepnąłem. Nie odezwała się. Czuję jej lęk. Poszedłem, po omacku, w stronę łóżka. Usiłowałem usłyszeć jej oddech, ale tylko cisza dzwoniła tonem ogarniającym wszystko, jakby materializowała się w tej ciemności i była już nią. Powinienem wyjść — pomyślałem. Tak. Zaraz pójdę. Ale pochyliłem się i w jakimś jasnovidzeniu odnalazłem jej twarz. Przestała oddychać.

— Nie — tchnąłem. — Nic. Naprawdę nic...

Dotknąłem jej włosów. Gładziłem je końcami palców, poznawałem, jeszcze obce, jeszcze niespodziane. Tak chciałem to wszystko zrozumieć. A może nie było nic do zrozumienia? Jaka cisza. Czy Olaf spał? Na pewno nie. Siedział, nasłuchiwał. Czekał. Więc pójść do niego. Ale nie mogłem. To było nazbyt nieprawdopodobne, niepewne. Nie mogłem. Nie mogłem. Położyłem głowę na jej ramieniu. Jeden ruch, i byłem przy niej. Poczułem, jak całe jej ciało zeszytniało. Cofnęła się. Szepnąłem:

— Nie bój się.

— Nie.

— Drżysz.

— To tylko tak.

Objąłem ją. Ciężar jej głowy na moim ramieniu przesunął się w zgięcie łokcia. Leżeliśmy tak obok siebie i była milcząca ciemność.

— Późno już — szepnąłem. — Bardzo późno. — Możesz spać. Proszę cię. Spij...

Kołysałem ją. samym powolnym napięciem ramienia. Leżała cicha, ale czułem ciepło jej ciała i oddechu. Był szybki. I serce biło jej jak na trwozę. Powoli, powoli zaczęło się uspokajać. Musiała być bardzo zmęczona. Nasłuchiwałem wpierw z otwartymi, potem z zamkniętymi oczami, bo zdawało mi się, że tak lepiej słyszę. Czy spała już? Kim była? Dlaczego znaczyła dla mnie tyle? Leżałem w tej ciemności, przewianej zaokiennymi podmuchami, które poruszały firanką, że wydawała słaby, sypki szelest. Pełen byłem nieruchomego zadziwienia. Ennesson. Thomas. Venturi. Arder. Więc po to było to wszystko? Po to? Szczypta prochu. Tam gdzie nigdy nie wieje wiatr. Gdzie nie ma chmur ani słońca, ani deszczu, gdzie nie ma nic, tak dokładnie, jak gdyby to nie było możliwe, jakby tego nie można nawet pomyśleć. I ja byłem tam? Naprawdę byłem? Po co? Nic już nie wiedziałem, wszystko zlewało się w bezkształtną ciemność — zamarłem. Drgnęła. Powoli obróciła się na bok. Ale głowa jej pozostała na moim ramieniu. Mruknęła coś. cichutko. I spała dalej. Usiłowałem wyobrazić sobie chromosferę Arktura. Ziejący ogrom, nad którym leciałem i leciałem, obracając się jak na potwornej, niewidzialnej karuzeli ognia, z łzawiącymi, opuchniętymi oczami, i powtarzałem martwo: sonda, zero, siedem — sonda, zero, siedem — sonda, zero, siedem — tysiące, tysiące razy, tak że potem na samą myśl o tych słowach coś się we mnie wzdrzygało, jakbym je miał wypalone w sobie, jakby były raną; a odpowiedzią był trzask w słuchawkach i chichoczące pianie, w jakie moja aparatura przekształcała płomień protuberancji, i to był Arder, jego twarz, jego ciało i pocisk, obrócone w promienisty gaz, a Thomas? Zaginiony Thomas, o którym nikt nie wiedział, że... A Ennesson? Byliśmy z sobą źle — nie cierpiałem go. Ale w komorze ciśnień mocowałem się z Olafem, który nie chciał mnie wypuścić, bo było za późno: jaki ja byłem szlachetny, wielkie nieba czarne i niebieskie... Ale to nie była szlachetność, to była tylko sprawa ceny. Tak. Bo każdy z nas był czymś bezcennym, życie ludzkie miało najwyższą wartość tam, gdzie nie mogło mieć już żadnej, gdzie tak cienka, nie istniejąca niemal błonka oddzielała je od końca. Ten drucik czy styk w radiu Ardera. Ta spoinka w reaktorze Venturiego, której Voss nie dopatrywał — a może otwarła się nagle, to się przecież zdarza, zmęczenie metalu — i Venturi w ciągu, bo ja wiem, pięciu sekund przestał istnieć. A powrót Thurbera? A cudowne ocalenie Olafa, który zgubił się, gdy kierunkowa antena została przebita — kiedy? W jaki sposób? Nikt nie wiedział. Olaf wrócił — cudem. Tak, jeden na milion. A jakie ja miałem szczęście. Jakie niezwykle, niemożliwe szczęście... Ramię cierpło, było mi z tym niewypowiedzianie dobrze. Eri — powiedziałem w myśli — Eri. Jak głos ptaka. Takie imię. Głos ptaka... Jakeśmy prosili Ennessona, żeby naśladował ptaki. On to umiał. Jak on to umiał, a kiedy zginął, razem z nim — te wszystkie ptaki...

Ale już mi się to mieszało, pogrążałem się, płynąłem przez tę ciemność. W ostatniej chwili przed zaśnięciem wydało mi się, że jestem tam. na moim miejscu, w koi, głęboko, przy samym żelaznym dnie, a obok mnie leży mały Arne — ocknąłem się na mgnienie. Nie. Arne nie żył, byłem na Ziemi. Dziewczyna oddychała cicho.

— Bądź błogosławiona, Eri — powiedziałem bez tchu, wciągając zapach jej włosów, i zasnąłem. Otworzyłem oczy, nie wiedząc, gdzie ani nawet kim jestem. Ciemne włosy rozsypane na moim ramieniu — nie czułem go, jakby było czymś obcym — zdumiały mnie. To był ułamek sekundy. W następnym wiedziałem już wszystko. Słońce jeszcze nie wzeszło, świt mlecznobiały, bez kropli różu, czysty, przejmujący chłodem stał w oknach. Patrzałem w tym najwcześniejszym świetle w jej twarz, jakbym ją widział po raz pierwszy. Spała mocno, oddychając z zaciśniętymi wargami, nie bardzo musiało jej być wygodnie na moim ramieniu,

bo podłożyła sobie pod głowę dłoń, i czasem, delikatnie, poruszała brwiami, jakby zaczynała się wciąż od nowa dziwić. Ruch był znikomy, ale patrzałem uważnie, jakby na jej twarzy był wypisany mój los.

Pomyślałem o Olafie. Zacząłem wyswobadzać ramię, z nadzwyczajnymi ostrożnościami. Okazały się całkiem zbędne. Spała głębokim snem, śniło jej się coś — znieruchomiłem, usiłując odgadnąć nie sen, ale to tylko, czy nie jest zły. Jej twarz była prawie dziecinna. Nie był. Odsunąłem się od niej, wstałem. Byłem w kąpielowym płaszczu, tak jak się położyłem. Boso wyszedłem na korytarz, zamknąłem cicho drzwi, bardzo powoli, i z zachowaniem takiej samej ostrożności zajrzałem do jego pokoju. Łóżko było nietknięte. Siedział przy stole, z głową na dłoni, i spał. Nie rozebrał się, tak jak myślałem. Nie wiem, co go zbudziło — mój wzrok? Ocknął się nagle, spojrzął na mnie bystro jasnymi oczami, wyprostował się i zaczął przeciągać wszystkie kości.

— Olaf — powiedziałem — żebym przez sto lat...

— Zamknij gębę — zaproponował uprzejmie. — Hał, ty zawsze miałaś niedobre skłonności...

— Już zaczynasz? Chciałem ci tylko powiedzieć...

— Wiem, co chciałeś powiedzieć. Wiem zawsze, co chcesz powiedzieć, na tydzień naprzód. Gdyby na „Prometeuszu” potrzeba było pokładowego kapelana, ty byś się nadał. Cholera, że mi to nie przyszło wcześniej na myśl. Dałbym ci szkołę. Hał! Żadnych kazań. Żadnych solenności, klątw, przysięg i tym podobnych. Jak jest? Dobrze. Tak?

— Nie wiem. Jak gdyby. Nie wiem. Jeżeli chodzi ci o... no, to między nami nic.

— Nie, powinieneś najpierw klęknąć — powiedział. — Z klęczek masz mówić. Bałwanie jeden, czy ja się ciebie o to pytam? Mówię o perspektywach i tam dalej.

— Nie wiem. Ja ci coś powiem: myślę, że ona sama nie wie. Zleciałem jej na głowę jak kamień.

— Tak. To przykre — zauważył Olaf. Rozbierał się. Szukał slipów. — Ile ty ważysz? Sto dziesięć?

— Coś koło tego. Nie szukaj, ja mam twoje slipy.

— Przy całej świętości zawsze lubiłeś wszystko podwędzać — burczał, a kiedy zacząłem je ściągać: — Wariacie, zostaw. Mam w walizce drugie...

— Jak się przeprowadza rozwód? Nie wiesz czasem? — spytałem.

Olaf popatrzał na mnie znad otwartej walizki. Zamrugnął.

— Nie. Nie wiem. Ciekawe, skąd miałbym wiedzieć? Słyszałem, że to jest jak kichnąć. I nawet nie trzeba powiedzieć na zdrowie. Czy tu nie ma ludzkiej łazienki, z wodą?

— Nie wiem. Chyba nie. Jest tylko taka — wiesz.

— Tak. Orzeźwiający wicher z zapachem płukanki do zębów. Okropność. Chodźmy na basen. Bez wody nie czuję się umyty. Śpi.

— Śpi.

— No to lecimy.

Woda była zimna i wspaniała. Zrobiłem salto ze śrubą, w tył: wyszło mi. Nigdy mi nie wychodziło. Wypłynąłem, parszcząc i krztusząc się, bo wciągnąłem nosem wodę.

— Uważaj — rzucił mi Olaf z brzegu — musisz się teraz szanować. Pamiętasz Markla?

— Tak. Bo co?

— Był na czterech zaamoniaczonych księżycach Jowisza, a jak wrócił i siadł na ćwiczebnym lądowisku, i wylazł z rakiety, obwieszony trofeami jak choinka, potknął się i złamał nogę. Uważaj. Mówię ci.

— Postaram się. Cholernie zimna woda. Wylażę.

— Słusznie. Mógłbyś dostać kataru. Nie miałem go przez dziesięć lat. Jak tylko przyleciałem na Lunę, zacząłem kaszleć.

— Bo tam było tak sucho, wiesz — powiedziałem z poważną miną. Olaf roześmiał się i

zalał mi twarz wodą, skacząc o metr obok.

— Faktycznie sucho — powiedział, wypływając. — To dobre określenie, wiesz? Sucho, lecz mało przytulnie.

— Ol, już lecę.

— Dobra. Zobaczymy się na śniadaniu? Czy wolisz nie?

— Naturalnie.

Pobiegnę na górę, wycierając się po drodze. Przed drzwiami zataiłem dech. Zajrzałem ostrożnie. Wciąż spała. Skorzystałem z tego i szybko się przebrałem. Zdażyłem się i ogolić w mojej łazience.

Wetknąłem głowę do pokoju — zdawało mi się, że się odezwała. Kiedy zbliżyłem się do łóżka na palcach, otwarła oczy.

— Spałam... tu?

— Tak. Tak, Eri...

— Zdawało mi się, że ktoś...

— Tak, Eri — to ja... byłem.

Patrzała na mnie, jak gdyby powoli wzbierała w niej pamięć wszystkiego. Najpierw oczy jej rozszerzyły się trochę — zdziwieniem? — potem zamknęła je, otwarła znowu — ukradkiem, bardzo szybko, ale tak, że to jednak dostrzegłem, zajrzała pod kołdrę — i ukazała zaróżowioną twarz. Odchrząknąłem.

— Chcesz pewno pójść do siebie — co? Wyjdę może lepiej, albo...

— Nie — powiedziała — mam przecież płaszcz.

Zaciągnęła jego poły, siadając na łóżku.

— To... już... naprawdę tak?... — powiedziała cicho, takim tonem, jakby się z czymś rozstawiała.

Milczałem.

Wstała, przeszła przez pokój, wróciła.

Podniosła oczy na moją twarz — było w nich pytanie, niepewność i coś jeszcze, czego nie umiałem odgadnąć.

— Panie Bregg...

— Nazywam się Hal. Takie — imię...

— Pa... Hal, ja...

— Tak?

— Ja naprawdę nie wiem... chciałabym... Seon...

— Co?

— No... on...

Nie mogła czy nie chciała powiedzieć „mój mąż”?

— Wróci pojutrze.

— Tak?

— Co będzie? Przełknąłem.

— Czy mam z nim pomówić? — spytałem.

— Jak to?...

Teraz ja z kolei spojrzałem na nią, zdumiony, nic nie rozumiejąc.

— Pan... mówił przecież wczoraj... Czekałem.

— Że... zabierze mnie.

— Tak.

— A on?

— To nie mam z nim mówić? — spytałem głupekowato.

— Jak to, mówić? Pan chce sam?

— A kto?

— To musi być... koniec?

Coś mnie zdławiło; odchrząknąłem.

— Przecież... nie ma innego wyjścia.

— Myślałam, że to... mesk.

— Że co?...

— Pan... nie wie?

— Nic nie rozumiem. Nie. Nie wiem. Co to jest? — powiedziałem, czując jakieś niedobre mrowienie. Znowu trafiłem w jedną z tych nagłych luk, w grząskie nieporozumienie.

— Jest tak. Taki... taka... jeżeli ktoś spotyka... jeżeli chce, na jakiś czas... — pan naprawdę nic o tym nie wie?

— Czekaj, Eri, nie wiem, ale zdaje mi się, że zaczynam... czy to jest coś prowizorycznego, takie zawieszenie, taka chwilowa przygoda?

— Nie — powiedziała i oczy jej zaokrągliły się. — Pan nie wie... jakie to... Nie wiem sarna dokładnie, jak to jest — wyznała naraz. — Słyszałam o tym tylko. Ja myślałam, że pan dlatego...

— Eri. Nic nie wiem. I niech mnie diabli wezmą, jeżeli cokolwiek rozumiem. Czy to ma... w każdym razie to jakoś wiąże się z małżeństwem, tak?

— No tak. Idzie się do urzędu i tam, nie wiem dokładnie co, w każdym razie potem to już jest... to już jest...

— Ale co?

— Niezawisłe. Tak, że nic nie można powiedzieć. Nikt. To znaczy i on...

— Więc to jest jednak... to jakiś rodzaj legalizacji — no, do diabła! — legalizacji zdrady małżeńskiej? Tak?

— Nie. Tak. To znaczy, to nie jest już zdrada, zresztą — tak się nie mówi. Ja wiem, co to znaczy; uczyłam się tego. Nie ma zdrady, bo, no, bo przecież ja z Seonem tylko na rok.

— Coo?... — powiedziałem, bo mi się zdawało, że źle słyszę. — A to co znaczy? Jak to na rok? Małżeństwo na rok? Na jeden rok? Dlaczego?

— To jest próba...

— Wielkie nieba, czarne i niebieskie! Próba. A co to jest mesk? Może awizo na następny rok?

— Nie wiem, co to jest awizo. To jest... to znaczy, że jeżeli po roku małżeństwo się rozchodzi, to wtedy tamto staje się ważne. Jak ślub.

— Ten mesk?

— Tak.

— A jak nie, to co?

— To nic. Nie ma żadnego znaczenia.

— Aha. No, to już wiem. Nie. Żaden mesk. Na wieki wieków. Wiesz, co to znaczy?

— Wiem. Panie Bregg?

— Tak.

— Ja robię aspiranturę z archeologii w tym roku...

— Rozumiem. Dajesz mi do zrozumienia, że biorąc cię za idiotkę, w gruncie rzeczy robię idiotę z siebie?

Uśmiechnęła się.

— Pan to bardzo dosadnie wyraził.

— Tak. Przepraszam. Więc, Eri, mogę z nim pomówić?

— O czym?

Szczęka mi opadła. Znowu — pomyślałem.

— No, jak to, do ciężk... — Ugryzłem się w język. — O nas.

— Przecież tego się nie robi.

— Nie? Aha. No, proszę. A co się robi?

— Przeprowadza się rozdział. Ale, panie Bregg, naprawdę... przecież ja... nie mogę tak...

— A jak możesz? Wzruszyła bezradnie ramionami.

— Czy to ma znaczyć, że wracamy tam, skądśmy wczoraj wieczorem wyszli? — spytałem. — Nie gniewaj się, Eri, że tak mówię, jestem podwójnie handicapowany, wiesz. Ja przecież nie znam wszystkich form, zwyczajów, tego, co się należy, a co się nie należy, nawet na co dzień, a co dopiero w takich...

— Nie, ja wiem. Wiem. Ale ja z nim... ja... Seon...

— Rozumiem — powiedziałem. — Wiesz co? Może siądziemy.

— Mnie się lepiej myśli, jak stoję.

— Proszę cię. Słuchaj, Eri. Wiem, co powinienem zrobić. Powinienem wziąć cię, tak jak mówiłem, i wyjechać gdzieś — i nie wiem, skąd mam tę pewność. Może tylko z mojej bezdennej głupoty. Ale wydaje mi się, że byłoby ci ze mną w końcu dobrze. No, i tak. Tymczasem ja, uważasz, jestem taki — no, jednym słowem: nie chcę tego robić. Niby żeby nie zmuszać cię. W rezultacie cała odpowiedzialność za tę moją decyzję — nazwijmy to tak — spada na ciebie... Czyli, że nie jestem świnią z prawej strony, tylko z lewej. Tak. Widzę to doskonale. Doskonale to widzę. To już powiedz tylko jedno — co wolisz?

— Prawą...

— Co?

— Prawą stronę tej świni...

Zacząłem się śmiać. Może trochę histerycznie.

— O, Boże. Tak. Dobrze. To mogę z nim pomówić? Potem To znaczy, przyjechałbym tu sam...

— Nie.

— Czy tak się nie robi? Możliwe. Ale czuję, że powinienem, Eri...

— Nie. Ja... bardzo pana proszę. Naprawdę. Nie. Nie!

Nagle łyzy puściły się jej z oczu. Chwyciłem ją w objęcia.

— Eri! Nie. No, nie. Zrobie, jak chcesz, ale nie płacz. Błagam cię. Bo... nie płacz. Przestań, słyszysz? A zresztą... płacz... ja... sam nie wiem...

— Ja... nie wiedziałam, że to... może... tak... — wyrzucała z siebie, łkając.

Nosiłem ją po pokoju.

— Nie płacz, Eri... albo wiesz co? Pojedziemy na... miesiąc. Chcesz tak? Jeżeli potem będziesz chciała, wrócisz...

— Proszę... — powiedziała — proszę... Postawiłem ją na ziemi.

— Nie można tak? Przecież ja nic nie wiem. Myślałem...

— Ach, jaki pan jest! Można, nie można. Ja nie chcę tak! Nie chcę!

— Ta prawa strona staje się coraz większa — powiedziałem z niespodziewaną oschłością.

— No, dobrze, Bri. Już nie będę się z tobą naradzał. Ubierz się. Zjemy śniadanie i odjedziemy.

Patrzała na mnie ze śladami łez na twarzy. Była dziwnie skupiona. Zmarszczyła brwi. Zdawało mi się, że chce coś powiedzieć i że nie będzie to dla mnie pochlebne. Ale tylko westchnęła i wyszła bez słowa. Usiadłem przy stole. Ta moja nagła decyzja — jak z jakiegoś romansu o piratach — była sprawą chwili. W rzeczywistości byłem taki zdecydowany jak róża wiatrów. Czuję się jak kloc. Jak mogę? Jak mogę — pytałem się siebie. Och, co za gmatwanina!

W uchylonych drzwiach stanął Olaf.

— Synu — powiedział — przykro mi. Wstępuję na szczyt niedyskrecji, ale słyszałem. Nie mogłem nie słyszeć. Należy zamykać drzwi, poza tym masz taki zdrowy głos. Hal — ty przechodzisz samego siebie. Co chcesz od dziewczyny, żeby ci się na szyję rzuciła, dlatego, że wlałeś raz do dziu...

— Olaf!!! — warknąłem.

— Tylko spokój może nas uratować. No, archeolog znalazł piękne wykopalisko. Sto

sześćdziesiąt lat to już antyk, nie?

— Twój humor...

— Nie odpowiada ci. Wiem. Mnie też nie. Ale co ja bym z tego miał, kochany, gdybym nie wyznawał się na twojej podszewce? Znajomy pogrzeb, to wszystko. Hał, Hał...

— Wiem, jak się nazywam.

— O co ci chodzi? Kapelanie, zbiórka. Jemy i splotujemy.

— Nawet nie wiem dokąd.

— Przypadkowo wiem. Nad morzem są jeszcze małe domki do wynajęcia. Weźmiecie auto...

— Jak to weźmiecie?...

— A niby jak? — Trójką świętą? Kapelanie...

— Jeżeli nie przestaniesz, Olaf...

— Dobrze. Ja wiem. Ty byś chciał wszystkich uszczęśliwić: mnie, ja, tego Seola, czy Seona — nie, to się nie da. Hał: wyjedziemy razem. Najwyżej możesz podrzucić mnie do Houlu. Wezmę tam ulder.

— No, no — powiedziałem — nieźle ci urządził wakacje!

— Nie narzekam, to i ty nie narzekaj. Może coś z tego będzie. A teraz dosyć. Chodź.

Śniadanie upłynęło w osobliwej atmosferze. Olaf mówił więcej niż zwykle, ale raczej w przestrzeń. Eri ani ja nie odzywaliśmy się prawie. Potem biały robot sprowadził glider i Olaf pojechał nim do Klavestry po auto. Tak mu to przyszło do głowy, w ostatniej chwili. Po godzinie auto było już w ogrodzie, załadowałem cały swój dobytek, Eri też wzięła swoje rzeczy — wydawało mi się, że nie wszystkie, o nic jednak nie pytałem: nie rozmawialiśmy właściwie wcale. I w słonecznym dniu, który stawał się upalny, pojechaliśmy najpierw do Houlu — to było trochę z drogi — i Olaf wysiadł tam; o tym, że już wynajął dla nas domek, powiedział mi dopiero w aucie.

Pożegnania właściwie nie było.

— Słuchaj — powiedziałem — jeśli zawiadomię cię... przyjedziesz?

— Myślę. Napiszę ci, jaki jest mój adres.

— Napisz na poste restante, do Houlu — powiedziałem. Podał mi swoją twardą rękę. Ile było jeszcze takich na całej Ziemi?

Uścisnąłem ją, aż mi kości zaskrzypiały, i nie odwracając się już siadłem za kierownicą. Jechaliśmy niespełną godzinę. Olaf powiedział mi, gdzie mam szukać tego domku. Był mały — cztery pokoje, bez basenu, ale przy plaży, nad samym morzem. Mijając, na kolejnym wzniesieniu, szeregi kolorowych domków, rozsypanych po wzgórzach, zobaczyliśmy z szosy ocean. Jeszcze nim się ukazał, dał się słyszeć jego przygłuszony, odległy grzmot.

Od czasu do czasu spoglądałem na Eri. Milczała, wyprostowana, z rzadka tylko patrząc na bok, na mijany krajobraz. Domek — nasz domek — miał być niebieski, z pomarańczowym dachem. Dotknąwszy! językiem warg, poczułem smak soli. Szosa zakręcała, biegnąc równoległe do linii piaszczystego brzegu. Ocean, z falami nieruchomymi pozornie wskutek; odległości, mieszał swój głos z wysiłonym hukiem 1 motoru.

Domek był jednym z ostatnich. Mały ogródek, z krzakami szarawymi od osadu soli, nosił ślady niedawnego sztormu. Fale musiały sięgać niskiego ogrodzenia: tu i ówdzie wały się puste muszelki. Skośnie opadający dach wysuwał się do przodu, tworząc jakby z fantazją odwinęte rondo płaskiego kapelusza, dające obfity cień. Sąsiedni domek widniał za wielką, porośniętą rzadko wydumą. Było do niego ze sześćset kroków. Niżej, na półksiężycowej plaży, widniały drobne ludzkie sylwetki.

Otworzyłem drzwiczki.

— Eri...

Wysiadła bez słowa. Żebym wiedział, co się działo pod tym lekko namarszczonym czołem. Szła obok mnie, ku drzwiom.

— Nie, tak nie — powiedziałem. — Ty nie możesz przejść progu, wiesz?

— Dlaczego? Uniosłem ją.

— Otwórz... — poprosiłem. Dotknęła palcami płytki, drzwi otwarły się.

Przeniosłem ją przez próg i postawiłem na podłodze.

— To taki zwyczaj. Na... szczęście...

Poszła pierwsza obejrzeć pokoje. Kuchnia była z tyłu, automatyczna, i jeden robot, a właściwie nie robot, tylko takie głupiątko elektryczne do robienia porządków. Mógł i do stołu podawać. Wykonywał rozkazy, ale mówił tylko kilka słów.

— Eri — powiedziałem — chcesz iść na plażę? Potrząsnęła głową, że nie. Staliśmy na środku największego, białego ze złotem, pokoju.

— A co chcesz, może...

Nim jeszcze dokończyłem, znów ten sam ruch. Widziałem już, jak się to zapowiada. Ale rzuciłem kości, gra musiała się toczyć.

— Przyniosę rzeczy — powiedziałem. Czekałem, czy odpowie coś, ale usiadła na foteliku zielonym jak trawa i zrozumiałem, że nie powie nic. Ten pierwszy dzień był okropny. Eri nie robiła nic demonstracyjnego, nie unikała mnie umyślnie, a po obiedzie próbowała się nawet trochę uczyć — poprosiłem wtedy, abym mógł być w jej pokoju i patrzeć na nią. Obiecałem, że się słowem nie odezwę i nie będę przeszkadzał. Ale już po piętnastu minutach (jaki byłem bystry!) zorientowałem się, że moja obecność leży na niej jak niewidzialny głaz, zdradziła mi to linia jej pleców, jej małe, ostrożne ruchy, ich skrywany wysiłek, tak że zlany potem uciekłem stamtąd i zacząłem chodzić po moim pokoju. Nie znałem jej jeszcze. Ale wiedziałem już, że jest dziewczyną niegłupią, a może i więcej. W powstałej sytuacji było to jednocześnie dobrze i źle. Dobrze, bo jeśli nie rozumiała — to domyślała się przynajmniej, kim jestem, i nie widziała we mnie barbarzyńskiego potwora ani dzikusa. Źle, bo jeśli tak było, to rada, jakiej udzielił mi w ostatniej chwili Olaf, była bez wartości. Zacytował mi aforyzm, który znałem, z książki Hon: „Jeżeli kobieta ma być jak płomień, mężczyzna musi być jak lód”. A więc jedyną moją szansę upatrywałem w nocy, nie w dniu. Nie chciałem tego i dlatego tak okropnie się męczyłem, ale zrozumiałem, że w czasie tak krótkim, jaki mam, nie wejść w nią przy pomocy słów, że cokolwiek będę mówił, pozostanie na zewnątrz — bo to w niczym nie podważa jej racji, jej jakże słusznego gniewu, który ujawnił się tylko raz jeden, w krótkim wybuchu, kiedy zaczęła wołać: nie chcę! nie chcę! I to, że się tak szybko wówczas opanowała, też brałem za zły znak.

Wieczorem zaczęła się bać. Staralem się być cichszy od wody i niższy od trawy, jak Woow, ten mały pilot, który potrafił — najdoskonalszy milczek, jakiego znałem — nic nie mówiąc, powiedzieć i zrobić wszystko, co chciał.

Po kolacji — nie jadła nic, co wprawiło mnie w jakąś zgrozę — czułem, że zaczyna we mnie narastać gniew, tak że chwilami prawie jej nienawidziłem za własną mękę i bezbrzeżna niesprawiedliwość tego uczucia jeszcze je pogłębiała.

Nasza pierwsza, prawdziwa noc: kiedy zasnęła mi na rękach, cała jeszcze gorąca, a jej dyszący oddech zaczął przechodzić pojedynczymi, coraz słabszymi westchnieniami w niepamięć, byłem właściwie pewny, że zwyciężyłem. Przez cały czas walczyła, nie ze mną, ale z własnym ciałem, które poznawałem od cienkich paznokci, od drobnych palców, wnętrza dłoni, stóp, których każdą cząstkę i zgięcie odmykałem i budziłem jakby do życia pocałunkami, tchem, wkradając się w nią — przeciw niej, z nieskończoną cierpliwością i powolnością, tak że przejścia były niemal niedostrzegalne, a kiedy czułem narastający sprzeciw, jak śmierć, cofałem się, zaczynałem wszeptować jej szalone, bezsensowne, dziecinne słowa, to znowu milkłem i pieściłem tylko, i oblegałem ją dotykiem, w ciągu godzin, i czułem, jak się otwiera i jak jej sztywność przechodzi w drżenie ostatniego oporu, a potem zadrzała inaczej, pokonana już, ale ja wciąż czekałem i tylko nic już nie mówiąc, bo to było poza słowami, wyłaniałem z ciemności jej leżące na posłaniu smukłe ramiona i piersi,

lewą pierś, bo tam biło serce, coraz szybciej, i oddychała coraz gwałtowniej, coraz rozpaczliwiej, i stało się; to nie była nawet rozkosz, ale łaska unicestwienia i zlewania się, szturm do granicy ciała, żeby zespoliły się w gwałtowności na sekundy w jedno, nasze walczące oddechy, nasz żar przeszły w zatracenie, krzyknęła, raz, słabo, wysokim, dziecinnym głosem i objęła mnie wtedy. A potem jej ręce zeszyły ze mnie, ukradkiem, jakby w wielkim wstydzie i smutku, jakby rozumiała nagle, jak strasznie podszedłem ją i oszukałem. A ja zacząłem wszystko, pocałunki, składane w zgięcia palców, nieme błagania, ten czuły a tak okrutny pochód raz jeszcze. I wszystko powtórzyło się jak w czarnym, gorącym śnie, i w pewnej chwili poczułem, jak ręką, która zagłębiła się w moich włosach, przyciska mi twarz do swego nagiego ramienia z siłą, jakiej nie spodziewałem się w niej. A potem, śmiertelnie znużona, oddychając prędko, jakby chciała wyrzucić z siebie narosły upał i nagły strach, zasnęła. A ja leżałem bez ruchu jak martwy, napięty do ostateczności, jak gdybym usiłował zrozumieć, czy to, co się stało, znaczy wszystko czy nic. Tuż przed zaśnięciem wydało mi się, że jesteśmy uratowani, i wtedy dopiero przyszedł spokój, wielki spokój, tak wielki jak na Kerenei, kiedy leżałem na gorących płytach popękanej lawy z Arderem, nieprzytomnym, ale widziałem jego usta, oddychające za szybką skafandra, i wiedziałem, że to nie poszło na marne, lecz nie miałem już siły, żeby choć otworzyć mu kran rezerwowej butli; leżałem jak sparaliżowany, w poczuciu, że największa rzecz mojego życia jest już za mną i jeżeli umrę teraz, to nic się już nie zmieni i ten mój bezwład był jak niewypowiedziane milczenie triumfu.

A rano wszystko zaczęło się od nowa. W pierwszych godzinach jeszcze się wstydziła, a może to była pogarda, nie wiem, skierowana przeciw mnie, czy ona sama sobą pogardzała za to, co się stało; koło obiadu udało mi się namówić ją na małą przejażdżkę. Jechaliśmy szosą wzdłuż ogromnych plaż. Pacyfik leżał w słońcu, szumiący kolos, pobrużdżony sierpami białych i złotych pian, aż po horyzont zasypany kolorowymi płachetkami żagli. Zatrzymałem auto tam, gdzie plaże kończyły się, przechodząc w niespodziany, niewielki obryw skalny. Szosa zakręcała tu ostro i stojąc o metr za jej brzegiem można było patrzeć z góry prosto w gwałtowny przybój fal. Potem, wróciliśmy na obiad. Było znowu jak poprzedniego dnia, a we mnie wszystko zamierało na myśl o nocy, bo nie chciałem. Nie chciałem tak. Kiedy nie patrzałem na nią, czułem jej spojrzenia. Usiłowałem odgadnąć, co oznaczają powracające na jej czoło zmarszczki, nagle zapatrzenia — i nie wiem jak ani dlaczego — tuż przed kolacją, kiedy siadaliśmy już do stołu, nagle, jakby mi kto jednym uderzeniem otworzył czaszkę, rozumiałem wszystko. Miałem ochotę walić się pięściami w łeb, jakim ja byłem egoistycznym głupcem, jakim samooszukującym się łajdakiem — siedziałem, osłupiały, bez ruchu, tylko ta burza przelewała się we mnie, pot wystąpił mi na czoło, poczułem nagłą słabość.

— Co ci jest?... — spytała.

— Eri — wychrypiałem — ja... dopiero teraz. Przysięgam ci! Dopiero teraz zrozumiałem, dopiero teraz, że ty poszłaś ze mną, bo bałaś się, że ja... tak?

Oczy jej rozszerzyły się ze zdumienia, patrzała we mnie uważnie, jakby podejrzewając jakieś oszustwo, komedię.

Skinęła głową.

Zerwałem się.

— Jedziemy.

— Dokąd?

— Do Klavestry. Spakuj się. Będziemy tam... — spojrzałem na zegarek — za trzy godziny.

Stała nieruchomo.

— Naprawdę?... — powiedziała.

— Naprawdę. Eri! Ja nie wiedziałem. Tak, wiem. To brzmi niewiarogodnie. Są jednak granice. Tak, są granice. Eri, ja tego jeszcze dobrze nie pojmuję — jak mogłem tak — bo

chyba okłamywałem się. No, nie wiem, wszystko jedno, teraz to nie ma już żadnego znaczenia.

Spakowała się — tak szybko... Wszystko we mnie łamało się i waliło, ale zewnętrznie byłem zupełnie, prawie zupełnie spokojny. Kiedy usiadła przy mnie w aucie, powiedziała:

— Hal, przepraszam cię.

— Za co — a! — zrozumiałem. — Myślałaś, że ja wiem?

— Tak.

— Dobrze. Nie mówmy już o tym.

I znowu ciągnąłem setką; uciekały domki liliowe, białe, szafirowe, droga wiała się, zwiększałem szybkość, ruch był spory, potem ustał, domki traciły kolory, niebo stało się ciemnym błękitem, pokazały się gwiazdy, a my pędziliśmy w przeciągłym gwizdzie wiatru.

Cała okolica poszarzała, wzgórza traciły wypukłość, stały się konturami, szeregami szarych garbów, droga wystąpiła z półmroku szerokim, fosforycznym pasmem. Poznałem pierwsze domy Klavestry, charakterystyczny zakręt, żywopłoty. Tuż u wejścia zatrzymałem auto, wniosłem jej rzeczy do ogrodu, pod werandę.

— Nie chcę... wchodzić do domu. Rozumiesz.

— Rozumiem.

Nie chciałem się z nią żegnać, odwróciłem się po prostu. Dotknęła mojej ręki, drgnąłem jakby sparzony.

— Hal, dziękuję...

— Nie mów nic. Na miłość, tylko nic nie mów. Uciekłem. Wskoczyłem do auta, ruszyłem, grzmot motoru jakby na chwilę zbawił mnie. Można się było ze mnie śmiać. Oczywiście bała się, że go zabije. Widziała przecież, że usiłowałem zabić Olafa, Bogu ducha winnego, tylko dlatego, że nie pozwolił mi — a zresztą! Zresztą nic. Krzyczałem tam, w tym aucie, mogłem sobie pozwolić na wszystko, byłem sam, motor głużył moje szaleństwo — i nie wiem znów, w jakiej chwili zorientowałem się, co mam zrobić. I jeszcze raz, jak za pierwszym — przyszedł spokój. Nie taki już. Bo to, że wykorzystałem tak okropnie sytuację i że zmusiłem ją, w taki sposób, żeby poszła ze mną i że wszystko było dlatego — to było gorsze od każdej rzeczy, jaką mógłbym sobie wyobrazić, ponieważ obrabowało mnie nawet ze wspomnień, z pamięci tej nocy, ze wszystkiego. Sam, własnymi rękami zniszczyłem to przez jakiś bezbrzeżny egoizm, zaślepienie, które nie pozwoliło mi widzieć tego, co było na samym wierzchu, najoczywistsze — przecież nie kłamała, mówiąc, że nie boi się mnie. Nie o siebie się bała, oczywiście. O niego.

Za szybami leciały światełka, przesypywały się, miękko zachodziły w tył, okolica była niewypowiedzianie piękna, a ja, rozszarpany, przekłuty, waliłem się z wrzaskiem opon z jednego wirażu w drugi, ku Pacyfikowi, ku tym skałom, tam; w pewnej chwili, gdy maszyna zarzuciła mocniej, niż się tego spodziewałem, i wyszła prawymi kołami za skraj drogi, przeląknęłem się, to trwało ułamek sekundy, wybuchnąłem potem śmiechem — że boję się zginąć tu, dlatego że sobie postanowiłem zrobić to gdzie indziej, i ten śmiech przyszedł nagle w łkanie. Powinienem to zrobić szybko, myślałem, bo już nie jestem ten sam. To, co się ze mną dzieje, jest gorzej niż straszne, to wstrętne. I jeszcze mówiłem coś do siebie — że powinienem się wstydzić. Ale słowa nie miały wagi ani sensu. Była już zupełna ciemność, szosa prawie pusta, bo w nocy mało kto jeździł — kiedy zauważyłem, niedaleko za mną, czarny glider. Szedł lekko i bez wysiłku tam, gdzie ja musiałem wyprawiać dzikie rzeczy hamulcami i gazem. Bo glidery trzymają się drogi przyciąganiem magnetycznym czy grawitacyjnym, diawitacyjnym, diabeł wie. Dosyć, że mógł wyprzedzić mnie bez specjalnego trudu, ale trzymał się z tyłu, jakieś osiemdziesiąt metrów za mną, raz trochę bliżej, raz dalej. Na ostrych wirażach, kiedy zamiatałem całym tyłem wozu po jezdni i ścinałem z lewej, zostawał w tyle, nie przypuszczam, żeby nie mógł mi dotrzymać tempa. Może kierowca się bał. Zresztą, prawda, tam nie było żadnego kierowcy. Ale co mnie obchodził ten glider?

Obchodził mnie, bo czułem, że nie wisi z tyłu tak przypadkowo. I nagle przyszło mi do głowy, że to jest Olaf, Olaf, który nie mając do mnie (i słusznie!) za grosz zaufania, przypadł gdzieś w okolicy i czekał na rozwój wypadków. I na myśl, że tam jest mój wybawca, mój drogi, stary Olaf, który znowu nie da mi zrobić tego, co chcę, i będzie dla mnie starszym bratem, pocieszycielem, coś mnie aż skręciło i przez sekundę nie widziałem drogi poprzez tę moją czerwoną wściekłość.

Dlaczego nie zostawią mnie w spokoju!? — pomyślałem i zacząłem wyciskać z maszyny każdy ostatni strzęp, każdą możliwość, jak gdybym nie wiedział, że glider i tak może być dwa razy szybszy, i gnaliśmy tak przez noc, wśród wzgórz zasypanych światłkami, a poprzez przeraźliwy gwizd rozcinanego powietrza już słychać było niewidzialny, rozpościerający się przede mną, olbrzymi, jakby z niezgłębionych otchłani występujący szum Pacyfiku.

A jedź sobie — myślałem. — Jedź sobie. Nie wiesz tego, co ja wiem. Siedzisz mnie, tropisz, nie dajesz spokoju, doskonale; ale ja ci zwieję, już ja ci uskokcę, ani mrugniesz; i żebyś na głowie stawał, nic ci nie pomoże, bo glider nie zejdzie z szosy. Tak że nawet w ostatniej sekundzie będę miał czyste sumienie. Bardzo dobrze.

Minąłem właśnie domek, w którym mieszkaliśmy — jego trzy oświetlone okna dźgnęły mnie w przelocie, jak gdyby po to, aby mi udowodnić, że nie ma takiego cierpienia, którego nie można jeszcze powiększyć, i wszedłem na ostatni odcinek szosy, równoległy do oceanu. Wtedy glider, ku memu przerażeniu, zwiększył nagle szybkość i zaczął iść do przodu. Zamknąłem mu brutalnie drogę, schodząc na lewo. Cofnął się i manewrowaliśmy tak — ilekroć chciał wyjść do przodu, zagradzałem maszyną lewy pas, chyba z pięć razy. Nagle, mimo że zatarasowałem drogę, zaczął mnie wyprzedzać, karoseria wozu otarła się niemal o czarną, błyszczącą powłokę bezokiennego, jakby bezludnego pocisku; w tej chwili nabrałem całkowitej pewności, że to może być tylko Olaf, bo żaden człowiek nie odważyłby się na coś takiego — ale nie mogłem przecież zabić Olafa. Nie mogłem. Dlatego przepuściłem go. Wyszedł przede mną i myślałem, że teraz z kolei będzie próbował zamknąć mi drogę, ale on szedł tylko piętnaście metrów przed moją maską — no, pomyślałem, to nie szkodzi. I zwolniłem, w nikłej nadziei, że może się oddali, ale nie chciał się oddalić; także zwolnił. Było bodaj około mili do tego ostatniego zakrętu u skał, kiedy glider zwolnił jeszcze bardziej: szedł środkiem, tak że nie mogłem go wyprzedzić. Pomyślałem, że może uda mi się już, teraz, ale nie było żadnych skał, tylko piaszczysta plaża, i wóz zakopałby się kołami w piasku po stu metrach, nie dotarłszy nawet do oceanu — taki idiotyzm nie wchodził w rachubę. Nie miałem innego wyjścia, musiałem jechać dalej. Glider zwolnił jeszcze bardziej i widziałem, że zaraz stanie; jego czarna karoseria zabłysła z tyłu, jak zalana płonąca krwią, od świateł hamulcowych. Spróbowałem go wówczas wyprzedzić, nagłym skrętem, ale zamknął mi drogę. Był szybszy i zwrotniejszy ode mnie — w końcu kierowała nim maszyna. Maszyna ma zawsze szybszy refleks. Uderzyłem nogą w hamulec, zbyt późno, posłyszałem potworny łoskot, czarna masa wyrosła tuż przed szybą, rzuciło mną do przodu i straciłem przytomność.

Otworzyłem oczy jak ze snu, z nieprzytomnego snu — śniło mi się, że pływam. Coś zimnego, mokrego spływało po mojej twarzy, poczułem jakieś ręce, potrzęsały mną, i jakiś głos.

— Olaf — wybełkotałem — dlaczego, Olaf. Dlaczego...

— Hal!!

Poderwało mnie; wsparłem się na łokciu i zobaczyłem jej twarz tuż nad sobą, i kiedy usiadłem, tak osłupiał, że niezdolny do żadnej myśli, osunęła się powoli na moje kolana, ramiona trzęsły się jej spazmatycznie — a ja jeszcze nie wierzyłem. Miałem olbrzymią głowę, jak z waty.

— Eri — powiedziałem znieczulonymi wargami, które były dziwnie wielkie, ciężkie i jakoś bardzo oddalone ode mnie.

— Eri — to ty... czy mi się tylko...

I nagle siły wstąpiły we mnie, chwyciłem ją za ramiona, uniosłem, zerwałem się, zatoczyłem razem z nią — upadliśmy oboje na ciepły jeszcze, miękki piasek. Całowałem jej słoń, mokrą twarz i płakałem, pierwszy raz w życiu, i ona płakała. Nie mówiliśmy nic, długo; powoli zaczęliśmy się jakby bać — nie wiem, czego — wpatrywała się we mnie lunatycznymi oczami.

— Eri — powtarzałem — Eri... Eri...

Nie wiedziałem nic więcej. Położyłem się na piasku, osłabły nagle, a ona przestraszyła się, usiłowała podźwignąć mnie, ale nie starczyło jej sił.

— Nie, Eri — wyszeptałem — nie, mnie nic nie jest, to tylko tak...

— Hal! Mów! Mów!

— Co mam mówić... Eri...

Mój głos uspokoił ją trochę. Pobiegła gdzieś i wróciła z płaskim naczyniem, znowu polewała moją twarz wodą — była gorzka: to była woda Pacyfiku. Miałem się go więcej napić — przemknęło mi bezsensownie; zamrugałem powiekami. Przytomniałem. Usiadłem i dotknąłem głowy.

Nie było nawet skaleczenia, włosy zamortyzowały wszystko, miałem tylko guza jak pomarańczę, trochę zdartego naskórka, szumiało jeszcze porządnie w uszach, ale byłem już prawie dobry. Przynajmniej, jak długo siedziałem. Spróbowałem podnieść się, ale nogi nie bardzo czegoś słuchały.

Kłęczała przede mną, wpatrzona, z opuszczonymi rękami.

— To ty? Naprawdę? — spytałem. Dopiero teraz zrozumiałem; odwróciłem się i poprzez mdlący zawrót głowy, spowodowany tym ruchem, zobaczyłem, w świetle młodego księżyca, o kilkanaście metrów dalej na skraju szosy, dwa szczone ze sobą, czarne kształty. Już głosu mi zabrakło, kiedy wróciłem do niej oczami.

— Hal...

— Tak.

— Spróbuj wstać... pomogę ci...

— Wstać?

Widać nie miałem jeszcze dobrze w głowie. Rozumiałem, co się stało, i nie rozumiałem. To Eri była w gliderze? Niemożliwe.

— Gdzie Olaf? — spytałem.

— Olaf? Nie wiem.

— Jak to... Nie było go tu?

— Nie.

— Ty sama? Skinęła głową.

I nagle okropnie, nieludzko przestraszyłem się.

— Jak mogłaś! Jak mogłaś!

Twarz jej drżała, usta trzęsły się, nie mogła wymówić słowa.

— Mu... siałam...

Znowu płakała. Powoli ucichła, uspokoiła się. Dotknęła mojej twarzy. Czoła. Lekkimi dotknięciami obmacywała moją czaszkę, a ja powtarzałem, samym tchem:

— Eri... to ty?

Maligna. Powoli, powoli, wstałem, podpierała mnie, jak mogła; doszliśmy do szosy. Tam dopiero zobaczyłem, jak wyglądało auto; maska, cały przód, wszystko poszło w harmonię. Glider nie był za to prawie wcale uszkodzony — zrozumiałem dopiero teraz jego wyższość — oprócz lekkiego zakłębienia pokrywy, z boku, tam gdzie poszło główne uderzenie, nic. Eri pomogła mi do niego wsiąść, wycofała glider, aż wrak samochodu z przeciągłym łomotem blach zwałił się na bok, i ruszyła. Wracaliśmy. Milczałem, światła płynęły. Głowa chwiała mi się na ramionach, wciąż wielka i ciężka. Wyszliśmy przed domkiem. Okna wciąż były jeszcze oświetlone, jakbyśmy tam właśnie byli, teraz. Pomogła mi wejść. Położyłem się na

łóżku. Poszła do stołu, okrążyła go, szła ku drzwiom. Poderwałem się:

— Odchodzisz!

Przybiegła do mnie, osunęła się przy łóżku na kolana i głową powiedziała, że nie.

— Nie?

— Nie.

— I nigdy nie odejdziesz?

— Nigdy.

Objąłem ją. Przyłożyła policzek do mojej twarzy, a ze mnie wszystko uchodziło: dopalający się żużel zaciętości, gniewu i szaleństwa ostatnich godzin, strach, rozpacz, leżałem pusty, jak martwy — i tylko przyciskałem ją, coraz mocniej, jakby wracały mi siły, i była cisza, światło błyszczało w złotych obiciach pokoju, a gdzieś daleko, jakby w innym świecie, za otwartymi oknami, szumiał Pacyfik.

To może wydać się niezwykle. Ale nie mówiliśmy tego wieczoru nic, ani tej nocy. Nic, ani jednego słowa. Dopiero na drugi dzień, późno, dowiedziałem się, jak to było: kiedy tylko odjechałem, domyśliła się, po co, i przeraziła się, nie wiedziała, co robić — najpierw chciała zawołać białego robota, ale zrozumiała, że to nie pomoże; także i on — nie nazywała go inaczej — on też by nie pomógł. Może Olaf. Olaf na pewno, ale nie wiedziała, gdzie go szukać, zresztą nie było czasu. Więc wzięła domowy glider i pojechała za mną. Dogoniła mnie szybko i trzymała się z tyłu, jak długo była jeszcze szansa, że wracam tylko do domku. — Czy wysiadłabyś? — spytałem.

Wahała się.

— Sama nie wiem. Myślę, że tak. Teraz tak myślę, ale sama nie wiem.

Potem, kiedy zobaczyła, że jadę dalej, przelęknęła się jeszcze bardziej. Resztę wiedziałem.

— Nie. Nic nie rozumiem — powiedziałem. — Teraz dopiero nie rozumiem. Jak mogłaś to zrobić?

— Powiedziałam sobie, że... że nic się nie stanie.

— Wiedziałaś, co chcę zrobić i gdzie?

— Tak.

— Skąd?

Po długiej chwili:

— Nie wiem. Może stąd, że cię już trochę znam... Milczałem. O wiele rzeczy chciałem jeszcze pytać, ale nie śmiałem. Staliśmy przy oknie. Z zamkniętymi oczami, czując otwierający się oceanem przestwór, powiedziałem:

— No dobrze, Eri... ale co teraz? Co... będzie?

— Powiedziałam ci już.

— Ale ja nie chcę tak... — szepnąłem.

— Inaczej nie może być — odpowiedziała po długiej chwili. — Zresztą...

— Zresztą?

— Nie chcę.

Tego dnia, pod wieczór, znowu stało się jak gdyby gorzej. Bo to wracało i postępowało, i cofało się — dlaczego? Nie wiem. Ona też chyba nie wiedziała. Jak gdybyśmy tylko w obliczu ostateczności stawali się bliscy i tylko tam znali się i mogli naprawdę zrozumieć. I noc. I jeszcze jeden dzień.

A na czwarty słyszałem, jak rozmawiała przez telefon, i okropnie się przestraszyłem. Płakała potem. Ale przy obiedzie uśmiechała się już.

I taki był koniec i początek. Bo po następnym tygodniu pojechaliśmy do Mae, ośrodka okręgu, i tam, w urzędzie, przed biało ubranym człowiekiem, wymówiliśmy formuły, które uczyniły nas mężem i żoną. Tego samego dnia telegrafowałem do Olafa. Nazajutrz poszedłem na pocztę, ale nie było od niego nic. Pomyślałem, że może przeniósł się gdzieś i stąd ta zwłoka. Ale prawdę mówiąc, już wtedy, na poczcie, poczułem ukłucie niepokoju, bo to

milczenie nie było podobne do Olafa, ale przez wszystko, co zaszło, myślałem o tym tylko chwilę i nie powiedziałem jej nic. Jak gdybym zapomniał.

VI

Jak na parą skojarzoną tylko gwałtownością mego szaleństwa, odpowiadaliśmy sobie nadspodziewanie. Życie nasze ulegało dość osobliwemu podziałowi. Jeśli dochodziło do różnicy poglądów, Eri umiała bronić swego stanowiska, ale szło wtedy zazwyczaj o sprawy ogólne, była na przykład przekonaną zwolenniczką betryzacji i broniła jej argumentami nie wziętymi z książek. To, że przeciwstawiała swój sąd mojemu tak otwarcie, uważałem za dobry znak; ale te nasze dyskusje toczyły się za dnia. Mówić w jego świetle o mnie w sposób obiektywny, spokojny, nie śmiała albo raczej nie chciała, nie wiedząc zapewne, co z jej słów będzie „wytknięciem jakiejś mojej przywary, śmieszności „faceta z konserwowej bańki”, by użyć wyrażenia Olafa, a co atakiem skierowanym w sedno wartości mego czasu. Ale w nocy — jak gdyby przez to, że mrok redukował nieco moją obecność i rozcieńczał ją — mówiła mi o mnie, to znaczy — o nas, i byłem rad tym cichym rozmowom w ciemności, bo litościwie skrywała liczne moje osłupienia.

Opowiadała mi o sobie, o swoim dzieciństwie, i w ten sposób po raz wtóry, a właściwie pierwszy, bo wypełniony realną, ludzką treścią, dowiedziałem się, jak misternie było zbudowane to społeczeństwo nieustającej, czule stabilizowanej harmonii. Uważało za rzecz naturalną, że posiadanie dzieci, wychowanie ich w pierwszych latach życia jest kwestią wysokich kwalifikacji i wszechstronnego przygotowania, po prostu specjalnych studiów; już aby uzyskać pozwolenie posiadania potomka, małżeństwo musiało składać coś w rodzaju egzaminów; wydało mi się to zrazu czymś niesłychanym, ale przyznać musiałem po namyśle, że paradoksalność obyczajów obciążała raczej nas, dawnych, a nie ich — bo w starej społeczności nie można było zbudować domu, mostu, wyleczyć choroby, dokonać prostej czynności administracyjnej bez określonego wykształcenia, i tylko właśnie rzecz największej odpowiedzialności, rodzenie dzieci, kształtowanie ich psychiki, oddana była na los ślepego przypadku i chwilowego pożądania, a zbiorowość zaczynała ingerować wówczas, kiedy, jeżeli popełnione zostały błędy, na ich naprawę było za późno.

Tak więc uzyskanie prawa do dziecka było teraz szczególnym wyróżnieniem, nie przyznawanym byle komu; dalej, rodzice nie mogli izolować dzieci od ich rówieśników — tworzono specjalnie dobierane, dwupłciowe grupy, w których reprezentowane były najrozmaitsze temperameny; tak zwane dzieci trudne poddawano dodatkowym zabiegom hipnagogicznym, a uczenie wszystkich rozpoczynano niezwykle wcześnie. Nie była to nauka czytania i pisania, ta przychodziła daleko później; osobliwe kształcenie najmłodszych polegało na wprowadzaniu ich — poprzez specjalne zabawy — w funkcjonowanie świata, Ziemi, w bogactwo i różnorodność życia społecznego; już cztero-, pięcioletnim wpajano, właśnie w taki, niejako naturalny sposób, zasady tolerancji, współzycia, poszanowania innych przekonań i postaw, nieistotności najbardziej odmiennych, zewnętrznych cech fizycznych dzieci (więc ludzi) różnych ras. Wszystko to wydawało mi się bardzo piękne, z jednym lecz zasadniczym zastrzeżeniem, albowiem niewzruszonym fundamentem tego świata, jego wszechogarniającą regułą była betryzacja. Wychowanie zmierzało właśnie do tego, aby przyjmowano ją jako oczywistość, równą narodzinom czy śmierci. Nawet kiedy z ust Eri słyszałem, jak uczą w szkołach dawnej historii, ogarniał mnie gniew, z trudem tylko powściągany. Były to, w tym ujęciu, czasy zwierzęcości i barbarzyńskiego, niepomamowanego rozrodu, gwałtownych katastrof ekonomicznych i wojennych, a nieprzemilczane osiągnięcia cywilizacyjne przedstawiano jako wyraz tych sił i dążeń, które pozwalały ludziom przewycięzać ciemność i okrucieństwa epoki: dochodziło więc do owych osiągnięć niejako na przekór powszechnie wówczas panującej tendencji życia kosztem innych. To — powiadano — co dawniej przychodziło z największym trudem, co mogło być spełnieniem tylko dla nielicznych, do czego prowadziła droga najeżona niebezpieczeństwami

i koniecznością Wyrzeczeń, kompromisów, moralnych klęsk okupujących materialne sukcesy, jest teraz powszechne, łatwe i pewne.

Pół biedy jeszcze, póki rozprawiało się ogólnikami; na potępienie licznych stron przeszłości, choćby takich, jak wojny, gotów byłem przystać; także i brak — całkowity! — polityki, tarć, napięć, konfliktów międzynarodowych — choć zrazu zadziwiający, choć nasuwający podejrzenia, iż muszą istnieć, tyle że się je przemilcza — musiałem uznać za osiągnięcie, nie za utratę; ale gorzej było, gdy to przewartościowanie dotyczyło moich spraw najosobistszych. Bo nie tylko Starck swoją książką (napisaną, dodam, na pół wieku przed moim powrotem) rezygnował z wypraw kosmicznych. Tu Eri, absolwentka archeologii, mogła nauczyć mnie niejednego. Pierwsze już betryzowane pokolenia radykalnie zmieniły swój stosunek do astronautyki, ale po zmianie znaków z dodatnich na ujemne pozostał on nadal intensywny. Uważano więc, że popełniony został tragiczny błąd kulminacyjny właśnie w latach planowania naszej wyprawy, gdyż wtedy to wysyłano podobne ekspedycje całymi chmarami: błąd nie na tym tylko polegał, że plon tych wypraw okazał się nikły, że spenetrowanie obszaru przysłonecznego w promieniu wielu lat świetlnych nie doprowadziło — poza odkryciem, na nielicznych planetach, prymitywnych i obcych nam na ogół form wegetacji — do kontaktu z żadną wysoko rozwiniętą cywilizacją. I nie to także uważano za najgorsze, że przeraźliwe trwanie podróży zmieniać będzie, w miarę jak wytyczane cele staną się coraz dalsze, załogę statków, tych przedstawicieli Ziemi, w gromadę nieszczęsnych, śmiertelnie znękanych istot, które po wylądowaniu, tu czy tam, wymagać muszą troskliwej opieki i rekonwalescencji; że decyzja wysyłania podobnych zapaleńców jest bezmyślnością i okrucieństwem. Za najistotniejsze uznawano to, że kosmos pragnęła podbić Ziemia, która nie uczyniła jeszcze wszystkiego dla samej siebie, jak gdyby nie było oczywiste, że bezmiarów ludzkiego cierpienia, niesprawiedliwości, lęku i głodu na globie ziemskim nie ukoją heroiczne loty.

Ale tak myślało, jak mówię, pierwsze betryzowane pokolenie, potem bowiem, naturalnym biegiem rzeczy, przyszło zapomnienie i obojętność, a dowiadując się o romantycznym okresie astronautyki, dzieci dziwiły mu się, być może nawet odrobinę lęku odczuwały wobec tych swoich niepojętych przodków, równie obcych, równie niezrozumiałych, jak ich prapradziadowie, uwikłani w wojny łupieżcze i wyprawy za złotem. Ta obojętność właśnie najbardziej mnie przerażała, bo była gorsza od bezwzględного potępienia — dzieło naszego życia okryte zostało milczeniem, pogrzebane i zapomniane.

Eri nie starała się zapalić we mnie entuzjazmu do nowego świata, nie usiłowała mnie nań pospieszenie nawrócić; po prostu opowiadała o nim, mówiąc o sobie, a ja — właśnie dlatego, że mówiła o sobie i sobą wystawiała mu świadectwo — nie mogłem zamykać oczu na jego blaski.

Była to cywilizacja pozbawiona lęku. Wszystko, co istniało, służyło ludziom. Nic nie miało wagi, prócz ich wygody, zaspokojenia potrzeb oczywistych i najbardziej wyszukanych. Zewsząd, ze wszystkich dziedzin, w których obecność człowieka, ułomność jego namiętności, powolność jego reakcji mogła stworzyć choć najmniejsze ryzyko — został on wyeliminowany na rzecz urządzeń martwych, automatów.

Był to świat zamknięty na niebezpieczeństwo. Na grozę, walkę, na wszelki gwałt — nie było w nim miejsca; świat łagodności, form i obyczajów miękkich, przejść nieostrych, sytuacji niedramatycznych, równie zdumiewający bodaj, jak moja czy nasza (o Olafie myślę) nań reakcja.

Bo my właśnie przez dziesięć lat najedliśmy się tyle okropności tego wszystkiego, co jest przeciwne człowiekowi, co rani go i łamie, i wracaliśmy, mając tak tego dość, tak strasznie dość; każdy, słysząc, że powrót się opóźni, że trzeba stawić czoło nowym miesiącom próżni, skoczyłby chyba mówiącemu do gardła. I oto my, którzy już znieść nie mogliśmy ciągłego ryzyka, ślepej szansy meteorytowego trafienia, tego wiecznego napięcia oczekiwać, tych mąk

przeżywanych, kiedy jakiś Arder czy Ennesson nie wracał ze zwiadowczego lotu, zaczynaliśmy się naraz powoływać na ów czas grozy jako na coś jedynie słusznego, właściwego, nadającego nam godność i sens. A przecież teraz jeszcze wzdrygałem się, kiedy zdarzyło się wspomnieć, jak siedząc, leżąc, pozawieszani w najdziwniejszych pozycjach nad okrągłą kabiną radiowa, czekaliśmy i czekali w ciszy, przerywanej tylko miarowym brzęczeniem sygnału nadawanego przez samoczynny wywoływacz statku, widząc, jak w martwym, błękitnym świetle krople potu spływają z czoła radiotelegrafisty, zamarłego w takim samym oczekiwaniu — podczas kiedy uruchomiony zegar alarmowy szedł bezgłośnie, aż wreszcie moment, w którym wskazówka jego dotknęła czerwonego punktu tarczy, stawał się ulgą. Ulgą... bo wtedy można już było ruszyć na poszukiwania i samemu zginąć, a to wydawało się naprawdę łatwiejsze od tamtego oczekiwania. My, piloci, nienaukowcy, byliśmy starymi chłopcami, nasz czas zatrzymał się na trzy lata jeszcze przed właściwym startem. Przez te trzy lata przechodziliśmy kolejne próby narastającego obciążenia psychicznego. Były tego trzy główne etapy, trzy stacje, zwane krótko Pałacem Duchów, Maglem i Koronacją.

Pałac Duchów to było zamknięcie w małym pojemniku, odcięty od świata najdoskonalej, jak można sobie wyobrazić. Do jego wnętrza nie dochodził żaden dźwięk, promień światła, szczypta powietrza, zrodzone na zewnątrz drgnienie. Podobny do małej rakiety, pojemnik wyposażony był w jej fantomową aparaturę, zapasy wody, żywności i tlenu. I trzeba było tam żyć, beczynnienie, nie mając absolutnie nic do roboty, przez miesiąc — który wydawał się wiecznością. Nikt nie wychodził stamtąd taki, jaki wszedł. Ja, jeden z najtwardszych rzemieni doktora Jenssena, dopiero w trzecim tygodniu zacząłem widzieć te dziwne rzeczy, które inni dostrzegali już w czwartym — piątym dniu: potwory bez twarzy, bezkształtne tłumy, które wysączały się z martwo świecących zegarowych tarcz, aby wdawać się ze mną w nieprzytomne rozmowy, aby zawisnąć nad moim spoconym ciałem, które traciło granice, odmieniało się, olbrzymiało, nareszcie — to było bodaj najprzeróżniejsze — zaczynało się jak gdyby usamodzielniać, zrazu podrygując pojedynczymi włókienkami mięśni, potem, poprzez mrowienia i odrętwienia, przechodziło do przykurczów, na koniec ruchów, które obserwowałem, osłupiały, nie pojmując — i gdyby nie wstępny trening, gdyby nie teoretyczne wskazówki, gotów bym sądzić, że moimi rękami, głową, karkiem o władnęły demony. Wytapicerowane wnętrze pojemnika widziało ponoć sceny nie do opisanego, nie do nazwania — Janssen i sztab jego ludzi dzięki odpowiednim aparatom byli świadkami tego, co działo się w środku, ale nikt z nas o tym — wtedy — nie wiedział. Poczucie izolacji musiało być autentyczne i pełne. Dlatego znikanie niektórych asystentów doktora było dla nas niezrozumiałe. Dopiero podczas podróży Gimma powiedział mi, że oni się po prostu załamywali. Jeden, niejaki Gobbek, usiłował podobno otworzyć przemocą zasobnik, bo nie mógł patrzeć na męki zamkniętego w nim człowieka.

Ale to był dopiero Pałac Duchów. Bo potem szedł jeszcze Magiel, z jego wywrotkami i centryfugami, z piekielną machiną akcelerującą, która zdolna była dać 400 g — przyspieszenie nigdy oczywiście nie realizowane, bo zmieniłoby człowieka w kałużę, ale i 100 g wystarczyło, aby w ułamku sekundy cały grzbiet badanego stał się lepki od wypoconej przez skórę krwi.

Ostatnią próbę, Koronację, przeszedłem zupełnie dobrze. Było to ostatnie już sito, ostatnia stacja odsiewu. Al Martin, chłop, który wtedy, na Ziemi, wyglądał jak ja dziś, kolos, jedna bryła żelaznych mięśni, sam spokój wcielony, jak mogło się zdawać, wrócił z Koronacji na Ziemię w takim stanie, że od razu wywieźli go z ośrodka.

Była ta Koronacja sprawą całkiem prostą. Ubierali człowieka w skafander, wywozili na orbitę okołoziemską i na wysokości jakichś stu tysięcy kilometrów, gdzie Ziemia świeciła jak pięciokrotnie powiększony Księżyc, wyrzucali go po prostu z rakiety w próżnię, a potem odlatywali. I trzeba było, wisząc tak, poruszając nogami i rękami, czekać na ich powrót, na

ocalenie; skafander był pewny, wygodny, miał aparatury tlenowe, klimatyzacyjne, ogrzewał, karmił nawet człowieka pastą odżywczą, wyciskaną co dwie godziny ze specjalnego ustnika. Tak że nic nie mogło się stać, chyba żeby popsuł się aparacik radiowy, który przymocowany do skafandra z zewnątrz, dawał automatycznym sygnałem znać, gdzie znajduje się jego właściciel. Nie było w tym skafandrze jednej tylko niezbędnej rzeczy, radia łączności, umyślnie, rozumie się, więc nie można w nim było usłyszeć żadnego głosu prócz własnego. Mając wokół siebie tę czerń niematerialną i gwiazdy, trzeba było, w nieważkim zawieszaniu, czekać. Dostyc długo, co prawda, ale nie bardzo. Nic więcej.

Tak, ale ludzie dostawali od tego obłądę; na rakiety bazy wciągano wijących się w jakichś drgawkach epileptycznych. To było najbardziej przeciwne wszystkiemu, co tkwiło w człowieku — doskonałe unicestwienie, ztrata, śmierć z pełnią przetrwałej świadomości, było to doświadczenie wieczności, wchodziła w człowieka i dawała mu poczuć swój potworny smak. Wiedza zawsze uważana za niemożliwą, nienaoczną, o wszechkierunkowej bezdni pozaziemskiego istnienia, stawała się naszym udziałem; nieskończony upadek, gwiazdy między jakże bezużytecznymi, wijącymi się nogami, daremność, bezpotrzeba rąk, ust, gestów, wszelkiego ruchu i bezruchu, w skafandrach puchł krzyk, nieszczęśnicy wyli — dosyc.

Dość wspominań tego, co było przecież tylko próbą, wstępem, czymś przygotowanym umyślnie w sposób zapobiegliwy, i to z zabezpieczeniami: ani jednemu z „koronowanych” nie stało się, w sensie fizycznym, nic; wszystkich odnalazła rakietą bazy. Co prawda i tego nam nie mówiono, aby autentyczność sytuacji była możliwie największa.

Koronacja poszła mi dobrze, bo miałem swój własny system. To było bardzo proste i zupełnie nieuczciwe: nie wolno było tego robić. Kiedy wyrzucili mnie z luku, zamknąłem oczy. Potem rozmyślałem o różnych rzeczach. Jedyne, co trzeba było mieć w obfitości, to wolę. Trzeba sobie było powiedzieć, że się tych nieszczęsnych oczu nie otworzy, żeby nie wiedzieć co. Janssen, jak sądzę, wiedział o moim wybiegu. Nie miało to dla mnie żadnych konsekwencji.

Ale wszystko to działo się na Ziemi lub w jej pobliżu. Potem przyszła już nie wymyślona i nie stworzona laboratoryjnie próżnia, która zabijała naprawdę, nie na niby; i która niekiedy oszczędzała: Olafa, Gimme, Thurbera, mnie, tamtych siedmiu z „Ulissesa” — i nawet dała nam wrócić. Po czym my, którzyśmy niczego tak nie pragnęli, jak spokoju, ujrawszy nasze marzenie zrealizowane w sposób doskonały, natychmiast wzgardziliśmy nim. To, zdaje się, Platon powiedział: „Nieszczęsny — będziesz miał to, czegoś chciał”.

VII

Którejś nocy, bardzo późno, leżeliśmy zmęczeni miłością, przechylona w bok twarz Eri spoczywała w zgięciu mego łokcia, a podnosząc oczy mogłem widzieć na wprost, przez otwarte okno, gwiazdy w rozziwieniu chmur. Nie było wiatru, zasłona, przewieszona przez parapet, zastygła białawym fantomem, ale z otwartego oceanu szła martwa fala i słyszałem zwiastujący ją przeciągły huk, a potem nierówny szum, z którym łamała się na plaży, po czym na kilkadziesiąt uderzeń serca nastawała cisza i znowu niewidzialne wody szturmowały w ciemności płaski brzeg. Ale ja prawie nie słyszałem tego powtarzającego się miarowo przypomnienia ziemskiej obecności, wpatrzony szeroko otwartymi oczami w Krzyż Południa, którego Beta była naszą przewodniczką, i każdy dzień rozpoczynałem od jej namiaru, tak że w końcu dokonywałem go całkiem automatycznie, zajęty innymi myślami; prowadziła nas niezawodnie, nigdy nie gasnąca latarnia próżni. Miałem nieomal w ręku ucisk metalowych rękojeści, które przesuwalem, aby świetlny punkt, ostrze ciemności, wprowadzić w centrum pola widzenia, podczas gdy miękka gumowa obwódka okularu obejmowała brwi i policzki. Ta gwiazda, jedna z najdalszych, nie zmieniła się prawie u samego celu, świecąc wciąż z jednakową obojętnością, podczas kiedy cały Krzyż Południa dawno rozpadł się i przestał dla nas istnieć, bo wtargnęliśmy w głąb jego ramion, a wtedy ten biały punkt, ten gwiazdowy olbrzym przestał być tym, czym wydawał się na początku, wyzwaniem; jego niezmiennosc ukazała nam rzeczywiste swe znaczenie, była świadectwem znikomości naszych poczynań, obojętności próżni, wszechświata, z którą nikt nigdy nie zdołał się pogodzić.

Ale teraz, usiłując wychwycić pomiędzy dwoma rozegrzmieniami Pacyfiku oddech Eri, prawie w to nie wierzyłem. Mogłem sobie powtarzać milcząc: Naprawdę, naprawdę byłem tam — ale potwierdzenie w niczym nie osłabiało bezbrzeżnego zdumienia. Eri drgnęła. Chciałem przesunąć się, zrobić jej więcej miejsca, ale naraz poczułem jej wzrok.

— Nie śpisz? — szepnąłem. Nachyliłem się, chcąc dotknąć ustami jej ust, ale położyła mi na wargach końce palców. Trzymała je tak chwilę, potem zeszła nimi wzdłuż mego obojczyka ku piersi, owiodła twarde zakłębienie między żebrami, przycisnęła do niego dłoń.

— Co to jest? — wyszeptała.

— Blizna.

— Co to było?

— Miałem wypadek.

Zamilkła. Czulem, że patrzy na mnie. Uniosła głowę. Jej oczy były tylko ciemnością, bez blasku, widziałem ledwo zarys ramienia, oddychający, biały.

— Dlaczego nie mówisz mi nic? — szepnęła.

— Eri?...

— Dlaczego nie chcesz mówić?

— O gwiazdach? — zrozumiałem nagle. Milczała. Nie wiedziałem, co powiedzieć.

— Myślisz, że nie zrozumiesz?

Patrzałem na nią z bliska, przez mrok, przez szum oceanu, który wypełniał i opuszczał pokój, i nie wiedziałem, jak jej to wytłumaczyć.

— Eri...

Chciałem ją objąć. Wyswobodziła się i usiadła na łóżku.

— Nie musisz mówić, jeżeli nie chcesz. Ale powiedz, dlaczego.

— Nie wiesz? Naprawdę nie wiesz?

— Teraz już wiem. Chciałeś mnie... oszczędzić?

— Nie. Po prostu boję się.

— Czego?

— Sam dobrze nie wiem. Nie chcę tego rozgrzebywać. Niczego nie przekreślam. To

zresztą niemożliwe. Ale mówić, znaczyłoby — tak mi się wydaje — zamknąć się w tym. Przed wszystkimi, przed wszystkim, przed tym, co jest... teraz...

— Rozumiem — powiedziała cicho. Błada plama jej twarzy znikła, opuściła głowę. — Myślisz, że mam to za nic...

— Nie, nie — usiłowałem jej przerwać.

— Czekaj, teraz ja. To, co myślę o astronautyce, i że sama nigdy bym nie opuściła Ziemi, to jedna rzecz. Ale to nie ma nic wspólnego z tobą i ze mną. A właściwie ma: bo jesteśmy razem. Inaczej — nie bylibyśmy, nigdy. Ona dla mnie — to ty. Dlatego tak chciałabym... ale nie musisz. Jeżeli jest, jak mówisz. Jeżeli tak czujesz.

— Powiem.

— Ale nie dziś.

— Dziś.

— Połóż się.

Opadłem na poduszki. Poszła na palcach, biejąc w mroku. Zasunęła firankę. Gwiazdy znikły, został tylko przeciągły, z martwym uporem powracający szum Pacyfiku. Prawie nie już nie widziałem. Powiew zdradził jej kroki, posłanie ugięło się.

— Widziałas kiedyś statek klasy „Prometeusza”?

— Nie.

— Jest bardzo wielki. Na Ziemi ważyłby ponad trzysta tysięcy ton.

— I było was tak mało?

— Dwunastu. Tom Arder, Olaf, Arne, Thomas — piloci. No i ja. I siedmiu uczonych. Ale jeśli myślisz, że tam było pusto, mylisz się. Dziewięć dziesiątych masy — to napęd. Fotoagregaty. Magazyny, zapasy, zespoły rezerwowe — część mieszkalna jest niewielka. Każdy z nas miał po kabinie, nie licząc wspólnych. W środkowej części kadłuba — centrala i małe rakiety do lądowania, i sondy-rakiety, jeszcze mniejsze, od pobierania próbek korony...

— Byłeś nad Arkturum — w takiej?

— Tak. Z Arderem.

— Czemu nie lecieliście razem?

— W jednej rakiecie? Bo to zmniejsza szansę.

— Dlaczego?

— Sonda to jest chłodzenie, wiesz. Taka jakby latająca lodówka. Tyle miejsca, żeby usiąść. Siedzi się w lodowej skorupie. Ten lód taje od strony pancerza i ścina się z powrotem na rurach. Sprężarki mogą się zepsuć. Wystarczy chwila, zachłyśnięcie, bo na zewnątrz jest osiem, dziesięć albo dwanaście tysięcy stopni. Jeżeli staną w dwuosobowej rakiecie, to musi zginąć dwóch. A tak — tylko jeden. Rozumiesz?

— Rozumiem.

Trzymała rękę na tym beczułym miejscu mojej piersi.

— To... się stało tam?

— Nie, Eri — może opowiem ci coś innego?

— Dobrze.

— Nie myśl tylko... tego nikt nie wie.

— Tego?

Blizna wyodrębniła się pod ciepłem jej palców — jakby zaczynała na powrót żyć.

— Tak.

— Jak to możliwe? A Olaf?

— Olaf też nie. Nikt. Okłamałem ich. Eri. Już muszę ci powiedzieć, za daleko zalażłem. Eri... to było w szóstym roku. Wracaliśmy już, ale w obrębie chmury nie można iść szybko. To jest wspaniały widok; im szybciej idzie statek, tym gwałtowniejsza staje się luminescencja chmury — za nami ciągnął się ogon, nie jak ogon komety, raczej jak zorza polarna, rozwiany na boki, w głąb nieba, ku alfie Eridana, na tysiące i tysiące mil... Ardera i Ennessona nie było

już. Venturi też nie żył. Budziłem się zawsze o szóstej rano, światło zmieniało się wtedy z niebieskiego na białe. Usłyszałem Olafa, mówił ze sterowni. Zauważył coś ciekawego. Poszedłem na dół. Radar pokazywał plamkę, trochę z kursu. Przyszedł Thomas i zastanawialiśmy się, co to może być. Na meteor było za wielkie, zresztą meteory nigdy nie chodzą same. Na wszelki wypadek zmniejszyliśmy jeszcze szybkość. To zbudziło tamtych. Kiedy przyszli, pamiętam, Thomas żartował, że to pewno statek. Nieraz się tak mówiło. W przestrzeni muszą być statki innych układów, ale łatwiej spotkałyby się dwa komary wypuszczone po przeciwnych stronach kuli ziemskiej. Byliśmy już przy rozziwie tej zimnej chmury mgławicowej, pył stał się tak rzadki, że gołym okiem widziało się gwiazdy szóstej wielkości. Ta plamka okazała się planetoidą. Coś jak Vesta. Ze ćwierć biliona ton, może więcej. Wyjątkowo regularna, prawie kulista. To jest rzadkie. Mieliśmy ją od dziobu, na dwu miliparsekach. Szła kosmiczną, a my — za nią. Thurber spytał mnie, czy możemy podejść bliżej. Powiedziałem, że możemy, na ćwiartkę mikroparseka.

Zbliżyliśmy się. W teleskopie wyglądała jak jeżozwierz — najeżona kolcami kula. Osobliwość. Prawie do muzeum. Thurber zaczął się spierać z Bielem, czy jest pochodzenia tektonicznego. Thomas wtrącił, że to można rozstrzygnąć: W energii straty żadnej, i tak nie zaczęliśmy się jeszcze rozpędzać. Polecą, weźmie parę okruchów i wróci. Gimma wahał się. Z czasem byliśmy dobrze — mieliśmy wciąż rezerwę. W końcu zgodził się. Pewno dlatego, że byłem tam. Chociaż nic nie mówiłem. Może właśnie dlatego. Bo wytworzyły się między nami takie stosunki — ale o tym kiedyś indziej. Zastopowaliśmy; taki manewr trwa; planetka odeszła tymczasem, mieliśmy ją na radarach. Byłem niespokojny, bo od rozpoczęcia powrotu wciąż sypały się biedy. Awaryjne, głupie, ale trudne do usunięcia — i jak gdyby bez rozsądnego powodu. Nie mam się za przesądny, chociaż wierzę w prawo serii. W końcu brakło mi jednak argumentów. Wyglądało to na dziecinadę — mimo to sam sprawdziłem silnik Thomasa i powiedziałem mu, żeby uważał. Na kurz.

— Na co?

— Na kurz. W obrębie zimnej chmury planetoidy działają jak odkurzacze, wiesz? Ściągają go z przestrzeni, w której krążą, a mają na to czas. Osadza się warstwami, tak że może je dwukrotnie powiększyć. Ale wystarczy dmuchnąć wylotami albo nawet stąpnąć mocniej, a podnosi się kurzawa i wisi tak. Zdawałoby się, głupstwo, ale nic nie widać. Więc mu to powiedziałem. Sam zresztą wiedział, nie gorzej ode mnie. Olaf wystrzelił go z burtowej wyrzutni, poszedłem na górę, do namiarowni, i zacząłem go prowadzić. Widziałem, jak podchodził, jak manewrował, odwrócił pocisk i opuścił się na powierzchnię jak po sznurku. Wtedy oczywiście straciłem go z oczu. Było to jednak, w skali ziemskiej, ze trzy mile...

— Widziałeś go w radarze?

— Nie, na optycznej, to znaczy przez lunetę. Infraczerwoną. Ale rozmawiałem z nim cały czas. Przez radio. W momencie kiedy pomyślałem, że dawno nie widział u Thomasa tak starannego lądowania — myśmy wszyscy zaczęli jak gdyby bardziej uważać, kiedy rozpoczął się powrót... — zobaczyłem mały błysk i ciemna plama zaczęła się rozpełzać na tarczy planetoidy. Gimma, który stał obok mnie, krzyknął. Myślał, że Thomas, w ostatniej chwili, chcąc wyhamować upadek, uderzył płomieniem. To się tak mówi, wiesz. Daje się jeden momentalny odrzut, naturalnie nie w takich warunkach. I wiedziałem, że Thomas nigdy by tego nie zrobił. To musiał być piorun.

— Piorun? Tam?

— Tak. Widzisz — każde ciało, poruszające się z wielką szybkością w chmurze, ładuje się elektrycznością statyczną, od tarcia. Między „Prometeuszem” a tamtą planetką panowała różnica potencjałów. To mogą być miliardy woltów. Nawet więcej. Kiedy Thomas lądował, skoczyła iskra. To był ten błysk, a od nagłego żaru wstał kurz i po minucie cała tarcza była zakryta chmurą. Nie słyszeliśmy go — jego radio trzeszczało tylko. Byłem wściekły, najwięcej na sobie, że to zlekceważyłem. Rakieta miała specjalne odgromniki, kolcowe, i

ładunek powinien był spływać ognikami Elma, cicho. Ale nie spłynął. Zresztą wylądowania zdarzają się, ale nie takie. To było wyjątkowej mocy. Gimma spytał mnie, jak sądzę, kiedy chmura opadnie. Thurber o nic nie pytał, było jasne, że to są dni. Doby.

— Doby?

— Tak. Bo ciężenie jest tam nadzwyczaj małe. Kamień, puszczonej z ręki, spada nieraz i parę godzin. Co dopiero kurz, który wyrzuciło na setki metrów w górę. Powiedziałem Gimmie, żeby zajął się swoimi sprawami, bo musimy czekać.

— I nic nie można było zrobić?

— Nie. To znaczy, gdybym miał pewność, że Thomas tkwi w rakiemie, mógłbym zaryzykować. Odwróciłbym „Prometeusza”, podszedłbym i dmuchnąłbym z bliska pełnym ciągiem, żeby się to świństwo rozleciało na całą Galaktykę — ale nie miałem tej pewności. A szukać go?... Powierzchnia planетки wielkością dorównywała, bo ja wiem, Korsyce. Poza tym w pyłowej chmurze mógłbym przejść obok niego na wyciągnięcie ręki i nie zobaczyłbym go. Było jedno wyjście. On miał je w ręku. Mógł wystartować i wrócić.

— Nie zrobił tego?

— Nie.

— Nie wiesz, czemu?

— Domyślałem się. Musiałby startować na ślepo. Ja widziałem, że ta chmura sięga, no — pół mili nad powierzchnię, ale on tego nie wiedział. Bał się zderzenia z jakimś nawisem, skałą. Mógł wylądować na dnie głębokiej szczeliny. No i wisielimy tak jeden dzień, drugi — tlenu i zapasów miał na sześć. Żelazna racja. Oczywiście nikt nie był w stanie cokolwiek robić. Chodziło się i wymyślało sposoby wyciągnięcia Thomasa z tej bredni. Emitory. Różne długości fal. Rzucaliśmy tam nawet flary. Ani błysły, ta chmura była czarna jak grób. Trzeci dzień — trzecia noc. Pomiary wykazywały, że opada, ale nie byłem pewien, czy opadnie, całkiem przez tych pozostających Thomasowi 70 godzin. Bez żywności mógł tam w końcu siedzieć i dłużej, ale nie bez powietrza. Nagle przyszedł mi do głowy pomysł. Rozumowałem tak: rakiet Thomasa jest, w znacznej części, ze stali. Jeżeli na tej przeklętej planetoidzie nie ma rud żelaza, to może uda się go znaleźć ferrowskazem. Takim aparatem do wykrywania żelaznych przedmiotów, wiesz. Mieliśmy bardzo czuły. Reagował na gwóźdź z odległości trzech czwartych kilometra. Rakiety wykryłby na wiele mil. Musieliśmy z Olafem przejrzeć jeszcze to i owo w aparacie. Potem powiedziałem Gimmie, co i jak — poleciałem.

— Sam?

— Tak

— Dlaczego sam?

— Bo bez Thomasa było nas już tylko dwóch, a „Prometeusz” musiał mieć pilota.

— I oni się zgodzili? Uśmiechnąłem się po ciemku.

— Byłem pierwszym pilotem. Gimma nie mógł mi rozkazywać, tylko proponować, a ja obliczałem szansę i mówiłem tak albo nie. To znaczy mówiłem, naturalnie, tak. Ale w awaryjnych sytuacjach decyzyja należała do mnie.

— A Olaf?

— No, znasz już trochę Olafa. Możesz sobie wyobrazić, że nie od razu poleciałem. Ale w końcu to ja właściwie wysłałem Thomasa. Nie mógł temu zaprzeczyć. Dość że poleciałem. Oczywiście, bez rakiety.

— Bez rakiety?...

— Tak, w skafandrze, z gazowym pistoletem. To trwało trochę, ale nie tak długo, jakby się zdawało. Kłopot miałem z ferrowskazem, bo to była prawie skrzynia, okropnie nieporęczna. Nie ważył tam naturalnie nic, ale wchodząc w chmurę musiałem uważać, żeby o coś nie stuknąć. Chmurę, kiedy się tam zbliżyłem, przestałem widzieć, tylko gwiazdy zaczęły znikać, najpierw po kilka, od obwodu, potem już pół nieba było czarne — obejrzałem się. „Prometeusz” świecił cały z daleka, miał takie urządzenie do luminizowania pancerza.

Wyglądał jak biały, długi ołówek z grzybkim na końcu — to był fotonowy reflektor. Naraz wszystko znikło. Przejście było ostre. Może sekunda czarnej mgły, potem już nic. Radio miałem wyłączone, zamiast niego w słuchawkach śpiewał mi ferrowskaz. Do skraju chmury leciałem ledwo parę minut, ale opadałem na powierzchnię ponad dwie godziny — musiałem uważać. Elektryczna latarka okazała się na nic, jak się zresztą spodziewałem. Zacząłem szukać. Wiesz, jak wyglądają wielkie stalaktyty, w jaskiniach...

— Wiem.

— Coś w tym rodzaju, tylko bardziej niesamowite. Mówię o tym, co zobaczyłem później, kiedy chmura już opadła, bo w czasie tych poszukiwań nic, jakby ktoś smołą zalał szybę skafandra. Skrzynkę miałem na szelkach. Musiałem poruszać antenką, nasłuchiwać, idąc z wyciągniętymi rękami — nigdy w życiu nie naprzewracałem się tyle, co tam. Nieszkodliwie tylko dzięki nikłości ciężenia, i naturalnie żeby choć trochę było widać, człowiek dziesięć razy zdążyłby odzyskać równowagę. Ale tak — komuś, kto tego nie zna, trudno opowiedzieć... Ta planetka składała się z nagromadzenia iglic, z balansujących gładów — stawiałem nogę i zaczynałem lecieć gdzieś, z tą pijaną powolnością naturalnie, odbić się nie mogłem, bo wówczas przez kwadrans szybowałbym w górze. Musiałem po prostu czekać, próbowałem tylko iść dalej, wówczas ospiska ruszały pode mną, te gruzy, filary, ułamki kamienia, wszystko było zaledwie szczipione, bo przecież wiązała je siła niezwykle nikła — co nie oznacza, żeby padając na człowieka, wielki gład nie mógł go tam zabić... bo wtedy działa masa, nie ciężar; jedno tylko, że zawsze jest czas uskoczyć, naturalnie, jeśli się ten upadek, takie runięcie widzi... albo słyszy przynajmniej. Ale tam i powietrza nie było przecież, więc tylko po drgnieniach skały pod podszewkami orientowałem się, że znów musiałem wyważyć z równowagi cały jakiś skalny gmach, i mogłem tylko czekać, czy z tej smoły nie wychynie odłam, który zacznie mnie zgniatać... Jednym słowem, tak sobie tam wędrowałem godzinami i dawno przestałem traktować mój pomysł z ferrowskazem za genialny... Na każdy krok także dlatego musiałem uważać, bo nieopatrznie znalazłem się już parę razy w powietrzu, to znaczy, w zawieszeniu... jak w błazeńskim śnie. W końcu złapałem sygnał. Gubiłem go coś osiem razy, nie pamiętam dokładnie, dość że kiedy znalazłem rakietę, na „Prometeuszu” była już noc.

Stała skosem, wkopana do połowy w ten piekielny pył. To jest coś najmniejszego, najdelikatniejszego na świecie, wiesz? Substancja omal niedotykalna... najłżejszy puch stawia na Ziemi znacznie większy opór. Drobinki są tak niewiarygodnie małe... Zajrzałem do środka, nie było go w rakiecie. Powiedziałem, że stała skosem, ale nie byłem tego wcale pewny; człowiek nie mógł oznaczać tam pionu bez specjalnych aparatów, trwałoby to i tak z godzinę, a zwykły ciężarek, nic prawie nie ważąc, jak mucha latałby na końcu sznurka, zamiast uczciwie go naciągnąć... Nie dziwiłem się więc, że nie próbowałem startu. Włazłem do środka. Od razu zobaczyłem, że usiłował zmajstrować precyzyjny pion, z tego, co miał pod ręką, i nie wyszło mu. Żywności zostało nawet sporo, za to tlenu nic. Musiał przetłoczyć wszystko, co miał, do butli skafandra i wyszedł.

— Dlaczego?

— Tak, ja też się pytałem, dlaczego. Był tam trzy dni. W takiej rakiecie jest tylko fotel, ekran, dźwignie i kłapa za plecami. Siedziałem tam chwilę. Rozumiałem już, że go nie znajdę. Przez sekundę pomyślałem, że może wyszedł właśnie wtedy, kiedy przyleciałem, że użył gazowego pistoletu, aby wrócić na „Prometeusza”, siedzi tam już, podczas kiedy ja łażę po tych gruzach pijanych... wyskoczyłem z rakiety tak energicznie, aż wyniosło mnie w górę i poleciałem. Żadnego poczucia kierunku, nic. Wiesz, jak jest, kiedy w zupełnej ciemności zobaczy się iskierkę? Jak oczy potrafią fantazjować na jej temat? Jakie z niej wywodzą promienie, wizje — więc, zmysł równowagi... z nim jest coś podobnego. Tam gdzie w ogóle nie ma ciężenia, jeszcze pół biedy, skoro się człowiek przyzwyczai. Ale kiedy pojawia się nadzwyczaj słabe, jak na tej skorupie... błędnik, podrażniony, reaguje właśnie w sposób —

błądny, żeby nie powiedzieć — obłądny. To ci się zdaje, że mkniesz świecą w górę, to że lecisz w otchłań, i tak wciąż. A są jeszcze sensacje wirowania i wzajemnego przesuwania rąk, nóg, torsu — jakby wszystko pozamieniało się miejscami, jakby głowa wyrastała nie ze swego miejsca...

Więc takem sobie tam leciał, aż wyrznąłem o jakąś ścianę, odbiłem się, zaczepiłem o coś, zrolowało mnie, ale zdążyłem chwycić się wystającej bryły... Ktoś tam leżał. Thomas.

Milczała. W ciemności szumiał Pacyfik.

— Nie. Nie to, co myślisz. Żył. Od razu usiadł. Włączyłem radio. Na taką małą odległość mogliśmy się doskonale porozumiewać.

— To ty? — odezwał się.

— Tak, to ja — powiedziałem. Scena jak z wiejskiej komedii, taka niemożliwa. Ale tak było. Wstaliśmy obaj.

— Jak się czujesz? — spytałem.

— Świetnie. A ty?

To mnie odrobinę zdziwiło, ale powiedziałem:

— Dziękuję ci, bardzo dobrze. W domu też wszyscy zdrowi.

To było idiotyczne, ale myślałem, że on umyślnie tak — żeby pokazać, że się trzyma, rozumiesz?

— Rozumiem.

Kiedy stał całkiem blisko, widziałem go trochę w blasku naramiennej lampki, jako taką gęściejszą ciemność. Wymacałem skafander — był cały.

— Masz tlen? — spytałem. To było najważniejsze.

— E, to głupstwo — powiedział.

Zastanowiłem się, co robić. Wystartować jego rakieta? Raczej nie, to zbyt ryzykowne. Prawdę mówiąc, nie bardzo się nawet ucieszyłem. Bałem się — a właściwie nie byłem pewien — trudno to wyjaśnić. Sytuacja była nierealna, czułem w niej coś osobliwego, chociaż nie wiedziałem, co to jest, i nawet nie zdawałem sobie z tego jasno sprawy. Tyle właśnie, że nie ucieszyłem się tym cudownym odnalezieniem. Kombinowałem, jak ocalić rakieta. W końcu, pomyślałem, to nie jest najważniejsze. Musiałem się pierwej zorientować, jak z nim jest. Tymczasem staliśmy tak, w tej czarnej nocy bez gwiazd.

— Co robiłeś przez cały czas? — spytałem. Chciałem wiedzieć, to było ważne. Jeżeli próbował robić cokolwiek, choćby odbijać minerały, byłby to dobry znak.

— Różne rzeczy — powiedział. — A co ty robiłeś, Tom?

— Jaki Tom? — spytałem i zrobiło mi się trochę chłodno, bo przecież Arder nie żył od roku i on o tym dobrze wiedział.

— Przecież ty jesteś Tom. Nie? Poznaję twój głos. Nic nie powiedziałem, a on dotknął rękawicą mego skafandra, który dźwięknął, i powiedział:

— Cholerny świat, nie? Nic nie widać i nic nie ma. Wyobrażałem to sobie całkiem inaczej. A ty?

Pomyślałem, że z tym Arderem coś mu się przywidziało, w końcu... zdarzyło się to już niejednemu.

— Tak — powiedziałem. Nieciekawie tu. Ruszemy, co Thomas?

— Ruszemy? — zdziwił się. — Jak to... Tom? Przestałem zwracać uwagę na tego Toma.

— A co, chcesz tu zostać? — powiedziałem.

— A ty nie?

Nabiera mnie, pomyślałem, ale dość już tych głupich kawałów.

— Nie — powiedziałem. — Musimy wracać. Gdzie twój pistolet?

— Zgubiłem go, jak umarłem.

— Co?!

— Ale nie przejąłem się — powiedział. — Umarłemu niepotrzebny pistolet.

— No, no — powiedziałem. — Daj, przepaszę cię i pojedziemy.

— Zwariowałeś, Tom? Dokąd?

— Na „Prometeusza”.

— Przecież nie ma go tu...

— Tam dalej jest. No, daj, niech cię przepaszę.

— Czekał. Odtrącił mnie.

— Ty jakoś dziwnie mówisz. Ty nie jesteś Tom!

— Pewno, że nie. Jestem Hal.

— To ty umarłeś? Kiedy?

Wiedziałem już mniej więcej, co i jak, i zacząłem się dostrajać.

— No... — powiedziałem — dobrych parę dni temu. Daj, niech cię przepaszę...

Ale nie chciał pozwolić. I zaczęliśmy się przekomarzać, najpierw niby żartobliwie, potem bardziej serio, próbowałem go uchwycić, ale nie mogłem, w skafandrze. Co robić? Nie mogłem zostawić go ani na chwilę, bo drugi raz już bym go nie znalazł. Cud nie zdarza się dwa razy. A on chciał tam zostać jako umarły, I tak — od słowa do słowa — gdy mi się zdawało, że już go przekonałem, kiedy niby się zgodził — i dałem mu potrzymać mój pistolet gazowy — przybliżył twarz do mojej twarzy, że prawie go zobaczył, przez podwójne szkła, krzyknął: Łajdaku! oszukałeś mnie! Ty żyjesz! — i strzelił do mnie.

Czułem, już od dobrej chwili, twarz Eri przyciśniętą do mego barku. Z ostatnim słowem drgnęła, jakby poszedł po niej prąd, i zakryła ręką bliznę. Milczeliśmy chwilę.

— To był bardzo dobry skafander — powiedziałem. — Nie puścił, wiesz? Wlażł mi tu cały, złamał nasadę żebra, wgniółł ją, zmiażdżył mięśnie, ale nie puścił. Przytomności nawet nie straciłem, tylko nie mogłem ruszyć jakiś czas prawą ręką i czułem, po gorącu, jak mi w środku leci krew. Na moment musiało mnie jednak zamroczyć, bo kiedy wstałem, Thomasa nie było, a nie wiem, kiedy znikł ani jak. Szukałem go, po omacku, na czworakach, i zamiast niego znalazłem pistolet. Musiał go rzucić od razu po strzale. No, i z jego pomocą wydostałem się. Zauważyli mnie, gdy tylko wyskoczyłem nad chmurę. Olaf przybliżył statek jeszcze bardziej i wciągnęli mnie do środka. Powiedziałem, że go nie znalazłem. Że odkryłem tylko pustą rakietę, a pistolet wypadł mi z ręki i strzelił, kiedy się potknąłem. Skafander jest podwójny. Kawałek wewnętrznej blachy odskoczył. Mam go tu pod żebrem.

Znowu milczenie i huk fali, narastający, przeciągły, jakby zbierała się do skoku przez wszystkie plaże, nie zrażona klęską nieskończonego szeregu poprzedniczek. Płycejąc, burzyła się, rozłamywała, słychać było jej miękki tętent, coraz bliższy i cichszy, aż do nastającej ciszy.

— Odlecieliście?...

— Nie. Czekaliśmy. Po dalszych dwu dniach chmura osiadła i poleciałem drugi raz. Sam. Rozumiesz, dlaczego, poza wszystkimi innymi powodami?

— Rozumiem

— Znalazłem go szybko, bo skafander świecił w ciemności. Leżał pod skalną igłą. Twarzy nie było widać, szybka zaszła od wewnątrz szronem, tak że podnosząc go pomyślałem w pierwszej chwili, że trzymam w rękach tylko pustą skorupę... prawie nic nie ważył. Ale to był on. Zostawiłem go i wróciłem jego rakieta. Zbadałem ją potem dokładnie i zrozumiałem, czemu tak się stało. Zegar mu stanął, zwykły zegar — stracił rachubę czasu. Ten zegar odliczał godziny i dni. Naprawiłem go i przesunąłem, żeby nikt nie mógł się domyślić.

Objąłem ją. Czułem, jak mój oddech nieznacznie rozgarnia jej włosy. Dotykała blizny, i nagle to, co było pieśczętą, stało się pytaniem.

— Ona ma taki kształt...

— Dziwny, prawda? Bo to było zszywane dwa razy, szwy puściły za pierwszym... szły mnie Thurber. Bo Venturi, nasz lekarz, już nie żył.

— Ten, który dał ci czerwoną książkę?

— Tak. Skąd wiesz, Eri — mówiłem ci? Nie, to niemożliwe.

— Mówiłeś do Olafa, wtedy — pamiętasz...

— Prawda. Ale że to zapamiętałaś! Taki drobiazg. Właściwie jestem świnią. Została na „Prometeuszu”, ze wszystkim.

— Masz tam rzeczy? Na Lunie?

— Tak. Ale nie warto właściwie ich ściągać.

— Warto, Hal.

— Kochanie, wiesz, zrobiliby się zaraz muzeum pamiątek. Nie znoszę tego. Jeśli ściągnę, to tylko po to, żeby spalić, a zostawię tylko tych parę drobiazgów, które mam po tamtych. Ten kamyk...

— Jaki kamyk?

— Mam więcej tych kamyków. Jest jeden z Kerenei, jest z planetoidy Thomasa — tylko nie myśl, że zajmowałem się jakimś kolekcjonowaniem! Po prostu dostawały się w rzeźbę podeszwy butów, Olaf powyciągał je i schował, zaopatrzony w odpowiednie napisy. Nie mogłem mu tego wybić z głowy. Bzdura, ale muszę ci to powiedzieć. Tak, powinienem nawet, żebyś nie myślała, że wszystko było tam straszne i że oprócz umierania nic się nie zdarzyło. Wyobraź sobie... współistnienie światów. Najpierw róż, najłżejszy, najdelikatniejszy, nieskończoność z różu, a w niej druga, przenikająca ją, ciemniejsza, a dalej czerwień, prawie sina, ale to bardzo daleko, a dokoła samoświecenie, nieważkie, nie jak chmura, nie jak mgła — inne. Nie ma na to słów. Wyszliśmy we dwóch z rakiety i patrzyliśmy. Eri, ja tego nie rozumiem. Wiesz, mnie jeszcze teraz ściska się trochę gardło, takie to było piękne. Pomyśl: tam nie ma życia. Tam nie ma roślin ani zwierząt, ani ptaków, nic, żadnych oczu, które mogłyby to dostrzec. Jestem pewien — że chyba od stworzenia świata nikt na to nie patrzył, że myśmy byli pierwsi, z Arderem, i gdyby nie to, że zepsuł się nam grawipeleng i wylądowaliśmy, aby go wyskalować, bo kwarc się stłukł i rtęć wypłynęła — to do końca świata nikt by tam nie stanął i nie zobaczył tego. Czy to nie jest niesamowite? Człowiek miał ochotę — no, nie wiem. Nie mogliśmy stamtąd odejść. Zapomnieliśmy, po cośmy wylądowali, tylko tak staliśmy, stali i patrzyli.

— Co to było, Hal?

— Nie wiem. Kiedyśmy wrócili i opowiadali o tym, Biel chciał koniecznie lecieć, ale nie dało się. Nie mieliśmy za wiele rezerwowej mocy. Porobiliśmy tam masę zdjęć, ale nic z tego nie wyszło. Na zdjęciach wyglądało to jak różowe mleko, z liliowymi palisadami, i Biel bredził o fosforescencji krzemowodorowych wyziewów, przypuszczam, że sam w to nie wierzył, ale z rozpaczą, że nie będzie tego badał, usiłował to sobie jakoś wytłumaczyć. To było, jak... jak nic właśnie. Nic takiego nie znamy. Niepodobne do niczego. Miało olbrzymią głębię, ale to nie był krajobraz. Mówiłem ci, te odcienie, coraz dalsze i ciemniejsze, że aż w oczach grało. Ruch — właściwie nie. Płynęło i stało. Zmieniało się, jakby oddychało, ale wciąż jednak było to samo, kto wie, może najważniejszy był w tym ogrom. Jakby poza tą okrutną, czarną istniała druga wieczność, druga nieskończoność, taka skupiona i potężna, taka jasna, że zamykając oczy człowiek przestawał w nią wierzyć. Kiedyśmy popatrzyli na siebie... Trzeba było znać Ardera. Pokażę ci jego fotografię. To był chłop — większy ode mnie, wyglądał jakby przez każdy mur mógł przejść i nawet by go nie zauważył. Mówił zawsze powoli. Słyszałaś o tej... dziurze na Kerenei?

— Tak.

— Tkwił tam, w skale, gotowało się pod nim takie rozpalone błoto, w każdej chwili mogło buchnąć w syfon, w którym ugrzązł, a on mówił tak: Hal — poczekaj. Ja się jeszcze rozejrzę. Może, jakbym butle zdjął — nie. Nie zdejmę, pasy mi się skrzyżowały. Ale zaczekaj jeszcze. — I tak dalej. Można było pomyśleć, że mówi przez telefon z pokoju hotelowego. To nie była poza, taki był. Najtrzeźwiejszy z nas wszystkich: zawsze obliczał. Dlatego poleciał potem ze mną, nie z Olafem, który był jego przyjacielem — ale słyszałaś o tym...

— Tak.

— Więc... Arder. Kiedy na niego popatrzałem, tam — miał łzy w oczach. Tom Arder. Zresztą wcale się nie wstydził, wtedy ani potem. Jakiś później o tym mówili, a mówiliśmy nieraz, wracaliśmy do tego — inni stawali się źli. Myśleli, że robimy to umyślnie, że udajemy czy co. Bo tacy robiliśmy się... niebiańscy. Śmieszne, nie? Do rzeczy. Popatrzyliśmy na siebie i to samo przyszło nam do głowy. Chociaż nią wiedzieliśmy, czy wyskalujemy ten grawipeleng jak trzeba. Inaczej nie odnaleźlibyśmy „Prometeusza”. Pomyśleliśmy, że było warto. Tylko po to, żeby tam stać tak i patrzeć w ten radosny majestat.

— Czy staliście na górze?

— Nie wiem. Eri, tam była jakby inna perspektywa. Patrzyliśmy jak z wysoka, ale to nie był żaden stok. Czekał. Widziałaś wielki kanion Colorado?

— Widziałam.

— Wyobraź sobie, że ten kanion jest tysiąc razy większy. Albo milion. Że jest zrobiony z czerwonego i różowego złota, prawie zupełnie przezroczysty, że widać na przestrzał wszystkie warstwy, łęki, siodła geologiczne jego formacji, że to wszystko jest nieważkie, płynie i jakby się uśmiechało do ciebie bez twarzy. Nie, to nie to. Kochanie, myśmy się okropnie starali z Arderem powiedzieć to jakoś tamtym, ale nic z tego nie wyszło. Ten kamyk — jest właśnie stamtąd... Arder wziął go na szczęście. Nosił go zawsze. Na Kerenei też go miał. Trzymał w pudełeczku po pastylkach witaminowych. Kiedy zaczął kruszeć, owinał go watą. Potem — jak wróciłem sam, znalazłem go, leżał pod koją w jego kabinie. Pewno mu wypadł. Olaf, mam wrażenie, myślał, że to przez to, ale nie śmiał mi tego powiedzieć, bo to było zbyt głupie... Co mógł jakiś kamyk mieć wspólnego z tym drucikiem, który zepsuł Arderowi radio?...

VIII

Tymczasem Olaf wciąż nie dawał znaku życia. Mój niepokój stał się wyrzutem sumienia. Obawiałem się, czy nie zrobił czegoś szalonego. Był przecież dalej sam, i to bardziej jeszcze aniżeli ja przedtem. Nie chciałem wciągać Eri w nieprzewidziane wypadki, a to mogło być konsekwencją podjętych na własną rękę poszukiwań, dlatego postanowiłem pojechać najpierw do Thurbera. Nie byłem pewien, czy poproszę go o radę — chciałem go tylko widzieć. Adres miałem od Olafa; Thurber przebywał w uniwersyteckim ośrodku Malleolan. Zawiadomiłem go depeszą o moim przyjeździe i rozstałem się, pierwszy raz, z Eri. W ciągu ostatnich dni stała się milkliwa i niespokojna; przypisywałem to trosce o Olafa. Obiecałem jej, że wrócę możliwie szybko, prawdopodobnie już za dwa dni, i nie podejmę po rozmowie z Thurberem żadnych dalszych kroków, dopóki się z nią nie porozumiem.

Eri odprowadziła mnie do Houlu, gdzie wziąłem bezpośredni ulder. Plaże Pacyfyku opustoszały już, w obliczu nadciągających jesiennych sztormów, z okolicznych miejscowości lotniskowych znikły tłumy kolorowej młodzieży i nie zdziwiło mnie, że jestem jedynym omal pasażerem srebrnego pocisku. Lot w chmurach, odrealniający otoczenie, trwał niespełna godzinę i zakończył się o zmierzchu. Miasto wychynęło z zapadającej ciemności wielobarwnym ogniem — najwyższe budowle, kielichowce, jaśniały we mgle jako cienkie, nieruchome płomienie, ich sylwety świeciły wśród białych oparów kształtami gigantycznych motyli, połączone napowietrznymi łukami najwyższego poziomu komunikacyjnego; kolejne, niższe piętra ulic tworzyły wnikające popod siebie, kręte, kolorowe rzeki. Być może sprawiła to mgła, a może był to efekt szklistego budulca, dość że centrum przedstawiało się z wysokości jako zgęstka drogocennego szkliwa o współśrodkowych słojach, jak szklana wyspa, obsypana klejnotami i wzniesiona w oceanie, którego lustrzana powierzchnia powtarzała coraz słabiej przeświecające kondygnacje aż do ostatnich, ledwo już widzialnych, jakby z podziemi miasta przeświecał jego rubinowo rozżarzony szkielet. Trudno było uwierzyć, że ta feeria przepływających w siebie ogni i barw jest po prostu mieszkaniem kilku milionów ludzi.

Zespół uniwersytecki znajdował się za miastem. Tam dopiero, wewnątrz wielkiego parku, na betonowej płaszczyźnie wylądował mój ulder. O pobliżu miasta świadczyła tylko bladossrebrna luna, obejmująca niebo nad czarną ścianą starodrzewu. Długa aleja zaprowadziła mnie do głównego budynku, ciemnego, jakby wymarłego.

Ledwo, otwarłem wielkie szklane drzwi, w środku zapłonęło światło. Znajdowałem się w sklepionym hallu, wykładanym bladoniebieską intarsją. System przejść z dźwiękoszczelną izolacją doprowadził mnie do długiego korytarza, prostego i surowego — otwarłem jedno i drugie drzwi, ale wszystkie pomieszczenia były puste i jakby dawno opuszczone. Poszedłem na górę, zwykłymi schodami. Zapewne była gdzieś winda, ale nie chciało mi się jej szukać, zresztą te schody stanowiły w jakiejś mierze osobliwość, bo były nieruchome. Na górze ciągnął się w dwie strony taki sam korytarz i podobnie bezludne pokoje; na drzwiach jednego ujrzałem niewielką kartkę z wyraźnie nakreślonymi słowami „Tutaj, Bregg”. Zapukałem i natychmiast usłyszałem głos Thurbera.

Wszedłem. Siedział zgarbiony na tle ciemności panującej za całościennym oknem, w świetle nisko opuszczonej lampy. Biurko, przy którym pracował, zavalone było papierami i książkami — prawdziwymi książkami — a na drugim, mniejszym, obok, leżały całe garście kryształicznego „zboża” i rozmaite aparaty. Przed sobą miał stos arkuszy i piórem — maczanym w atramencie! — robił notatki na marginesach.

— Siadaj — powiedział, nie podnosząc głowy. — Kończę już.

Usiadłem w niskim fotelu obok biurka, zaraz jednak przesunąłem go w bok, bo światło czyniło twarz Thurbera jednolitą plamą, a chciałem go dobrze widzieć.

Pracował po swojemu, powoli, pochyleniem głowy i nasunięciem brwi chroniąc się przed blaskiem lampy. Był to jeden z najskromniejszych pokoi, jakie dotąd widziałem, o matowych ścianach, o szarych drzwiach, bez jednej ozdoby, bez śladu uprzykrzonego złota — po obu stronach drzwi widniały czworoboczne, ślepe teraz ekrany, ścianę przy oknie zajmowały metalowe szafki, o jedną stał oparty wysoki rulon map czy technicznych rysunków — to było właściwie wszystko. „Przeniosłem wzrok na Thurbera. Łysy, masywny, ciężki — pisał, od czasu do czasu zdejmując grzbietem ręki łzę z oka. Zawsze mu łzawiły, a Gimma (lubił zdradzać sekrety innych, takie zwłaszcza, które ktoś szczególnie starał się ukryć) powiedział mi kiedyś, że Thurber obawia się o swój wzrok. Zrozumiałem wtedy, dlaczego zawsze kładł się pierwszy, kiedy zmienialiśmy przyspieszenie, i czemu — w późniejszych latach — pozwalał się zastępować innym w pracach, które poprzednio zawsze wykonywał sam. Zebrał oburącz papiery, stuknął nimi o biurko, żeby wyrównać brzegi, schował do teczki, zamknął ją i wtedy dopiero, opuszczając wielkie ręce o palcach grubych i jakby z trudem tylko się zginających, powiedział:

— Witaj, Hal. Jak ci się wiedzie?

— Nie narzekam. Czy... jesteś sam?

— To znaczy: czy jest tu Gimma? Nie. Nie ma go; wyjechał wczoraj. Do Europy.

— Pracujesz?...

— Tak.

Zapadło krótkie milczenie. Nie wiedziałem, jak przyjmie to, co mam mu do powiedzenia — wołałem zorientować się pierwaj, jak patrzy na sprawy zastanego przez nas świata. Co prawda, znając go, nie spodziewałem się wylewności. Zawsze zachowywał dla siebie większą część swych sądów.

— Czy dawno tu już jesteś?

— Bregg — powiedział, wciąż tak samo nieruchomy — wątpię, żeby cię to interesowało. Kołujesz.

— Możliwe — powiedziałem. — To znaczy, że mam mówić?

Odczuwałem to samo wewnętrzne skłócenie, coś pośredniego między rozdrażnieniem i nieśmiałością, jakie ogarniało mnie zawsze wobec niego — innych bodajże też. Nigdy nie wiedziałem, kiedy żartuje czy drwi, a kiedy mówi serio; przy całym spokoju, całej uwadze, jaką poświęcał partnerowi, pozostawał doskonale nieuchwytny.

— Nie — powiedział. — Może potem. Skąd przyjechałeś?

— Z Houlu.

— Prosto stamtąd?

— Tak... a dlaczego pytasz?

— To dobrze — powiedział, jakby nie słyszał moich ostatnich słów. Może przez pięć sekund patrzył na mnie nieruchomo, jakby się chciał upewnić o mojej obecności, bo jego spojrzenie nie wyrażało nic — ale wiedziałem już, że coś się stało. Nie byłem tylko pewny, czy mi powie. Nie umiałem przewidzieć jego zachowania. Zastanawiałem się nad tym, jak mam zacząć, on tymczasem przyglądał mi się coraz uważniej, zupełnie jakbym mu się objawił w nieznannej postaci,

— Co robi Vabach? — spytałem, kiedy te milczące oględziny jeły się przeciągać nad miarę.

— Pojechał z Gimma.

Nie o to pytałem i on wiedział o tym, ale w końcu nie przyjechałem w sprawie Vabacha. Znowu zapadło milczenie. Zaczynałem już żałować mojej decyzji.

— Słyszałem, że się ożeniłeś — powiedział naraz, jak od niechcienia.

— Owszem — odparłem, może zbyt oschle.

— Dobrze ci to zrobiło.

Usiłowałem znaleźć za wszelką cenę inny temat. Poza Olafem nic nie przychodziło mi do

głowy, a nie chciałem jeszcze o niego pytać. Bałem się uśmiechu Thurbera — pamiętałem, jak potrafił nim doprowadzić Gimnę, i nie tylko Gimnę, do rozpacz — ale uniósł tylko nieznacznie brwi i spytał:

— Jakie masz plany?

— Żadnych — odparłem zgodnie z prawdą.

— A chciałbyś coś robić?

— Tak. Ale nie byle co.

— Nic dotąd nie robiłeś?

Teraz już się na pewno zaczerwieniłem. Byłem zły.

— Tyle co nic... Thurber... ja... nie przyszedłem w mojej sprawie.

— Wiem — powiedział spokojnie. — Staave, co?

— Tak.

— Było w tym pewne ryzyko — powiedział i odepchnął się lekko od biurka. Fotel posłusznie wykręcił w moją stronę.

— Oswamm oczekiwał najgorszego, zwłaszcza potem, jak Staave wyrzucił swój hipnagog... ty też go wyrzuciłeś, co?

— Oswamm? — powiedziałem — jaki Oswamm... czekaj — ten z Adaptu?

— Tak. Najbardziej niepokoił się o Staavego. Wyprowadziłem go z błędu.

— Jak to — wyprowadziłeś?

— Ale Gimma poręczył za was obu... — dokończył Thurber, jakby mnie cały czas nie słyszał.

— Co?! — powiedziałem, unosząc się z miejsca — Gimma?!

— Oczywiście, nic sam nie wiedział — ciągnął swoje Thurber. — I powiedział mi to.

— Więc po jakiego diabła ręczył! — wybuchnąłem, oszołomiony jego słowami.

— Uważał, że musi — lakonicznie wyjaśnił Thurber. — Że kierownik wyprawy musi znać swoich ludzi...

— Bzdura.

— Powtarzam tylko to, co powiedział Oswammowi.

— Tak? — powiedziałem. — A czego ten Oswamm się w końcu bał? Że się zbuntujemy, czy jak?

— A nie miałeś ochoty? — spokojnie spytał Thurber.

Zastanowiłem się uczciwie.

— Nie — powiedziałem wreszcie. — Serio nigdy.

— I dasz betryzować swoje dzieci?

— A ty? — spytałem powoli.

Uśmiechnął się, po raz pierwszy, drgnieniem bezkrwistych ust. Nic nie powiedział.

— Słuchaj, Thurber... pamiętasz ten wieczór, po ostatnim locie rozpoznawczym nad Betą... kiedy ci powiedziałem...

Skinął obojętnie głową. Nagle mój spokój prysł.

— Nie powiedziałem ci wtedy wszystkiego, wiesz. Byliśmy tam razem, nie na równych prawach. Słuchałem was, ciebie, Gimnę, bo sam tego chciałem. Wszyscy chcieli, Venturi, Thomas, Ennesson i Arder, któremu Gimma nie dał rezerwy, bo chował ją na lepszą okazję. W porządku. Tylko jakim prawem mówisz teraz do mnie tak, jakbyś przez cały czas siedział na tym krześle? Przecież to ty posłałeś Ardera na dół, na Kerenei, w imię nauki, Thurber, a ja wyciągnąłem go w imię jego nieszczęsnych flaków, po czym wróciliśmy, i okazuje się, że pozostała tylko racja flaków. Tylko ta się teraz liczy; tamta nie. Więc może to ja powinienem wypytywać cię teraz o samopoczucie i ręczyć za ciebie, a nie na odwrót? Jak myślisz? Ja wiem, co ty myślisz. Przywiozłeś kupę materiałów i masz się w czym schować do końca życia, i wiesz, że nikt z tych ugrzeczniionych nie powie ci: wiele kosztowała ta analiza spektralna? jednego? dwóch ludzi? Czy nie uważa pan, profesorze Thurber, że to trochę

drogo? Nikt ci tego nie powie, bo oni nie mają z nami żadnych rachunków. Ale Venturi ma. I Arder, i Ennesson. I Thomas. Czym będziesz teraz płacił, Thurber? Wyprowadzeniem Oswamma z błędu — co do mnie? A Gimma — ręcząc za nas z Olafem? Jakem cię pierwszy raz zobaczył, toś robił dokładnie to, co dziś. To było w Apprenous. Siedziałeś przy papierach i patrzyłeś jak w tej chwili: w antrakcie ważniejszych spraw — w imieniu nauki... Wstałem.

— Podziękuj Gimmie, że się tak ujął za nami...

Thurber też wstał. Może przez sekundę mierzyliśmy się oczami. Był niższy, ale się tego nie czuło. Jego wzrost nie miał znaczenia. Niewypowiedziany był spokój jego wzroku.

— Udzielisz mi głosu czy jestem już skazany? — spytał.

Mruknąłem coś niezrozumiałego.

— To usiądź — powiedział i nie czekając, sam ciężko opuścił się na fotel.

Usiadłem.

— Coś jednak robiłeś — powiedział takim tonem, jak byśmy dotąd rozprawiali o pogodzie. — Przeczytałeś Starcka, uwierzyłeś mu, masz się za oszukanego i szukasz teraz winnych. Gdyby ci na tym naprawdę zależało, mogę to wziąć na siebie, tę winę. Ale nie o to chodzi. Starek przekonał cię — po tych dziesięciu latach? Bregg — wiedziałem, że jesteś narwany, ale nie przypuszczałem, że jesteś głupi. — Zamilkł na chwilę, a ja, dziwna rzecz, odczułem zarazem jakby ulgę — i jakby przecucie wyzwolenia. Nie miałem czasu zastanawiać się nad sobą, bo znowu się odezwał.

— Kontakt cywilizacji galaktycznych? Kto ci o nim mówił? Żaden z nas i nikt z klasyków, ani Merquier, ani Simoniadi, ani Rag Ngamieli — nikt, żadna wyprawa nie liczyła na kontakt i dlatego całe to gadanie o podróżujących w próżni wykopaliskach, o tej wiecznie spóźnionej poczcie galaktycznej jest zbijaniem tez, których nikt nie stawiał. Co można mieć z gwiazd? A jakie były korzyści wyprawy Amundsena? Andree'ego? Żadne. Jedyna doraźna korzyść leżała w tym, że udowodniona została — możliwość. Że to można zrobić. A mówiąc dokładniej — że to jest, dla danego czasu, najtrudniejsza rzecz, jeszcze osiągalna. Nie wiem, czy myśmy nawet to zrobili, Bregg. Naprawdę nie wiem. Ale byliśmy tam.

Milczałem. Thurber nie patrzył już na mnie. Oparł pięści o krawędź biurka.

— Co ci udowodnił Starck — bezużyteczność kosmodromii? Jakbyśmy jej sami nie znali! A bieguny? Co było na biegunach? Ci, co je zdobywali, wiedzieli, że tam nic nie ma. A księżyc? Czego szukała grupa Rossa w kraterze Eratostenesa? Brylantów? A po co Bant i Jegorin przeszli centrum tarczy Merkurego — żeby się opalić? A Kellen i Offshagg — jedyną rzeczą, jaką na pewno wiedzieli lecąc do zimnego obłoku Cerbera, było, że można w nim zginąć. Czy zdajesz sobie sprawę z tego, co naprawdę mówi Starck? Człowiek musi jeść, pić i ubierać się; reszta jest szaleństwem. Każdy ma swojego Starcka, Bregg. Każda epoka go miała. Po co Gimma wysłał cię i Ardera? Żebyście pobrali próbki koronossawą. Kto wysłał Gimme? Nauka. Jakie to rzeczowe, prawda? Badanie gwiazd. Bregg, czy myślisz, że nie polecilibyśmy, gdyby ich nie było? Ja myślę, że tak. Chcielibyśmy poznać tę pustkę, a żeby to jakoś usprawiedliwić, Geonides czy ktoś inny powiedziałby nam, jakie cenne pomiary i badania będzie można przeprowadzić po drodze. Zrozum mnie dobrze. Nie mówię, że gwiazdy są tylko pretekstem. Przecież i biegun nim nie był, Nansen i Andree potrzebowali go... Everest był Mallory'emu i Irvingowi bardziej potrzebny od powietrza. Ty mówisz, że rozkazywałem wam... w imię nauki? Przecież wiesz, że to nieprawda. Wypróbowałeś moją pamięć. Może ja wypróbuję twoją? Pamiętasz planetoidę Thomasa? Drgnąłem.

— Tyś nas wtedy okłamał. Poleciałeś drugi raz, wiedząc, że on już nie żyje. Prawda?

Milczałem.

— Domyślałem się już wtedy. Nie mówiłem o tym z Gimma, ale przypuszczam, że on też. Po coś tam poleciał, Bregg? To już nie był Arktur ani Kereneia i nie było kogo ratować. Po coś tam laź — człowieku?

Milczałem. Thurber nieznacznie się uśmiechał.

— Wiesz, co było naszym pechem, Bregg? To, że się nam powiodło i że siedzimy tu. Człowiek zawsze wraca z pustymi rękami...

Zamilkł. Jego uśmiech zmienił się w grymas, prawie bezmyślny. Oddychał chwilę głośniej, zaciskając obie garście na brzegu biurka. Patrzałem na niego, jakbym go zobaczył pierwszy raz — bo pomyślałem, że jest już stary — i odkrycie to było wstrząsem. Nigdy nie przyszło mi to do głowy w związku z nim; zupełnie, jakby był bezwieczny...

— Thurber — powiedziałem cicho — słuchaj... ale to przecież... to tylko mowa pogrzebowa nad grobem tych — nienasyconych. Takich już nie ma. I nie będzie. Więc jednak — Starck wychodzi z tego górą...

Pokazał końce płaskich, żółtych zębów, ale to nie był uśmiech.

— Bregg, daj mi słowo, że nikomu nie powtórzysz tego, co ci powiem.

Wahałem się.

— Nikomu — powtórzył z naciskiem.

— Dobrze.

Wstał, podszedł do kąta, ujął rulon zwiniętych papierów i wrócił z nim do biurka.

Papier szeleścił rozwijając mu się w rękach. Zobaczyłem czerwoną, jakby krwią nakreśloną, rozplataną rybę.

— Thurber!

— Tak — odparł spokojnie, zwijając oburącz rulon.

— Nowa wyprawa?!

— Tak — powtórzył. Podszedł do kąta i postawił rulon, opierając go o ścianę, jak broń.

— Kiedy? Dokąd?

— Nieprędko. Do Centrum.

— Chmura Strzelca... — wyszeptalem.

— Tak. Przygotowania potrważą. Ale, dzięki anabiozie...

Mówił dalej, ale dochodziły mnie tylko pojedyncze słowa: „lot w pętli”, „akceleracja bezgrawitacyjna” — a podniecenie, jakie ogarnęło mnie, kiedy zobaczyłem wyrysowaną przez konstruktorów sylwetę wielkiego pocisku, zmieniło się w niespodziewaną ocieźność, z której jak przez zapadający mrok, przyglądałem się leżącym na kolanach własnym rękami. Thurber przestał mówić, przyjrzał mi się spod oka, podszedł do biurka i zaczął składać teczki z papierami, jakby chciał dać mi czas dla oswojenia się z niezwykłą wieścią. Powinienem być go zarzucić pytaniami — kto z nas, starych, będzie leciał, jak wiele lat pochłonie wyprawa, jakie są jej cele, nie spytałem o nic. Nawet o to, czemu rzecz trzymana jest w tajemnicy. Popatrzałem na jego zgrubiałe, wielkie ręce, na których podeszły wiek wypisał się wyraźniej niż na twarzy, i w moje otępienie wmieszała się odrobina satysfakcji, tyleż nieoczekiwanej, co niskiej — że on też na pewno nie poleci. Nie dożyję ich powrotu, choćbym miał pobić rekord Matuzalema — pomyślałem. Wszystko jedno. To nie miało już żadnego znaczenia. Wstałem. Thurber szeleścił papierami.

— Bregg — powiedział, nie podnosząc oczu — mam jeszcze trochę roboty, jeżeli chcesz, możemy zjeść razem kolację. Przenocować będziesz mógł w dormitorium, jest teraz puste.

Mruknałem „dobrze” i zbliżyłem się do drzwi. Pracował, jakby mnie już nie było. Postąłem chwilę u progu i wyszedłem. Jakiś czas nie wiedziałem dobrze, gdzie jestem, aż doszło mnie dźwięczne, miarowe stukanie^ odgłos własnych kroków. Przystanąłem. Znajdowałem się pośrodku długiego korytarza, między dwoma szeregami jednakowych drzwi. Echo kroków wciąż było słychać. Złudzenie? Ktoś szedł za mną? Odwróciłem się i zobaczyłem znikającą w odległych drzwiach wysoką sylwetkę. Trwało to tak krótko, że nie zobaczyłem właściwie tego człowieka, a tylko sam ruch, fragment nikiących pleców i zamykające się odrzwia. Nie miałem co tu robić. Dalej iść nie było sensu — korytarz kończył się ślepo. Zawróciłem, minąłem wielkie okno, nad czarnym masywem parku srebrzyła się w nim łuna miasta, znowu się zatrzymałem u drzwi z kartką „Tutaj, Bregg”, za którymi

pracował Thurber. Nie chciałem go już widzieć. Nie miałem mu nic do powiedzenia ani on — mnie. Po co w ogóle przyjechałem? Nagle, ze zdziwieniem, przypomniałem sobie, po co. Należało wejść do środka i spytać o Olafa — ale nie teraz. Nie w tej chwili. Nie brakło mi sił, czułem się zupełnie dobrze, a jednak działo się ze mną coś, czego nie rozumiałem. Ruszyłem ku schodom. Naprzeciw nich były ostatnie z szeregu drzwi, te w których zniknął przed chwilą nieznany człowiek. Uprzytomniłem sobie, że zajrzałem do tego pokoju na samym początku, kiedy wszedłem do budynku i szukałem Thurbera; poznałem skośną kreskę obdrapanego lakieru. W tym pokoju nie było nic. Czego szukał w nim człowiek, który tam wszedł?

Ogarnięty pewnością, że nie szukał niczego — że tylko chciał się skryć przede mną — stałem długą chwilę niezdecydowany, naprzeciw schodów, pustych, oświetlonych białym, nieruchomym światłem. Powoli, cal po calu odwróciłem się. Opanował mnie osobliwy niepokój, nie był to właściwie niepokój, niczego się nie obawiałem — byłem cały jak po zastrzyku znieczulającego środka; napięty, chociaż spokojny, zrobiłem dwa kroki, wyteżyłem słuch, zmrużyłem oczy i wydało mi się wtedy, że słyszę — po drugiej stronie drzwi — oddech. To było niemożliwe. Teraz pójdę sobie — zakonkludowałem, ale to było już niemożliwe, zbyt wiele uwagi poświęciłem owym idiotycznym drzwiom, aby po prostu odejść. Otwarłem je i zajrzałem do środka. Pod małą sufitową lampką na środku pustego pokoju stał Olaf. Był w swoim starym ubraniu, z podwiniętymi rękawami, jakby „przed chwilą rzucił narzędzia.

Patrzyliśmy na siebie. Widząc, że nie mam zamiaru się odezwać, zrobił to wreszcie pierwszy.

— Jak się masz, Hal...

Jego głos nie był zupełnie pewny.

Nie chciałem niczego udawać, byłem po prostu zaskoczony okolicznościami nieoczekiwanego spotkania, a może nie minęło jeszcze ogłuszające działanie słów Thurbera, dość że nic nie odpowiedziałem. Podeszedłem do okna, z którego roztaczał się taki sam widok na czarny park i lunę miasta, odwróciłem się i przysiadłem na parapecie. Olaf nie poruszył się. Stał wciąż na środku pokoju, z książki, którą trzymał, wysunął się pojedynczy arkusz papieru i spłynął na podłogę. Pochyliliśmy się jednocześnie; podniosłem papier i zobaczyłem schemat ideowy pocisku, tego samego, który przed chwilą pokazywał mi Thurber. Pod spodem widniały uwagi skreślone ręką Olafa. Pewno o to szło — pomyślałem. Nie odzywał się, bo sam leci, i chciał oszczędzić mi tej wiadomości. Muszę mu powiedzieć, że był w błędzie, bo wcale nie zależy mi na wyprawie. Mam dość gwiazd, poza tym wiem o wszystkim od Thurbera, więc może mówić ze mną z czystym sumieniem.

Z rysunkiem w ręku wpatrywałem się uważnie w jego linie, jakbym aprobował śmigłość rakiety, nic jednak nie powiedziałem, oddałem mu tylko papier, który wziął z pewnym ociąganiem i złożony we dwoje schował do książki. Wszystko to działo się w milczeniu, jestem pewien, że nieumyślnie, ale scena ta, może właśnie dlatego, że rozgrywała się w ciszy, nabrała symbolicznego znaczenia, jakbym przyjmował do wiadomości jego planowany udział w wyprawie i zwracając mu rysunek, akceptował ten krok, bez entuzjazmu, ale i bez żalu. Kiedy poszukałem jego oczu, umknął nimi, aby natychmiast zerknąć na mnie spode łba — uosobienie niepewności czy zmieszania. Nawet teraz, kiedy wiedziałem już o wszystkim? Cisza małego pokoju stawała się nieznośna. Słyszałem odrobinę przyspieszony oddech Olafa. Twarz miał zmęczoną i oczy nie tak żywe jak wtedy, gdy widziałem go po raz ostatni, jakby wiele pracował i mało spał, ale był w nich jeszcze jakiś inny wyraz, którego nie znałem.

— Mam się dobrze... — powiedziałem powoli — a ty?

Kiedy te słowa padły, zorientowałem się, że było już na nie za późno, właściwie zabrzmiałyby od razu po moim wejściu, teraz jednak były jak gdyby pretensją czy nawet szyderstwem.

— Byłeś u Thurbera? — spytał.

— Byłem.

— Studenci wyjechali... nikogo tu teraz nie ma, dali nam cały gmach... — zaczął z pewnym przymusem.

— Żebyście mogli opracować plan wyprawy? — poddałem, a on odpowiedział skwapliwie:

— Tak, Hal, No, ty chyba wiesz, co to za robota.

Na razie jest nas garstka, ale mamy doskonale maszyny, te automaty, wiesz...

— To dobrze.

Po tych słowach znowu jednak zapadło milczenie. I dziwna rzecz — im dłużej trwało, tym wyraźniejszy stawał się niepokój Olafa, jego przesadna nieruchomość, bo tkwił wciąż jak odrętwiały na środku pokoju, tuż pod lampą, jakby przygotowany na najgorsze. Postanowiłem z tym skończyć.

— Słuchaj no... — powiedziałem całkiem cicho — jakieś ty to sobie właściwie wyobrażał?... Strusia polityka nie popłaca, wiesz... Nie przypuszczałeś chyba, że bez ciebie nigdy się nie dowiem?

Urwałem, a on milczał z pochyloną w bok głową. Najwyraźniej przeholowałem, bo niczemu nie był winien i ja sam nie postąpiłbym chyba inaczej na jego miejscu. Nie żywiłem zresztą najmniejszej urazy o jego miesiąc trwające milczenie, szło o tę próbę ucieczki, o to, jak schował się przede mną w opuszczonym pokoju, kiedy zobaczył, że wychodzę od Thurbera — ale tego nie śmiałem mu wprost powiedzieć, było to zbyt głupie i śmieszne. Podniosłem głos, wyzywając go od głupców, ale nawet wtedy nie spróbował się bronić.

— Więc uważasz, że nie ma o czym mówić?! — rzuciłem z rozdrażnieniem.

— To zależy od ciebie...

— Jak to ode mnie?

— Od ciebie — powtórzył uparcie. — Najważniejsze było, od kogo się dowiesz...

— Naprawdę tak uważasz?

— Tak mi się zdawało...

— To wszystko jedno... — mruknąłem.

— Co... masz zamiar zrobić? — spytał cicho.

— Nic.

Olaf patrzył na mnie nieufnie.

— Hal, przecież ja...

Nie dokończył. Czuję, że torturuję go samą obecnością, ale nie mogłem mu wciąż wybaczyć naglej ucieczki; a odejść tak, w tej chwili, bez słowa, byłoby gorsze jeszcze od niepewności, która mnie tu sprowadziła. Nie wiedziałem, co mam mówić; wszystko, co łączyło nas, było zakazane. Spojrzałem na niego, w momencie gdy zerknął właśnie na mnie — każdy z nas liczył nawet teraz na pomoc drugiego... Wstałem z parapetu.

— Olaf... późno już. Idę... nie myśl, że... mam do ciebie żal, nic podobnego. Zobaczymy się zresztą, może przyjedziesz do nas — wyrzucałem z wysiłkiem, każde słowo było nienaturalne i on to czuł.

— Co ty... zostaniesz chociaż na noc?

— Nie mogę, wiesz, obiecałem...

Nie wymówiłem jej imienia; Olaf mruknął:

— Jak chcesz. Odprowadzę cię.

Wyszliśmy razem z pokoju, potem schodami na dół; na dworze panowała zupełna ciemność. Olaf szedł obok mnie milcząc; nagle zatrzymał się. I ja stanąłem.

— Zostań — szepnął jakby ze wstydem. Widziałem tylko niewyraźną plamę jego twarzy.

— Dobrze — zgodziłem się nieoczekiwanie i zawróciłem. Nie spodziewał się tego. Stał jeszcze chwilę, potem ujął mnie za ramię i poprowadził do drugiego, niższego budynku; w pustej sali, oświetlonej kilkoma nie wygaszonymi lampami, zjedliśmy przy bufecie kolację,

nie siadając nawet. Przez cały czas zamieniliśmy może dziesięć słów. Potem poszliśmy na piętro.

Pokój, do którego mnie wprowadził, niemal dokładnie czworoboczny, utrzymany w matowej bieli, miał szerokie okno, wycelowane w park, z innej strony, bo nie widziałem ani śladu miejskich łun nad drzewami; znajdowało się w nim świeżo posłane łóżko, dwa foteliki, trzeci większy, oparciem przystawiony do okiennego parapetu. Przez wąskie, uchylone drzwi lśniły kafle łazienki. Olaf, u progu, z opuszczonymi rękami stał jakby czekając na moje odezwanie się, a że milczałem, przechadzając się środkiem i machinalnie dotykając sprzętów, jakbym brał je w chwilowe posiadanie, spytał cicho:

— Czy mogę... zrobić coś dla ciebie?

— Tak — powiedziałem — zostaw mnie samego. Stał dalej, nie ruszając się z miejsca. Jego twarz oparzył rumieniec, po którym przyszła bladość, nagle ukazał się na niej uśmiech — usiłował pokryć nim obelgę, bo to zabrzmiało jak obelga. Od tego bezradnego, żalosego uśmiechu coś jakby we mnie pękło; w konwulsyjnym wysiłku zdarcia obojętnej maski, którą przybrałem, bo na nic innego nie potrafiłem się zdobyć, dopadłem go, już kiedy odwracał się, by wyjść, porwałem jego rękę i zmiażdżyłem ją, jakby prosząc tym gwałtownym uściskiem o wybaczenie, a on, nie patrząc na mnie, odpowiedział takim samym uściskiem i wyszedł. W garści topniał mi jeszcze jego twardy chwyt, kiedy zamykał za sobą drzwi, tak starannie i cicho, jakby wychodził z pokoju chorego. Zostałem sam, tak jak tego chciałem.

Gmach pełen był bezwzględnej ciszy. Nawet kroków oddalającego się Olafa nie słyszałem; w okiennej szybie odbijała się słabo moja własna, ciężka sylweta, z niewiadomego źródła płynęło ogrzane powietrze, poprzez kontury swego odbicia widziałem ciemną granicę drzew, zatopioną w zupełnym już mroku — objąłem raz jeszcze wzrokiem cały pokój i usiadłem na tym dużym fotelu przy oknie.

Jesienna noc dopiero zapadła. O spaniu i myśleć nie mogłem. Stanałem przy oknie. Rozpościerający się za nim mrok musiał być pełen chłodu i szelestu bezlistnych, trących się o siebie gałązek — nagle zachciało mi się w nim znaleźć, pobłądzić w ciemności, w jej nie zaplanowanym przez nikogo chaosie. Bez namysłu opuściłem pokój. Korytarz był pusty. Do schodów szedłem na palcach, ostrożność przesadna chyba. Olaf dawno pewno udał się już na spoczynek, a Thurber, jeśli pracował, to na innym piętrze, w oddalonym skrzydle gmachu. Zbiegłem na dół, nie tłumiąc już kroków, wymknąłem się na dwór i jałem iść spieszenie przed siebie. Kierunku nie wybierałem, szedłem tak tylko, żeby miejskie łuny pozostawić możliwie na uboczu. Aleje parku rychło wyprowadziły mnie poza jego granicę, okoloną żywopłotem, znalazłem się na drodze i szedłem nią jakiś czas, aż zatrzymałem się nagle. Nie chciałem iść drogą, prowadziła do jakiegoś osiedla, do ludzi, a ja chciałem być sam. Przypomniałem sobie, że Olaf mówił mi, jeszcze w Klavestrze, o Malleolan, tym nowym mieście, które powstało po naszym odlocie, wśród gór; kilka kilometrów szosy, które przeszedłem, rzeczywiście składało się z samych niemal serpentyn i zakrętów, wymijających zapewne zbocza, ale w panującej ciemności nie mogłem zdać się na wzrok. Droga, jak wszystkie, była nieoświetlona, bo sama jej nawierzchnia pałała słabą fosforescencją, zbyt słabą jednak, żeby rozwidnić nawet rosnące o kilka kroków od jej pobocza zarośla. Zszedłem więc z niej, idąc po omacku dostałem się w gąszcz niewielkiego zagajnika, który wyprowadził mnie stromo na większe, pozbawione drzew wzniesienie — poznałem to po tym, że wiatr hulał tu swobodnie; parę razy zamajaczył mi bladą zmijką fragment porzuconej szosy, daleko w dole, potem to ostatnie światło znikło; przystanąłem po raz wtóry; nie tyle bezsilnymi oczami, co całym ciałem, twarzą podaną na wiatr usiłowałem zorientować się w otoczeniu, nieznanym jak na obcej planecie; zamierzałem najkrótszą drogą dostać się na jeden ze szczytów okalających dolinę, w której spoczywało miasto, ale jak miałem odnaleźć właściwy kierunek? Raptem, kiedy całe przedsięwzięcie wydało mi się beznadziejne, posłyszałem idący z wysokości, od prawa, przeciągły, odległy szum, podobny trochę do głosu fali, a jednak różny od niego — odgłos, z jakim wiatr

przeciągał po lesie położonym znacznie wyżej od miejsca, na którym stałem. Bez namysłu ruszyłem w tę stronę, Porosły suchą, starą trawą stok doprowadził mnie do pierwszych drzew. Wymijałem ich zjawy z wyciągniętymi rękami, by chronić twarz od kolczastych gałęzi. Niebawem wzniesienie stało się łagodniejsze, drzewa rozstąpiły się, znowu musiałem wybierać kierunek marszu, wsłuchany w ciemność, czekałem cierpliwie na kolejny, mocniejszy poryw, wiatru. W jakiejś chwili przestwór odezwał się, z odległych wyżyn spływało przeciągłe, świszczące pianie, tak, wiatr tej nocy był moim sojusznikiem^ ruszyłem na przełaj, nie zważając na to, że tracę teraz wysokość, dość ostro schodząc w głąb czarnego parowu. Jego dno nachylone było stromo; począłem iść miarowo w górę, przy czym drogę wskazywał mi ciurkający gdzieś strumyk. Nie zobaczyłem go ani razu, zresztą sączył się być może pod warstwą gładów; ten głos płynącej wody stawał się coraz cichszy, w miarę jak zyskiwałem wysokość, aż ucichł zupełnie, i raz jeszcze otoczył mnie las, wysokopienny, zapewne sosnowy, pozbawiony prawie całkiem podszycia. Grunt okrywała poduszkowato miękka warstwa starego igliwia, gdzieniegdzie śliska od mchu. Ta wędrówka na oślep trwała ze trzy godziny; korzenie, o które potykałem się, obrastały coraz częściej wystające spod płytkiej gleby narzutowe głązy, obawiałem się trochę, że szczyt okaże się porośły lasem i w jego labiryncie zakończy się ta ledwo rozpoczęta wędrówka po górach, ale miałem szczęście — łysą przełączką dostałem się na pole piargów, wznoszące się coraz ostrzej. Na koniec ledwo chwilę mogłem ustać, bo kamienie zaczynały z grzechotem płynąć pod stopą; przeskakując z nogi na nogę, nie bez powtarzających się upadków, wyostałem sięgną boczną grzędę zwążającego się żlebu i szybciej już posuwałem się pod górę; przystając od czasu do czasu usiłowałem rozejrzeć się w otoczeniu, lecz panujący mrok zupełnie mi to udaremniał. Nie widziałem ani miasta, ani jego łun, także po świetlistej drodze, z której zszedłem, nie zostało i śladu; żleb wywiódł mnie na łysinę porośniętą suchymi trawami; o tym, że jestem już wysoko, mówiło mi powiększające się wciąż gwiazdowe niebo — widać inne, zasłaniające je grzbiety górskie zaczynały zrównywać się z tym, na który wchodziłem. Kilkaset kroków dalej wszedłem między pierwsze kępy kosówki.

Gdyby mnie ktoś w owej ciemności zniemacka zatrzymał, pytając, po co i dokąd idę, nie umiałbym odpowiedzieć; na szczęście nikogo nie było i samotność tego nocnego marszu odczuwałem, na wpół świadomie, jako chwilową przynajmniej ulgę. Nachylenie stoku rosło, iść było coraz ciężej, ale szedłem wciąż przed siebie, dbając o to tylko, by nie zbaczać, zupełnie jakbym miał wytknięty cel. Serce uderzało mocno, płuca dyszały, a ja darłem się pod górę w zapamiętaniu, czując instynktownie, że właśnie taki wyczerpujący wysiłek jest mi niezbędny. Rozginałem przed sobą pokrętne konary kosówki, niekiedy więzłem w jej gąszczu, wyrywałem się siłą i szedłem dalej. Iglaste kiście zamiatały mi po twarzy, po piersi, zahaczały o odzież, palce kleiły się już od żywicy, na wolnej przestrzeni zniemacka nadleciał wiatr, natarł na mnie z ciemności, buszował niepowstrzymanie, świszcząc gdzieś wysoko, gdzie domyślałem się przełęczy. Tymczasem pochłoneły mnie następne gąszcze kosówki, spoczywały w niej jakby wyspy niewidzialne nagrzanego, nieruchomego powietrza, przesyconego jej silnym zapachem. Na mojej drodze wyrastały niewyraźne przeszkody, głązy narzutowe, poletka usuwających się spod nóg piargów. Musiałem już iść dobrych kilka godzin, a wciąż czułem jeszcze w sobie zapas sił, dostateczny, aby przyprawić mógł o rozpacz; żleb, wiodący ku nieznanej przełęczy, a może ku szczytowi, zacieśnił się tak, że na tle nieba zwidywały mi się naraz oba jego brzegi, wzniesione wysoko, wygaszające ciemnymi skibami gwiazdy.

Dawno już zostawiłem w dole strefę mgieł, ale ta chłodna noc była bezksiężycowa, a gwiazdy dawały niewiele światła. Z tym większym zdziwieniem przyjąłem ukazanie się, wokół mnie i nade mną, białawych, podługowatych kształtów. Spoczywały w mroku, nie rozwidniając go, jakby za dnia nasiąkłe blaskiem — dopiero pierwszy, syпки chrzęst pod stopą uświadomił mi, że wstąpiłem na śnieg.

Pokrywał niezbyt grubą warstwą całą omal resztę pnącego się stromo zbocza. Zmarzłbym zapewne do szpiku, bo byłem lekko ubrany, ale niespodziewanie wiatr ucichł i tym wyraźniej niósł się w powietrzu odgłos, z jakim przy każdym kroku przebijałem skorupę starego śniegu, zapadając się do pół łydki.

Na samej przełęczy śniegu prawie nie było. Odmiecione do nagości, czarnymi sylwetami sterczały nad piargiem wielkie głazy. Zatrzymałem się z bijącym sercem i popatrzyłem w stronę miasta. Zakryła je wypukłość zbocza i tylko ciemność, rudawa, przerzedzona od blasku jego świateł, zdradzała, gdzie leży w dolinie. Nade mną drżały wyraziste gwiazdy. Poszedłem jeszcze kilkanaście kroków i opuściłem się na siodłowaty głaz. Nagromadziło się pod nim trochę nawianego śniegu. Teraz nie widziałem już nawet ostatka miejskich łun. Przede mną w ciemności wstępowały góry, widmowe, o szczytach pobielonych śniegiem. Kiedy wpatrzyłem się uważnie we wschodni brzeg horyzontu, dostrzegłem smugę pierwszej szarości — rozmywającej gwiazdy — zaczątek nowego świtu. Rysowała się na niej stroma, rozpękała w połowie grań. I nagle w mojej nieruchomości coś zaczęło się dziać — bezkształtne ciemności na zewnątrz — czy wewnątrz mnie? — przemieszczały się, osuwały, przemieniając proporcje, byłem tak tym pochłonięty, że na mgnienie straciłem jakby wzrok, a kiedy odzyskałem go, widziałem już wszystko inaczej. Niebo wschodu ledwo szarzało nad pełną ciemności doliną, pogłębiając jeszcze czerń skalnego ramienia, ale potrafiłbym wskazać każdy jego uskok, każdą szczyrbę po omacku, wiedziałem, jaki obraz odsłoni mi dzień, bo był wpisany we mnie, na zawsze, i nie na marne. To była ta nie zmieniona rzecz, której pragnąłem, która pozostała niewzruszona, podczas gdy cały mój świat rozpadł się i zginął w półtorawiecznej czeluści czasu. To w tej dolinie spędziłem chłopięce lata — w starym, drewnianym schronisku na przeciwległym, trawiastym stoku Łowcy Chmur. Z rudery nie został pewno ani głaz podmurówki, ostatnie belki dawno obróciły się w próchno, a skalny grzbiet stał, nie zmieniony, jak gdyby czekał na to spotkanie — może niejasna, nie uświadomiona pamięć przywiodła mnie nocą na to właśnie miejsce?

Wstrząs rozpoznania wyzwolił od jednego zamachu całą moją słabość, tak rozpaczliwie maskowaną, zrazu udanym spokojem, potem — umyślną zawziętością wspinaczki. Sięgnąłem na oślep w dół i nie wstydząc się drżenia palców kładłem do ust grudki śniegu, których topniejące na języku zimno, nie gasząc pragnienia, wzmagало moją trzeźwość. Siedziałem tak i jadłem śnieg, wciąż jeszcze nie całkiem dowierzający, teraz już tylko czekając na potwierdzenie mego domysłu pierwszymi promieniami słońca. Na długo nim wzeszło, z wysokości, od niknących powoli gwiazd spłynął ptak, złożył skrzydła, zmałał i przysiadłszy na pochylonym odłamie skalnym począł się ku mnie zbliżać. Zastygłem w obawie, że go spłoszę. Obszedł mnie i oddalił się, a kiedy pomyślałem, że mnie nie zauważył, wrócił z drugiej strony, obchodząc głaz, na którym siedziałem — i patrzyliśmy tak na siebie jakiś czas, aż odezwał się niegłośno:

— Skądś się tu wziął?

Widząc, że nie boi się mnie, na powrót jałem jeść śnieg. Pochylał główkę, wpatrywał się we mnie czarnymi paciorkami oczu, nagle, jakby już obejrzał mnie do syta, rozwinął skrzydła i odleciał. A ja, oparty o chropawą ścianę głazu, skulony, z wyziębłymi od śniegu rękami, oczekiwałem świtu, a cała noc cała w gwałtownych, nie dokończonych skrótach — Thurber, jego słowa, milczenie między mną i Olafem, widok miasta, czerwona mgła i prześwity w tej mgle, utworzone lejami świateł, gorące strumienie powietrza, wdech i wydech milionowego rozkładu, wiszące place i aleje, kielichowce o płomiennych skrzydłach, barwy, które dominowały na pewnych poziomach, nie całkiem przytomna rozmowa z ptakiem na przełęczy i to, jak jadłem chciwie śnieg — a wszystkie te obrazy były i nie były zarazem sobą, jak czasem we śnie, były przypomnieniem i ominięciem tego, czego nie śmiałem poruszyć, bo przez cały czas usiłowałem znaleźć w sobie zgodę na to, z czym nie mogłem się pogodzić. Ale to było przedtem, właśnie jak sen. Teraz, trzeźwy i czujny, oczekujący dnia, w powietrzu

aż srebrnym od szarości, wobec powolnego wyłaniania się surowych ścian górskich, żlebów, osypisk, które wynurzały się z nocy jako milczące potwierdzenie realności powrotu, po raz pierwszy sam, ale nie obcy na Ziemi, już poddany jej i jej prawom, mogłem — bez buntu, bez żalu — myśleć o odlatujących po złote runo gwiazd...

Śniegi szczytu zapaliły się złotem i bielą, stał nad pełną liliowego cienia doliną potężny i bezwietrzny, a ja, nie zamykając oczu, pełnych łez łamiących jego światło, powstałem wolno i zacząłem schodzić po piargach na południe, gdzie był mój dom.

Zakopane — Kraków 1960